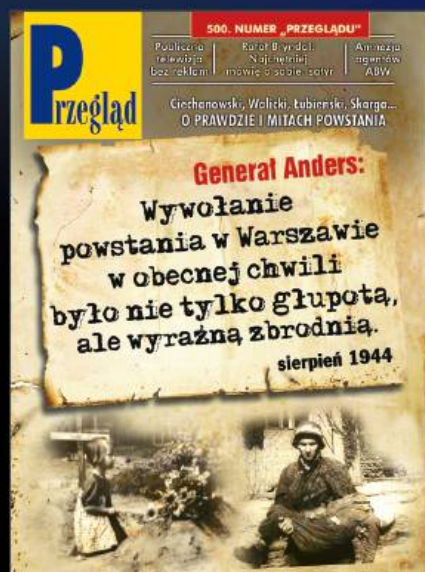


UKRAŃCY
CHCĄ DO DOMU

TUSK – MISTRZ TWITTERA

GRABARKA
– W DRODZE NA ŚWIĘTĄ GÓRĘ

ZAKŁADNICZKI ALKOHOLIZMU



PRAWDZIWA HISTORIA POWSTANIA



Przewrotna komedia o sile kobiet

Nadia
Tereszkiewicz

Rebecca
Marder

Isabelle
Huppert

Fabrice
Luchini

Dany
Boon

André
Dussollier

**Mistrzowska
komedia
François Ozona**
Cineuropa

**Moja
ZBRODNIA**

reżyseria
François Ozon

PONAD MILION WIDZÓW WE FRANCJI!

w kinach od 4 sierpnia





Dzień żałoby narodowej

Od lat konsekwentnie piszemy o powstaniu warszawskim. Piszemy, bo uważamy, że kolejne pokolenia muszą mieć pełną wiedzę o tym, jak naprawdę było. I dlaczego doszło do tej ogromnej tragedii.

Od przypominania o śmierci tysięcy mieszkańców Warszawy trzeba zaczynać obchody kolejnych rocznic. 1 sierpnia to dzień narodowej żałoby. Nazwiska ofiar – niestety, z imienia i nazwiska znamy tylko ok. 60 tys. – powinny być czytane w godzinę „W”. Ku pamięci. Ale też ku przestrodze. By kolejne pokolenia młodych nie dały się znowu nabrać cynicznym politykom. Młodzież oszukano wówczas i oszukuje się dzisiaj. Ten cynizm z pewnością ciągle łączy prawicowe obozy.

Decyzji o wybuchu powstania nic nie usprawiedliwia. Wiele razy pisaliśmy o ocenie gen. Andersa, który chciał postawić przed sądem Bora-Komorowskiego, Okulickiego i Chruściela za wywołanie powstania, gdyż uważał je za kardynalny błąd z politycznego i wojskowego punktu widzenia, a z moralnego za zbrodnię. Na opinię prof. Jana M. Ciechanowskiego, który jako 14-latek walczył do ostatniego dnia powstania, też nie ma miejsca w oficjalnym przekazie. A jego słowa powinny być wyeksponowane na frontowej ścianie muzeum: „Powstanie zakończyło się straszną klęską, katastrofą i ruiną, która nie dotknęła żadnej innej stolicy w Europie od czasu najazdu Hunów na Rzym”.

Dziś młodych próbuje się wychowywać tak, by jak powstańcy ginęli za cynicznych polityków i marnych wojskowych. Wodzowie już są. Widzimy, jak bredzą w mediach. Symbolem tej

polityki jest Muzeum Powstania Warszawskiego. Fotoplastykon pokazujący wycieczkom, jak to z pieśnią na ustach małały szły z visami na tygrysy. Czyli z pistolecikiem na czołgi. Dobrze to się nadaje do budowania mitu prawie zwycięskiego powstania.

A gdzie jest prawdziwy obraz powstania? Obraz potwornej klęski. Głupoty i bezmyślności, ale także cynizmu i wyrachowania politycznego tych, którzy zdecydowali o wyprowadzeniu na rzeź bardzo słabo uzbrojonych i kompletnie nieprzygotowanych do walki młodych ludzi. Walki z frontowymi oddziałami niemieckimi i renegatami z krajów podbitych. Decyzja o wybuchu powstania była wyrokiem śmierci dla ludności cywilnej miasta. Szacuje się, że w ciągu dwóch miesięcy 1944 r. zamordowano od 120 do 140 tys. osób, w tym kobiet i dzieci. Tysiące kobiet zgwałcono. Po Warszawie zostało morze ruin.

Misją władzy jest fetowanie klęsk i przegranych powstań. Ich sprawcy zamiast surowego osądu dostają miejsce w pantheonie bohaterów narodowych. Stawia się im pomniki, funduje tablice, medale. Klęskę skutecznie zmieniono w mit.

Na fałszywych bohaterach uczciwego państwa nie da się zbudować.

Bardzo dziękuję za wszystkie dobre słowa i za wsparcie finansowe. Proszę o dalsze wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”

BAKOWSKI



**Wakacje z e-bookami
PRZEGLĄDU**

**Czytasz TANIEJ
Wiesz WIĘCEJ**

Teraz tylko po 15 zł!

**Czeka już
41 tytułów**

**50%
TANIEJ**

**KUPUJ NA
sklep.tygodnikprzeglad.pl**

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Grupowy egoizm i walka o wspólne pastwisko**
– rozmowa z dr hab. Barbarą Pasamonik
- 11 Ukraińcy chcą do domu**
Utknęli w Nadarzynie
- 15 Bunt Polek – nie chcą mieć dzieci**
Katastrofa demograficzna
- 18 Polityka 2023 – Twitter i festyny**
Tusk, mistrz tweetów
- 20 Płacz i płąć**
Rząd nas łupi na cenach prądu

HISTORIA

- 24 Drugiego „cudu nad Wisłą” nie było**
Powstanie warszawskie w dziennikach
- 28 Nie zadawaj się z plewami, bo cię świnię zjedzą**
Małżeństwo na wsi było transakcją
- 46 70. urodziny Starówki**
Rocznica odbudowy Starego Miasta w Warszawie

ZAGRANICA

- 32 Szkoła racjonalności czy droga do samozniszczenia?**
Opozycja walczy z Bibim, Hezbollah korzysta
- 36 Stary konflikt, nowe życie**
Co z odbudową Syrii?
- 52 Fujian Jinhua, czyli wojna o chipy**
Amerykanie kontra Chińczycy

KULTURA

- 40 Barwy klubowe to lep na dzieciaki, liczy się kasa**
– rozmowa z Krzysztofem Domaradzkiem
- 43 Kulturalia**
- 66 Wiktoria Vogel – Świątynie/Temples**

PSYCHOLOGIA

- 48 Współzależności**
– rozmowa z Joanną Flis

OBSERWACJE

- 55 Na Spasa**
Święta Góra Grabarka
- 58 Pod niebieską owieczką**
Unikatowa ceramika z Bodzanowa

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Dzień żałoby narodowej
- 23 Roman Kurkiewicz**
Świat się rozbroi albo zginie
- 27 Andrzej Romanowski**
Pamiętaj o kontekstach
- 35 Stanisław Filipowicz**
Czy ktoś nie kradnie nam koni?
- 39 Tomasz Jastrun**
Nad jeziorem
- 51 Wojciech Kuczok**
Skwarna rozpacz



11
KRAJ

UKRAIŃCY CHCĄ DO DOMU

Utknęli w Nadarzynie



46
HISTORIA

70. URODZINY STARÓWKI

Rocznica odbudowy Starego Miasta w Warszawie



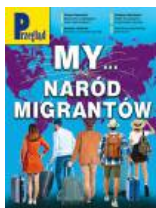
55
OBSERWACJE

NA SPASA

Święta Góra Grabarka

Projekt okładki: Iza Mierzejewska





f My, naród migrantów

To, że zapominamy, że jesteśmy narodem migrantów, chyba niestety jest naturalne. Podobnie jak duża część Amerykanów zapomina, że też jest narodem migrantów, i sprzeciwia się napływowi tych, którzy tak jak ich przodkowie szukają lepszego życia. To tylko pokazuje, że wspólnota doświadczeń ma niewielki wpływ na rozumienie czy empatię wobec innych. Okazuje się, że po osiągnięciu tego „lepszego życia” okopujemy się w nim, z obawy, że ci, którzy podążają podobną drogą, zagrożą naszemu dobrobytowi.

Jarosław Holwek

f Na czym polega problem, że Jan Paweł II wiedział

Jan Paweł II trafił za stery ogromnej instytucji, o której interesy usiłował zadbać tak, jak potrafił najlepiej. Wiedział, że wyciągnięcie skandali seksualnych poważnie jej zaszkodzi. Był też produktem minionej epoki i wydawało mu się, że wystarczy się dogadać, przekupić/zastraszyć kilka osób mających wpływ na media i wszystko ograniczy się do lokalnych ognisk, które można wygaszać, przenosząc winowajców. Jan Paweł II i większość starszej hierarchii nie rozumieli nadchodzących zmian w postaci rozwoju internetu. Bo to właśnie internet spowodował, że ludzie uzyskali możliwość poziomego wymieniania informacji – niezależnie od oficjalnych mediów. Wszyscy zobaczyli skalę zjawiska i mleko się rozlało.

Jerzy Szubert



✉ Piękny wiek?

Artykuł „Piękny wiek”, który ukazał się w 25. numerze PRZEGŁĄDU, wychwala Henry’ego Kissingera jako „największego intelektualnego celebrytę świata”. Jak można wychwalać zbrodniarza wojennego?! Szczególnie że PRZEGŁĄD jest chyba jedynym pismem w Polsce, które ucieka od proamerykańskiej i antyrosyjskiej propagandy. Kissinger jako doradca ds. bezpieczeństwa narodowego USA autoryzował amerykańskie bombardowania Kambodży, w których zginęło 150 tys. cywilów. Obciążają go również tajne operacje CIA zakończone morderstwami politycznymi w krajach Trzeciego Świata, w tym obalenie lewicowego, demokratycznie wybranego prezydenta Salvadora Allendego w Chile.

W.A.Z.



✉ Przy okazji nowej biografii Krzysztofa Kozłowskiego

Pan Andrzej Kurz w tekście „Przy okazji nowej biografii Krzysztofa Kozłowskiego” (PRZEGŁĄD nr 28) wspominał, że umieściłem jego nazwisko w dziale „Relacje”, chociaż żadnej relacji mi nie udzielił. Chciałbym poinformować, że odwiedziłem pana Kurza w jego domu w roku 2016, miło rozmawialiśmy i mam przeszło dwugodzinne nagranie z tej rozmowy – jako właśnie relację, bo wiedział, że zamierzam pisać biografię Krzysztofa Kozłowskiego. Wydaje mi się, że to, co napisałem, jest całkiem zbieżne z tym, co w PRZEGŁĄDZIE pan Kurz napisał o swoich relacjach z Krzysztofem Kozłowskim. Rozumiem, że pamięć ludzka bywa zawodna, i nie mam żalu, jednak byłbym wdzięczny za sprostowanie.

Andrzej Brzeziecki



ZDJĘCIE TYGODNIA

Izraelska policja blokuje meczet Al-Aksa podczas wizyty na Wzgórzu Świątynnym Itamara Ben-Gwira. W meczecie mogą się modlić tylko muzułmanie i choć Żydzi mają prawo odwiedzać wzgórze, obecność skrajnie prawicowego ministra bezpieczeństwa została uznana za prowokację. Jerozolima, 27 lipca 2023 r.



Jeszcze 30% Polaków jest zadowolonych z rządu Morawieckiego (CBOS). Muszą jednak być głęboko zdesperowani, bo jakoś publicznie nie manifestują swojej radości.

22 lipca 1953 r. na Rynku Starego Miasta w Warszawie świętowano jego odbudowę. By do tego doszło, trzeba było wywieźć 0,5 mln m sześć. gruzu, cegieł i belek. Zrobiło to w czynie społecznym sami warszawiacy.

W miejscowości **Przylep, dzielnicy Zielonej Góry,** spłonęła **hala z toksycznymi odpadami chemicznymi.** Na składowisku było ich ok. 5 tys. ton, zwiezionych przez firmę Awinion z Wielkopolski. Spółka zniknęła, a odpady zostały. Nikt nie poczuwa się do odpowiedzialności za to, że ich nie zutylizowano.

Tylko 24% Polaków uważa sądy za bezstronne. Jeszcze gorzej oceniają je biznesmeni – ledwie 18% uznaje, że sądy są bezstronne (**badania Eurobarometru**).

Jacek Ozdoba, wiceminister środowiska, reprezentant partii Ziobry, **nie nosi kapelusza.** Podobno dlatego, że nie produkują tak małych rozmiarów. W rządzie Morawieckiego odpowiada za gospodarkę odpadami, czyli za to, że jest coraz gorzej. Nic dziwnego, skoro Ozdoba zajmuje się głównie telewizyjnymi happeningami. A odpadów z zagranicy przybywa. **W 2021 r. Główny Inspektorat Ochrony Środowiska wydał pozwolenia na przywóz do Polski 581 tys. ton.**

Krakowska restauracja Bottiglieria 1881 zdobyła jako pierwsza w Polsce

dwie gwiazdki w przewodniku kulinarnym Michelin. Współwłaścicielami lokalu są Przemysław Klima, jednocześnie szef kuchni, i Robert Gumuliński.

To nie jest dobra wiadomość dla smakoszy **kebabów.** Kontrolerzy Inspekcji Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych po kontroli 109 punktów sprzedaży mieli **zastrzeżenia do ponad 50%.** W kebabach z wołowiny zamiast wołowiny było mięso drobiowe. Falszowano także inne składniki, wagę i dodatki.

Polscy siatkarze po raz pierwszy wygrali Ligę Narodów. Za ten sukces drużyna Nicolii Grbiccia dostała premię w wysokości 1 mln dol.

90 tys. dzieci w Polsce żyje w gorszych warunkach niż rok wcześniej. Są to dzieci skrajnie ubogie i te, które nie mają możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb (**tygodnik „Polityka”**).

W marcu 2023 r. pracowało w Polsce 10 947 obywateli Indii, 9780 przybyszów z Gruzji, 9322 z Rosji, 7050 z Turcji, 6933 z Wietnamu i 3865 z Chin.

Na koniec 2022 r. cudzoziemcy stanowili 6,5% wszystkich ubezpieczonych w ZUS.

Ponad 4,4 tys. żłobków i klubów dziecięcych opiekujących się dziećmi do lat trzech istnieje w Polsce. Ponad 3,2 tys. to placówki prywatne, a 1182 prowadzą samorządy lub instytucje publiczne. Z usług wszystkich placówek skorzystało ponad 117 tys. najmłodszych.

PRZEBŁYSKI

Rozbrat na sprzedaż

Szykuje się prawdziwa sensacja. Na sprzedaż ma iść historyczny budynek lewicy przy ulicy Rozbrat. Podobno ma tam stanąć apartamentowiec. Budynek przy Rozbrat nie należy do Sojuszu Lewicy Demokratycznej, odkąd kupiła go grupa RADIUS, powiązana z rosyjskim kapitałem. Siedzibę sprzedał Grzegorz Napieralski, ówczesny przewodniczący SLD. Cena, jak na to miejsce, była skromna. Ale wystarczyło na milionowe wydatki w kampanii prezydenckiej Napieralskiego. A gdy kasa się rozpuściła, Napieralski trafił do PO. I próbuje sił w lobbingu. Chwałą go Chińczycy i nie tylko oni. Ciekawe, czy Tusk będzie chciał mieć znowu w Sejmie taką tykającą bombę?



Lichocka ma nie tylko palec

Jest coś, co teraz łączy polityków. Ponadpartyjnie. Czując zbliżające się wybory, przy każdej okazji mówią: „W moim okręgu...”. I wymieniają, ile tylko się da, miejscowości, w których zostali wybrani. I co dla nich zrobili. Taka Joanna Lichocka, posłanka PiS, opowiada w „Gazecie Polskiej”: „W moim okręgu sieradzkim, w 11 powiatach samorządy dostaną dotacje rządowe na renowację 200 obiektów”.

Lichocka, która już swoim palcem zapewniła sobie miejsce w niechlubnej historii parlamentu, ani myśli na tym poprzestać. Nie po to dojna zmiana do budżetu, żeby Lichocka nie mogła się pochwalić renowacją kościołów, obrazów i polichromii w swoim okręgu. Wdzięczni księża przypomną wyborcom o damie z palcem. Zamiast skandalistki pokażą im dobrodziejkę.

Stasiak z czerwoną akredytacją

Pamięć kibiców przypomina pamięć słoń. Pamiętają wszystkie numery, jakie im wycięli piłkarze, trenerzy i działacze. Trudno więc, by zapomnieli o numerach Mirosława Stasiaka. Właściciela i prezesa Ceramiki Opoczno, którą przejął w 2002 r. i nazwał Stasiak Opoczno. A gdy drużynę przeniósł do Ostrowca Świętokrzyskiego, klub nazwał Stasiak KSZO. Za to, co wyczyniał, dostał od prokuratury 53 zarzuty. Aktem oskarżenia objęto 41 meczów Ceramiki/KSZO. Za ustawianie wyników, przekupstwo, łapówkarstwo prezes został skazany przez sąd na trzy lata więzienia w zawieszeniu i 195 tys. zł grzywny. PZPN najpierw go w 2016 r. zdyskwalifikował dożywotnio. Później jednak zmniejszył mu karę do 10 lat. Czyli jeszcze trzy lata Stasiak powinien pauzować po czerwonej kartce.

I tenże Stasiak poleciał z kadrą na mecz z Mołdawią. Od PZPN dostał czerwoną wersję akredytacji. Najlepszą z możliwych. Taką, która pozwala na poruszanie się we wszystkich strefach. Ma ją tylko kilka osób.

Stasiak ciągle wie, obok kogo stanąć. W restauracji w Kiszyniowie widzimy go w towarzystwie Cezarego Kuleszy, prezesa PZPN.





PYTANIE TYGODNIA

Czym dziś chwalą się Polacy?

WIKTOR NIEDZICKI,

popularyzator nauki, autor programu „Laboratorium”

W nauce nawet dziś Polacy najczęściej chwalą się Kopernikiem i Marią Skłodowską-Curie. Mamy zaś rzeszę naukowców, którzy odcisnęli piętno na całym współczesnym świecie. Wymienię tylko kilku: prof. Hilary Koprowski, który odkrył pierwszą skuteczną szczepionkę przeciwko wirusowi polio, wielki matematyk Stefan Banach czy Józef Kosacki, który stworzył pierwszy wykrywacz min. Współcześnie też mamy powody do dumy. Pod Ożarowem produkuje się używane na całym świecie detektory podczerwieni. Wydział Chemiczny Politechniki Warszawskiej zajmuje się zaś takimi materiałami jak katalizatory do produkcji chemicznej czy zamienniki kości. Podobnych przykładów jest wiele. Szkoda tylko, że zamiast pochwał dla naukowców często słyszymy od rządzących pogardliwe frazy o wykształciuchach czy pseudoelitach.

KATARZYNA KUCEWICZ,

psycholożka, psychoterapeutka

Polacy wciąż niewiele się chwalą. W ich narracji bardziej dominuje skupianie się na negatywności i widzenie szklanki do połowy pustej. Mimo różnych przemian zachodzących w naszym społeczeństwie i coraz większego nacisku kładzionego na rozwój osobisty Polacy wciąż unikają chwalenia się. Towarzyszy im pewna obawa, że kiedy zaczną mówić o swoich osiągnięciach,

zostaną źle odebrani. Czasami w grę wchodzi też myślenie magiczne, że gdy nazwiemy sukces po imieniu, skończy się dobra passa. Myślę, że pytanie o chwalenie się to tak naprawdę pytanie o to, jaką samoocenę mają Polacy. Codzienne zwroty, takie jak „udało się”, „miałam fart”, „poszczęściło się”, zdradzają, że cały czas dominuje myślenie, że towarzyszyły nam sprzyjające okoliczności, nie podkreślamy tego, że jesteśmy pracowici, zdolni, mądrzy czy utalentowani.

HENRYK MARTENKA,

dziennikarz, felietonista, „Angora”

Chwalą się, czym chcą, umieją i mogą... Ja mogę odpowiedzieć tylko za siebie. Chwalę się bowiem tym, a raczej chwalę sobie to, co Polska uzyskała w ostatnim ćwierćwieczu: wolność gospodarczą, otwarcie na świat, członkostwo w NATO i Unii Europejskiej. Chwalę sobie zaprezentowanie się Polski światu jako kraju ludzi dynamicznych, innowacyjnych i kreatywnych. Chwalę sobie uznanie, jakie świat okazuje Polsce za normalność, którą wykazaliśmy jako naród, stając pośród państw sobie równych. Bez kompleksów, resentymentów i uprzedzeń. Chwalę sobie obecność utalentowanych młodych Polaków na zagranicznych uczelniach i eksponowanych stanowiskach w międzynarodowych korporacjach. Chwalę sobie Polskę dumną z własnej historii, która narodowe cele widzi w przyszłości. Chwalę sobie to, co rychło możemy utracić.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak



Grupowy egoizm i walka o wspólne pastwisko

W kampanii politycy wykorzystują naszą nieufność do państwa, obcych i migrantów

Rozmawia Jakub Dymek

Jak Polacy radzą sobie z kryzysem?

– Dziś mówimy tak naprawdę o „wielokryzysie”, bo w kolejne kryzysy wchodzimy, zanim zakończą się poprzednie: nie rozprawiliśmy się z pandemią, a wybuchła wojna w Ukrainie, wojna w Ukrainie trwa, a my dajemy odpór niespotykanej od lat inflacji. Do tego dochodzi kryzys migracyjny na granicy z Białorusią, w którym odbija się echo kryzysu migracyjnego z 2015 r. – uchodźcy z krajów Bliskiego Wschodu i Afryki byli i są znacznie „bardziej obcy” niż Ukraińcy. Nasze poczucie bezpieczeństwa jest raz po raz destabilizowane, na wielu polach – zdrowotnym, społecznym, kulturowym, ekonomicznym. W tej sytuacji jesteśmy zmuszeni uruchamiać strategie przetrwania.

Czyli?

– Różne badania pokazują, że jako społeczeństwo polegamy w pierwszej kolejności na relacjach rodzinnych i jednocześnie nie mamy wielkiej wiary w państwo.



DR HAB. BARBARA PASAMONIK

– kulturoznawca i socjolog

Dr hab. Barbara Pasamonik jest profesorem w Instytucie Filozofii i Socjologii Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, badaczką procesów migracyjnych, redaktorką i współautorką publikacji „Kryzys migracyjny. Perspektywa społeczno-kulturowa”.

Żeby przetrwać w trudnych czasach, zwracamy się ku temu, co bliskie, zamiast szukać oparcia w instytucjach?

– Tak, dokonuje się swego rodzaju zwrot egoistyczny. A ściślej mówiąc, zwrot ku egoizmowi grupowemu. Na pierwszy plan wysuwa się interes moich bliskich (grupy pierwotnej), czemu towarzyszy wyostrzony podział na swoich i obcych. Ten mechanizm ma w socjologii swoją nazwę – amerykański politolog Edward C. Banfield ukuł termin amoralny familizm.

Czym on jest?

– Badając biedne rolnicze regiony południowych Włoch, Banfield zaobserwował pewien mechanizm kulturowy utrwalający ubóstwo. Mechanizm ten opiera się na ostrym oddzieleniu sfery prywatnej od publicznej oraz podziale na swoich i obcych, czego konsekwencją jest dualizm postaw: doraźne wspieranie wszystkimi dostępnymi sposobami swoich (powszechny nepotyzm) i niezdolność do angażowania się na rzecz dobra wspólnego.

Amoralny familizm oznacza zawężenie czasu i przestrzeni społecznej – żyjemy z dnia na dzień zamknięci w grupach pierwotnych.

I uważamy, że należy się troszczyć tylko o to, co nasze, a walka o dobrobyt naszej rodziny uzasadnia obojętność wobec innych czy odrzucanie oficjalnie istniejących zasad i reguł?

– Dokładnie tak. Sytuacja ograniczonych zasobów (lub postrzegania ich jako ograniczone) prowadzi do tego, że egoistycznie chcemy zagarnąć ile się da dla swojej grupy. Definicja naszej grupy może się różnić lokalnie – może chodzić tylko o wąską rodzinę albo może być poszerzona nawet o przyjaciół. Ważne jest to, że dbając o naszą grupę, nie widzimy wspólnoty interesów z ludźmi, którzy pozostają poza jej obrębem.

Banfield zaobserwował ten mechanizm we włoskim miasteczku Chiaromonte pod koniec lat 50. XX w., tymczasem polscy socjologowie Elżbieta i Jacek Tarkowscy zdiagnozowali amoralny familizm w Polsce lat 80. jako odpowiedź Polaków na kryzys gospodarczy i atrofię państwa. Diagnoza amoralnego familizmu powraca w ostatnich latach coraz częściej w opisach polskiego modelu życia społecznego. W polskiej socjologii lat 80. pojawił się jeszcze jeden termin oddający

do naszego postrzegania dobra wspólnego. Hardin posłużył się przykładem wspólnoty wiejskiej, która wypasła mleczne krowy na wspólnych pastwiskach. Na początku wszyscy wypasali po jednej krowie, trawa mogła więc odrastać. Jeden z rolników chciał jednak zwiększyć swoje zyski, więc wprowadził na wspólne pastwisko dodatkową krowę. Za chwilę inni rolnicy poszli w jego ślady. Wprowadzając kolejne

Tylko co siódmy Polak zgadzał się, żeby Ukraińcy mieli dostęp do świadczenia rodzinnego 500+ i zasiłków socjalnych.

krowy w celu maksymalizacji indywidualnego zysku, doszli do momentu, w którym trawa nie nadążała już odrastać, a krowy straciły mleko. W gospodarce ograniczonych zasobów wszyscy chcą jak najwięcej skorzystać z tego, co wspólne, w obawie, że dla wszystkich nie wystarczy.

A jeśli w kraju pojawiają się np. migranci, to ta metaforyczna kolejka po wspólne dobro urzeczywistnia się w postaci dłuższej kolejki do lekarza, po miejsce w żłobku czy przedszkolu albo wyścigu o lepsze mieszkanie?

– Gdy postrzegamy państwo jako wspólne pastwisko, pojawia się obawa, że gdy ktoś inny uzyska

z migracją to zmartwienie Francuzów czy Niemców, bo u nas – kto to słyszał?

– Publikowane cyklicznie badania dr. Roberta Staniszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego pokazały, że już rok temu Polacy nie chcieli dawać obywatelom Ukrainy prawa do świadczeń socjalnych. Tylko co siódmy Polak zgadzał się, żeby Ukraińcy mieli dostęp do świadczenia 500+ i zasiłków socjalnych, takich samych

jak Polacy. W najnowszym badaniu, z czerwca tego roku, 55% badanych jest przeciwko dodatkowej pomocy.

Z kolei w sondażu Warsaw Enterprise Institute dla OKO.press z początku tego roku aż 62% respondentów zgodziło się z opinią, że „Polski nie stać na uchodźców”. Po zrywie altruizmu i otwartości po 24 lutego ub.r. przyszedł czas rachowania potencjalnych strat i zmniejsza się otwartość na uchodźców z Ukrainy. To ostatnie odnotowuje cyklicznie także badanie CBOS. Można zaryzykować twierdzenie, że wojna w Ukrainie spowszedniała, a Polacy, wchodząc w kryzys inflacji, postrzegani w badaniach jako obecnie dominujący, aktywują strategię adaptacyjną opartą na mechanizmie amoralnego familizmu. Zabezpieczamy własne interesy i zasoby. W tym kontekście pojawia się rodzaj „szowinizmu socjalnego”.

I występuje on wyłącznie w Polsce?

– Nie, amoralny familizm nie jest zjawiskiem wyłącznie polskim. We wszystkich społeczeństwach dawnego bloku wschodniego mamy do czynienia z daleko posuniętą nieufnością do państwa i niskim zaufaniem społecznym. Na marginesie – Światowy Sondaż Wartości pokazuje, że rodzina jest uznawana za najważniejszą wartość w większości społeczeństw (wyjątkiem są niektóre społeczeństwa muzułmańskie, gdzie religia wyprzedza rodzinę). Musimy pamiętać, że familizm (bez przymiotnika amoralny), czyli poleganie na strukturach rodzinnych lub ▶

Ufność pokładana w bliskich idzie w parze z nieufnością do państwa i jego instytucji.

istotę omawianego zjawiska – Stefan Nowak ukuł pojęcie próżni socjologicznej, oznaczające brak identyfikacji ludzi i ich emocjonalnego zaangażowania poza obszarem grup pierwotnych i wspólnoty narodowej. Przypomnijmy, że już Cyprian Kamil Norwid wypominał Polakom: „Polacy – naród wspaniały, społeczeństwo żadne”.

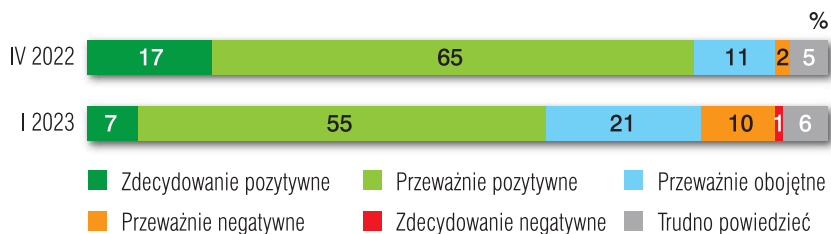
Przestajemy widzieć związek między dobrem wspólnym a naszym własnym interesem?

– Tak. Jeszcze w latach 60. XX w. Garrett Hardin opisał pułapkę społeczną znaną pod nazwą „tragedii wspólnego pastwiska”, która pasuje

coś z dobra wspólnego – świadczenia pieniężne, dostęp do bezpłatnej ochrony zdrowia czy miejsce w przedszkolu – to dla nas nie wystarczy. Pojawia się myślenie: dlaczego mamy się dzielić z obcymi tym, czego dla nas nie starcza? Gdy pojawiają się migranci, nasz grupowy egoizm ujawnia się w całej rozciągłości, od wspólnoty rodzinnej po narodową.

A miało być pięknie i wspaniale. Słyszeliśmy zewsząd, że Polacy są niezwykle gościnni wobec uchodźców z Ukrainy, że jesteśmy humanitarnym supermocarstwem, a problemy i napięcia związane

Jakie nastawienie do uchodźców z Ukrainy mają, w Pana(i) ocenie, na ogół Polacy?



Źródło: CBOS 12/2023

klanowych, jest bardzo starą i ewolucyjnie zrozumiałą strategią adaptacyjną. Dopiero nowoczesne państwo opiekuńcze pozwoliło uniezależnić się od wsparcia rodziny.

Ale samo sformułowanie amoralny familizm sugeruje, że ta postawa jest zagrożeniem dla dobra wspólnego czy relacji społecznych?

– Generalnie troska o rodzinę nie jest przywarą w naszym systemie wartości. Większość z nas, troszcząc się o dobrobyt bliskich, uważa, że postępuje właściwie, moralnie słusznie. Jeśli jednak każdy będzie

składają nieracjonalne obietnice wyborcze.

I stąd popularność hasła: niech nam nie dają, byle już niczego nie zabierali?

– Tak, bo silne jest przekonanie: sam lepiej o siebie zadbam i wiem, co dla mnie jest dobre, więc niech państwo się nie wtrąca. Warto zwrócić uwagę, że nieufność do państwa i jego instytucji ma w Polsce bardzo długą tradycję – od rozbiorów, kiedy Polacy czuli, że państwo „nie jest nasze”. Mamy za sobą całe wieki adaptacji społecznej, polegającej na

Niewiele potrzeba, aby wyciągnąć na powierzchnię naszą niechęć i nieufność do obcych, migrantów.

się kierował wyłącznie kryterium dobra własnej rodziny, istnieje ryzyko, że na dłuższą metę przyniesie to niekorzystne skutki dla całego społeczeństwa i rykoszetem odbije się negatywnie na naszym interesie.

Skupienie się na swojej rodzinie generuje niechęć do płacenia podatków, wrogość wobec uchodźców, obojętność na dobro wspólne i przyszłość państwa?

– Tak. Ufność pokładana w bliskich idzie w parze z nieufnością do państwa i jego instytucji. Z jednej strony, większość Polaków oczekuje państwa opiekuńczego, z drugiej – nie ufamy, że państwo zadba o nasze interesy. Oczekujemy wyższych świadczeń socjalnych i jednocześnie niższych podatków. Gdzieś na końcu zatem wolimy sami przypilnować swoich interesów. Tę sprzeczność chętnie wykorzystują politycy, którzy

radzeniu sobie w warunkach niedoborów, w kontrze do „obcego państwa”. Racjonalna przez wieki postawa nieufności jest dzisiaj kulą u nogi i hamuje rozwój społeczny, czego dowodzi prof. Janusz Czapiński, autor długofalowego badania „Diagnoza społeczna”. Nieufność do państwa jest naszym, jak to nazywam, „ukrytym programem kulturowym”.

Chyba już nie takim ukrytym, skoro partie polityczne odwołują się do tych haseł bardzo otwarcie.

– Słuszne spostrzeżenie. Politycy zorientowali się, że bardzo łatwo aktywować ten dobrze naoliwiony mechanizm. Niewiele potrzeba np., aby wyciągnąć na powierzchnię naszą niechęć i nieufność do obcych, migrantów. W końcu faworyzowanie swoich i niechęć do obcych to dobrze znany w psychologii społecznej mechanizm zakotwiczony

w psychologii ewolucyjnej. Amoralny familizm jest jego adaptacyjnym rozwinięciem.

Ale czy racjonalnym?

– Z jednostkowej perspektywy jest racjonalny. Ale na dłuższą metę nie jest korzystny dla społeczeństwa i tworzących go jednostek. Jeśli będziemy dalej zachowywać się tak jak egoistyczne grupy pierwotne, to będziemy podcinać gałąź, na której siedzimy. Nie dbając o wspólne dobro – obchodząc przepisy lub nie płacąc podatków – „bo nie zadowala nas państwo”, działamy przeciwko państwu, społeczeństwu i, ostatecznie, nam samym. Pamiętajmy, że amoralny familizm oznacza zawężenie perspektywy zarówno społecznej, jak i czasowej. Ta jednostkowa, krótka perspektywa czasowa jest zabójcza, bo nie pozwala ujrzeć długofalowych, negatywnych konsekwencji społecznych naszych działań.

I to właśnie nam pokazuje metafora pastwiska?

– Tak. Kolejni rolnicy, którzy wyprowadzają swoje krowy, żeby użyć jako najwięcej ze wspólnego pastwiska, wcześniej czy później przekonają się, że ono się wyżałowi. Walcząc o doraźne korzyści, tak naprawdę szkodzą grunt pod przyszłą katastrofą. To pokazuje, że egoistyczne działania na dłuższą metę nie opłacają się nikomu.

Jednym z większych wyzwań społecznych, które przed nami stoją, jest przewyciężenie adaptacyjnej strategii amoralnego familizmu i budowanie społeczeństwa dbającego o dobro wspólne.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Ukraińcy chcą do domu

Setki uchodźców utknęły w Nadarzynie i nie mają szans na inne życie



W tej chwili w Centrum Pomocy Humanitarnej Ptak przebywa ok. 400 osób.

Ewa Smolińska-Borecka

Hala jest ogromna. Za nią trzy identyczne, a za nimi jeszcze dwie. Obliczono, że jeśli Ptak Warsaw Expo w całości przekształci się w Centrum Pomocy Humanitarnej Ptak, w podwarszawskim Nadarzynie może jednocześnie znaleźć łóżko do spania 20 tys. uchodźców z Ukrainy. Ponad rok temu było tu gwarno, dziennie przyjmowano nawet kilkaset osób, relokowano nawet tysiąc. Podjeżdżały busy, które rozwoziły przybyszy do różnych polskich miast i do różnych krajów Unii. Zaplanowano, że centrum będzie przystankiem przesiadkowym, miejscem na niezbyt długą przerwę w podróży. Ale nie wykluczano, że niektórzy zostaną na dłużej, dlatego m.in. w hali otwarto szkołę podstawową.

Dziś wokół hali hula wiatr. W końcu jest to teren, gdzie mają się odbywać największe imprezy targowe

w kraju, a nie osiedle mieszkaniowe z infrastrukturą. Od czasu do czasu przemkną jakieś ukraińskie dzieciaki, które zapragnęły batona ze stacji benzynowej albo porcji frytek.

Mężczyzna w słomkowym kapełuszu idzie w kierunku baru z hamburgerami. Widząc nieznanym, zatrzymuje się, żeby porozmawiać. Zadanie to niełatwe, bo zna jedynie litewski i ukraiński. Żeby się dogadać, trzeba wykorzystać szkolną znajomość języka rosyjskiego, licząc na jego pewne podobieństwo do ukraińskiego. Mężczyzna właściwie jest Litwinem, ale 23 lata temu wyjechał do Ukrainy i tam pozostał. Latami tułał się, wiódł życie bezdomnego. I jakoś mu to nie przeszkadzało aż do teraz. Teraz chciałby wrócić na Litwę. Zastanawia się, czy jako uchodźca, który trafił do Polski z Ukrainy, ma na to szansę. Ilu takich ludzi, którym w życiu nie wyszło, znalazło się w Polsce? Ilu utknęło w Nadarzynie?

Swój kawałek podłogi

Hala jest nieprzyjazna. Tak przynajmniej się wydaje. Nie ma okien, bo to miejsce przeznaczone na targi. To, co dobre dla wystawców, niekoniecznie musi być dobre dla mieszkańców. Ale w marcu ub.r. uznano, że stworzenie właśnie tu Centrum Pomocy Humanitarnej Ptak będzie najlepszym rozwiązaniem. Zgromadzono tysiące składanych łóżek, koców i poduszek, kosmetyki i przedmioty niezbędne ludziom uciekającym w pośpiechu z domu.

Łóżka ustawiano w rzędach, jedno obok drugiego. Na swoim małym skrawku podłogi, niewiele większym niż samo łóżko, ludzie zaczęli budować nowe życie. Trudno było mówić o odseparowaniu się i intymności, ale też przybywający zapewne tego nie oczekiwali. W tym czasie najważniejsze było poczucie bezpieczeństwa. Życie toczyło

► się szybko, w halach kręciły się setki wolontariuszy.

Dziś hala jest jakby trochę senna. Już nie ma wielkiej przestrzeni z ustawionymi w rzędach łózkami. Udomowiono ją, wygradzając płytami kartonowo-gipsowymi większe i mniejsze sale. Największe pomieszczenie znajduje się w pobliżu przychodni lekarskiej prowadzonej przez LuxMed. W tej sali mieszkają ludzie z niepełnosprawnościami i tacy, którzy wymagają częstej pomocy lekarskiej. Podzielili się na grupki, stworzyli pokoiki, w których złożyli swój dobytek. Niektórzy żyją w tym niby-osiedlu od wielu miesięcy. I tak naprawdę nie wiedzą, co z nimi będzie.

Liudmyla Kostczyw siedzi na łóżku i przytula czarnego kundelka

radę jechać tak daleko. Ale w końcu się zdecydowała.

W Nadarzynie Liudmyla spotkała koleżankę, Svitlanę Serduk, która 11 dni wcześniej też przyjechała z Charkowa i też z mamą – Liudmylą. Poznały się od razu, choć nie widziały się 15 lat. Ucieszyły się z tego spotkania, bo we dwie na obczyźnie jakoś rażniej.

– Postanowiliśmy, że zajmujemy łóżka obok siebie i wspólnie będziemy się opiekować naszymi mamami – opowiada Liudmyla Kostczyw. – Stan zdrowia naszych mam się pogarszał, więc bardzo ważne było dla nas, że w hali jest przychodnia i o każdej porze można tam znaleźć pomoc. Moja mama nie chodziła, była leżąca i niewidoma. Cały czas musiałam się nią zajmować. Często trzeba było wzywać

z balkonikiem. Mam 63 lata, jestem na emeryturze. Myślałam, żeby jakoś dorabiać, ale z powodu mamy nie mogłam. A teraz sama ledwo chodzę, więc też nie mogę. Najchętniej byśmy wróciły do domu, do Charkowa. Ale czekamy, kiedy będzie tam normalnie. Bo słyszymy o ludziach z Nadarzyna, którzy pojechali do Kijowa, i tam bomba ich raniła. Ja mam gdzie wrócić, bo w Charkowie mam mieszkanie i jeszcze drugie po mamie, 25 km od Charkowa. To moje miejsca na ziemi.

Romowie

Codziennie ktoś wyjeżdża z Centrum Pomocy Humanitarnej i ktoś nowy przyjeżdża. Ale jest duża grupa ludzi, którzy są tu niemal od



Dzieci Liliji Bazar zbierają maskotki od chwili, kiedy przyjechały do Polski.



Jan Potrakov jako jedyny z rodziny zdecydował się na przyjazd do Polski. Reszta została opiekować się gospodarstwem rolnym.



wabiącego się Monia. Przywiozła go z Ukrainy i nie wyobraża sobie, że mogłaby się z nim rozstać. Myśli, że z powodu psa będzie jej trudno znaleźć jakiś pokój do wynajęcia, bo ludzie nie chcą przyjmować uchodźców ze zwierzętami. Ona do tej pory jeszcze nie szukała innego lokum. A to z powodu swojej mamy i z powodu mamy koleżanki. To było tak. Przyjechała z mamą z Charkowa do Nadarzyna 17 kwietnia ub.r. Zdecydowały się na ten wyjazd z powodu bombardowań. Kilkanaście dni wcześniej jej córka i wnuczka wyjechały do Niemiec. Mama, Hana, miała wtedy 84 lata i różne dolegliwości, więc zastanawiała się, czy da

lekarza. W końcu trafiła do szpitala. 26 października mama zmarła. Gdzie ją pochowałam? Nigdzie. Mama została skremowana, a urna jest w przechodni w domu pogrzebowym. Ona ma być pochowana w domu, w swojej ziemi. Tak będzie dobrze.

Mama Svitlany z kolei przeszła covid i teraz ma astmę. Cały czas jest pod opieką LuxMedu, dostaje lekarstwa. – Teraz to my mamy tylko jedną mamę – mówi Liudmyla smutno. – Najlepiej z nas czuje się Svitlana. Ja miałam na początku roku operację kręgosłupa, potem dwa miesiące byłam w Konstancinie w ośrodku Tabita na rehabilitacji. Teraz mogę chodzić, ale

początku. Jak wynika z informacji Zespołu Prasowego Wojewody Mazowieckiego, spośród ok. 400 mieszkańców Centrum 191 osób przekroczyło termin uprawniający do bezpłatnego przebywania, o którym mówi Ustawa o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym na terytorium tego państwa. Ale te osoby są zwolnione z opłat zgodnie z przesłankami wymienionymi w ustawie, to znaczy są w wieku emerytalnym albo inwalidami czy mają pod opieką osoby niepełnosprawne. Koszt utrzymania uchodźcy w Ptak Warsaw Expo w Nadarzynie wynosi 55 zł za dobę.

W tej stawce mieści się m.in. wyżywienie (trzy posiłki dziennie).

Duża grupa ludzi w Nadarzynie przyjechała z Charkowa oraz innych wschodnich miast. To oni najwcześniej zostali dotknięci wojną. W przeciwieństwie do osób z zachodu Ukrainy nie mają w Polsce znajomych ani krewnych. Nie znają także języka polskiego.

Liczna jest też grupa Romów madziarskich z Zakarpacia. W hali trzymają się od Ukraińców na odległość. Robią to z dwóch powodów. Po pierwsze, trudno się z nimi porozumieć, ponieważ niektórzy mówią jedynie w języku romani i nie znają ani ukraińskiego, ani rosyjskiego. Po drugie, choć formalnie Romowie są pełnoprawnymi obywatelami Ukrainy

Starzy, chorzy, inwalidzi

Na korytarzu w pobliżu sali, w której mieszka Liudmyla, dogania nas mężczyzna na wózku inwalidzkim. Jan Potrakov Przyjechał z Charkowa jak Liudmyla, ale pięć miesięcy później – 16 sierpnia ub.r. Jako jedyny z rodziny zdecydował się na przyjazd do Polski. Pod Charkowem mają gospodarstwo rolne, dlatego rodzina nie chciała wyjeżdżać, bo trzeba opiekować się zwierzętami. Zostali mama, brat, siostra, babcia. A on, inwalida na wózku, i tak nie za bardzo może pomóc w gospodarce. Skoro nie musiał iść do wojska, mógł przejechać przez granicę. I tak utknął w Nadarzynie. Mówi, że ma drugą grupę inwalidzką i dostaje jakąś pomoc z ZUS. I że jest

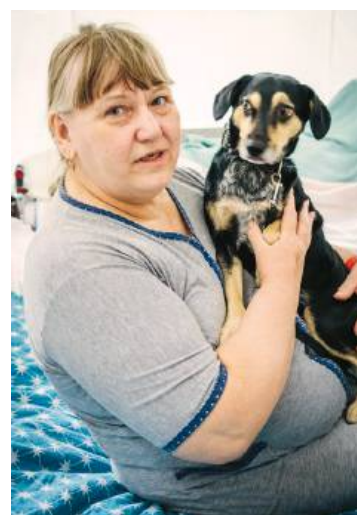
przyjechały do Polski. Ona chodzi na lekcje polskiego, więc łatwiej się z nią rozmawia. – Przyjechaliśmy do Nadarzny 15 marca 2022 r. – wyjaśnia. – W Ukrainie mieszkamy w Tarnopolu. Nasza rodzina jest dziewięcioosobowa: mąż, ja i siedmioro dzieci. Nie chcieliśmy wyprowadzić się z Nadarzny, bo mój mąż wymaga ciągłej opieki lekarskiej, miał dwa udary i zawał serca. A tu, w Nadarzynie, pomoc można otrzymać o każdej porze dnia i nocy. W Ukrainie mąż dostaje rentę, ale to jedynie ok. 300 zł. Ja w Ukrainie miałam stoisko na bazarze, ale w Polsce nie pracuję. Mam trzy córki i czterech synów. Najstarsza jest córka, ma 16 lat, najmłodsza też córka, pięcioletnia. Dostajemy na dzieci świadczenie 500+.



Tatiana Horbulia została wychowawczynią w nadarzyńskiej świetlicy.



Svitlana Serduk z mamą do Polski przyjechały na początku ub.r. z Charkowa.



Liudmyla Kostczyw z Ukrainy przywozła Monię.

i wynosi się ich na piedestał, kiedy – jak to się zdarzyło – ukradną rosyjskim wojskom czołg, faktycznie są uważani za obywateli drugiej kategorii.

Złe języki opowiadają, że Romowie codziennie jeżdżą autobusem do Warszawy, by tam na bazarach, w punktach pomocowych i w centrach handlowych organizować sobie darmowe jedzenie, ubrania itp. I że niektórzy wyjechali do Niemiec, ale wrócili stamtąd do Nadarzny, choć tam dostali mieszkania, a tu nie. Bo tam dzieci musiały chodzić do szkoły, a matki były kontrolowane przez służby opieki społecznej, czy dość dobrze opiekują się dziećmi. Ale czy to prawda?

szansa, że dostanie mieszkanie. Ale trudno zrozumieć, jak miałby wejść w jego posiadanie.

Ściankami z karton-gipsu wydzielone zostały niby-pokoje. Jedne płyty mają wysokość ponad 2 m, co zapewnia mieszkańcom pewną intymność, drugie zaledwie około metra. Można zajrzeć, zobaczyć, jak lokatorzy zagospodarowali przestrzeń. W wielu pokojach nie ma nikogo, w niektórych są dzieci, w innych jedynie kołki lub pies. W jednym pokoju regał wypełniają pluszowe maskotki. Jest ich pewnie ponad 100, może nawet 200. Lilija Bazar tłumaczy, że dzieci zbierają te maskotki od chwili, kiedy

Kiedy zapytać Liliję o powrót do Ukrainy, mówi ze smutkiem: – Może Bóg da i ta wojna się skończy. I pojedziemy do domu.

No bo jak długo można tak żyć?

W kolejnym pokoju dwóch mężczyzn – jeden śpi, drugi właśnie ściele łóżko. Mówi, że wprowadził się tu kilka minut temu. Jura przyjechał z Ługańskiej, czyli z Ługańskiej Republiki Ludowej. Od 1 lipca wszyscy w Ługańsku mają przejść na rosyjskie paszporty. – mówi Jura. – A ja mam paszport ukraiński i nie chcę tego zmieniać. Ale w takiej sytuacji nie mogę iść do pracy. Natomiast jeśli przyjmę narodowość rosyjską, to znaczy, że muszę żyć ▶

► według standardów rosyjskich. I wtedy obejmie mnie pobór do rosyjskiego wojska. Dlatego zdecydowałem się wyjechać do Polski.

Budzi się sąsiad z pokoju, przeciąga na łóżku, dziwi, że już nie jest sam. Podaje Jurze rękę, rozmawiają. Sąsiad ma już staż w Polsce, więc chętnie podzieli się z Jurą swoim doświadczeniem. Iwan Mospan przyjechał do Nadarżyna w kwietniu ub.r. Jest z Chersonia. Pracę i mieszkanie znalazł w Poznaniu i tam jest od ponad roku. – Przyjechałem do Warszawy po odbiór paszportu – informuje. Nie chce wyjawiać, do czego potrzebny mu ten dokument. Może wybiera się do jakiegoś kraju poza Unię Europejską? Bo gdyby chciał np. jechać do Niemiec, zostałby wpuszczony bez paszportu. Ale pod ambasadą amerykańską zbiera się wielu Ukraińców, którzy chcą emigrować za ocean, być może również Iwan o tym myśli. Jednak nie powie. Co najwyżej może opowiedzieć, co go spotkało, kiedy teraz przyjechał do Warszawy. – Poszedłem do hostelu, żeby przenoćować. W pokoju było trzech Gruzinów. Kiedy rano się obudziłem, Gruzinów już nie

było, a moja portmonetka zniknęła. Nie mam pieniędzy, żeby wrócić do Poznania. Nie mam do kogo pójść, żeby szukać pomocy. Dzwoniłem do matki, ale ona też nie ma. Co ja teraz zrobić? Nie wiem.

W sklepach trzeba płacić

Kobieta wystrojona jak na spacer na deptaku w kurorcie: frywolna, przezroczyta sukienka z krótką haleczką, eleganckie buty na obcasie, długie kolczyki w uszach. Właśnie zmierza w kierunku drzwi. Słyszac prośbę o rozmowę, obraca się na pięcie i szybkim krokiem oddala.

Ale już z kolejnego niby-pokoju woła inna kobieta. Roześmiana, zachęca, żeby zamieszkać z nią, bo na razie są tylko trzy łóżka, a można dostawić kolejne. Halyna Starodubets pochodzi z Chersonia. Przyjechała do Polski sama, 2 lutego tego roku. – Dali 300 zł i *wsio!* Jak chcesz coś kupić, to trzeba płacić! – mówi z żalem w głosie, jakby ta pierwsza pomoc była zbyt mała, a w sklepach dla uchodźców powinno być za darmo. – W Ukrainie mam orzeczenie o inwalidztwie. Dostaję

ok. 500 zł renty. Teraz załatwiam orzeczenie o inwalidztwie w Polsce. Jestem pod opieką warszawskiego szpitala, dostaję bardzo drogie leki. Ale mam problem, bo chciałabym paszport zagraniczny sobie wyrobić. W Ukrainie są dwa paszporty: ja mam tylko taki wewnętrzny, a drugi jest do wyjazdu do innych krajów. Ten drugi chciałabym wyrobić, ale to kosztuje 600 zł. Chciałabym wyjechać na trochę do Ukrainy, spotkać się z synem, z rodziną. Ale mówią, że z tym paszportem wewnętrznym już mnie do Polski nie wpuszczą. A chcę tu wrócić.

Godnie i niezbyt godnie

Najbardziej kolorowe i najweselsze miejsce w nadarżyńskim centrum to świetlica. Dziś jest tu ok. 50 dzieci, ale jedne wchodzą, drugie wychodzą, więc jednocześnie jest najwyżej połowa. Świetlicę współfinansuje Mazowiecki Urząd Wojewódzki, a prowadzi ją Fundacja „Nieść pomoc”. Tatiana Horbulia do Nadarżyna przyjechała 10 marca ub.r. Miała to szczęście, że właśnie kompletowano kadrę wychowawców do świetlicy i została zatrudniona. – Ponieważ zarabiam, mogłam razem z córką Żenią wyprowadzić się z Nadarżyna. Mieszkamy w pobliskiej miejscowości Kanie. Teraz są wakacje, więc córka jest ze mną w świetlicy. Ona do tej pory uczyła się w ukraińskiej szkole online, ale zdecydowałam, że od września pójdzie do polskiej szkoły, do siódmej klasy.

Przez Centrum Pomocy Humanitarnej Ptak przewinęło się ok. 75 tys. ludzi. 50 tys. przewieziono do innych krajów Unii Europejskiej lub do różnych miast Polski. Pozostali – podobnie jak Tatiana – zapewne się usamodzielnili i zostali w Warszawie lub okolicy.

Ale nie wszyscy żyją godnie. Kiedy na warszawskim bazarze Olimpia mija południe i sprzedawcy kończą pracę, w pobliżu największych stoisk z warzywami zbierają się Ukraińcy. A kiedy warzywa i owoce, których już się nie sprzedaje, lądują na stercie, tłum wygrzebuje przejrzałe morele, brzoskwinie, pożółkłe ogórki, brązowe banany, miękkie pomidory.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

e-prenumerata PRZEGLĄDU

Cały sierpień za 10 zł!

Czeka na Ciebie 5 e-wydań tygodnika

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Kup miesięczną e-prenumeratę, nim skończy się promocja. Tylko do 1 września 2023 r. Oferta ważna od nr. 31/2023



Bunt Polek – nie chcą mieć dzieci

Rok temu było bardzo źle. Teraz jest jeszcze gorzej.
Rodzi się tak mało dzieci, że demografowie mówią: dramat

Anna Stachowiak

Kiedy w ubiegłym roku w Polsce zanotowano zaledwie 305 tys. urodzeń, czyli najmniej od II wojny światowej, demografowie zaczęli bić na alarm. Ogółem w 2022 r. populacja zmniejszyła się o 141 tys. w stosunku do poprzedniego roku, a największy wpływ na ten ubytek miała rekordowo niska liczba urodzeń. O 27 tys. niższa niż rok wcześniej. I choć tendencję spadkową można było obserwować w Polsce od lat – z wyjątkiem chwilowej wyżki w 2017 r., która była związana z pojawieniem się świadczenia 500+, co jednak w dalszej perspektywie nie przełożyło się na poprawienie dzietności – te dane były dramatyczne. „Tendencja spadkowa urodzeń wynika z tego, że coraz mniej kobiet jest w wieku rodzicielskim oraz w tych grupach wieku, w których najczęściej zapadają

decyzje o urodzeniu dziecka”, komentowała w rozmowie z OKO.press prof. Irena E. Kotowska z Instytutu Statystyki i Demografii SGH. Ale to niejedyny powody.

Nigdy w historii

Teraz jest jeszcze gorzej, choć wydawało się to nieprawdopodobne. 25 lipca Główny Urząd Statystyczny opublikował bowiem komunikat o urodzeniach w pierwszym półroczu 2023 r., z którego wynika, że od stycznia do czerwca w Polsce urodziło się ledwie 139,5 tys. dzieci. „To gorzej niż dramat. Nigdy w historii nie było tak złych danych. W pierwszej chwili myślałem, że to pomyłka”, ocenił te doniesienia ekonomista i analityk danych demograficznych Rafał Mundry. W kwietniu tego roku w Polsce urodziło się 21 tys. dzieci. Urodzeń jest o 100 tys. mniej niż średnia z lat 2007-2015. W dodatku

z badania CBOS wynika, że tylko 32% kobiet w wieku 18-45 lat planuje dzieci w bliższej lub dalszej perspektywie, a 68% nie ma takich planów ani bliższych, ani dalszych.

„Osiem lat rządów PiS doprowadziło do tego, że dwie trzecie młodych Polek nie zamierza mieć dzieci. To jest nasz cichy strajk reprodukcyjny”, mówiła niezrzeszona posłanka Hanna Gill-Piątek w rozmowie z „Wysokimi Obcasami”.

Co to oznacza? Poza fatalnymi perspektywami w kontekście przyrostu naturalnego i systemu emerytalnego jeszcze jedno: porażkę polityki, którą Prawo i Sprawiedliwość reklamuje jako prorodzinna. Trudno nie dostrzec, że ze wspieraniem rodzin ta polityka nic wspólnego nie ma. Mimo deklaracji premiera Mateusza Morawieckiego i członków oraz członkiń jego rządu fiasko towarzyszy działaniom w każdej sferze: od opieki porodowej w szpitalach ▶

► począwszy, na programie Mieszkanie+ kończąc. A po drodze jest jeszcze kiepski dostęp do ginekologów i położników, brak reakcji na przemoc w rodzinie, w tym ekonomiczną wobec dzieci w postaci niepłacenia alimentów, brak miejsc w żłobkach i przedszkolach oraz wyrok Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r., eliminujący z ustawy aborcyjnej przesłankę embriopatologiczną. To znaczy uznający ją za niezgodną z konstytucją, dzięki czemu, jak reklamuje się Ministerstwo Zdrowia, liczba aborcji w pierwszym roku po tym orzeczeniu zmalała do nieco ponad tysiąca, by w roku kolejnym spaść do szokującego – wziąwszy pod uwagę dane organizacji pozarządowych, szacujących liczbę aborcji w Polsce na ok. 100 tys. rocznie – poziomu nieco ponad stu zabiegów rocznie.

Polka ma wybór?

PiS idzie jednak w zaparte, ogłaszając się jako rząd wyjątkowo sprzyjający rodzinom, a zwłaszcza matkom. O tym właśnie próbował przekonywać premier Morawiecki, organizując w maju konferencję pod hasłem „Kobiety mają wybór”. „Nadchodzi czas kobiet. Jestem przekonany, że to będzie bardzo dobry czas dla Polski”, stwierdził premier na wstępie. Rząd opublikował wprawdzie strategię demograficzną dla Polski na rok 2040, ogłaszaną jako „pierwszy w Polsce kompleksowy dokument mierzący się z niekorzystnymi trendami w obszarze demografii”, jednak proponowane w nim rozwiązania od lat są oczywiste dla demografów i organizacji pozarządowych. To m.in. zlikwidowanie barier w dostępie do mieszkań, zabezpieczenie finansowe rodzin, rozwój opieki zdrowotnej czy jakości edukacji, rozwój infrastruktury i usług potrzebnych rodzinom.

Wszystko to od lat dzieje się w Skandynawii, która przoduje wśród regionów przyjaznych rodzicielstwu. W raporcie UNICEF „Are the world's richest countries family friendly? Policy in the OECD and EU” (Czy najbogatsze kraje świata są przyjazne rodzinom? Polityka w OECD i UE) pierwsze miejsca zajmują Szwecja, Norwegia, Islandia. Polska jest na 23. miejscu.

Chodzi tu o dostępność i jakość opieki zdrowotnej, świadczenia socjalne, dostępność placówek edukacyjnych, jak i o poszanowanie godności jednostki. A z tym w Polsce jest kruch.

Wystarczy spojrzeć na statystyki, by zrozumieć, że obietnice premiera Morawieckiego będą trudne do spełnienia. Zarówno w kontekście konsekwentnej antykobiecej polityki, jak i ostatnich, drastycznych wydarzeń. Ale po kolei.

Pożegnanie z in vitro

Najpierw PiS wzięło się za antykoncepcję i in vitro. Od 2013 do 2016 r. pary, które zmagaly się z niepłodnością, mogły korzystać z programu Leczenie Niepłodności Metodą Zapłodnienia Pozaustrojowego na lata 2013-2016. Gdy działał ów program, dzięki rządowemu wsparciu urodziło się ok. 22 tys. dzieci. W 2016 r. wprowadzono Program kompleksowej ochrony zdrowia prokreacyjnego w Polsce, który wyklucza zapłodnienie pozaustrojowe, stawiając na naprotechnologię i wsparcie psychologiczne dla par, które starają się o dziecko. Wynikami tego programu zainteresowała się posłanka Katarzyna Osos (Koalicja Obywatelska), która, powołując się na raport Najwyższej Izby Kontroli, napisała

W kwietniu tego roku w Polsce urodziło się zaledwie 21 tys. dzieci.

w interpelacji nr 10436: „Raport NIK ujawnił, że do grudnia 2019 r. do Programu kompleksowej ochrony zdrowia prokreacyjnego w latach 2016-2020 przystąpiło 5,7 tys. par mających problem z niepłodnością. Etap diagnostyczny zakończyło 2,6 tys. par (przy docelowej liczbie 6 tys.), zaś do ostatecznego leczenia skierowanych zostało 1,2 tys. par (przy docelowej liczbie 4 tys.). W efekcie opublikowane dane wskazują, że program ten, działając od 2016 r., przyczynił się do 294 ciąży, co daje współczynnik 0,05 dziecka na parę”.

Wyniki programu PiS, który osiągnął uczynił naprotechnologię, posłanka Osos porównała do programu

z lat 2013-2016: „Dzięki rządowemu programowi refundacji zapłodnienia pozaustrojowego w latach 2013-2016 na świat przyszło niemal 22 tys. dzieci, co dało współczynnik 1,13 dziecka na parę. W porównaniu z programem obowiązującym w latach 2013-2016 program na lata 2016-2020 wydaje się więc nieskuteczny”.

Ciężar finansowania in vitro ponoszą zatem samorządy. Te, które mają na to pieniądze. Nie wszystkie.

Tabletka po w trakcie PiS

Dalej: antykoncepcja. Z danych publikowanych co roku przez European Parliamentary Forum for Sexual and Reproductive Rights w postaci Atlasu Antykoncepcji wynika, że w Polsce jest najtrudniejszy dostęp do antykoncepcji na kontynencie. Wielka Brytania ma wynik 96,9%, Francja – 93,2%, Belgia – 91,1%, a Polska – 33,5%. Jeszcze gorsza jest sytuacja z dostępem do antykoncepcji awaryjnej: Polska to jedyny kraj Unii, w którym wymagana jest recepta na środek Ella One.

Jeśli chodzi o aborcję, po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. bardziej restrykcyjna niż u nas ustawa o przerywaniu ciąży obowiązuje w Europie wyłącznie w Watykanie i na Malcie. Uznanie za niezgodną z konstytucją przesłanki embriopatologicznej oznacza, że kiedy płód ma wrodzoną wadę nieuleczalną i/lub letalną, kobieta ciąży usunąć nie

może. Wywołało to paraliż w środowisku lekarzy, którzy boją się podjąć decyzję o aborcji nawet wtedy, gdy ciąża zagraża zdrowiu i/lub życiu pacjentki. Tak było w przypadku Izabeli z Pszczyny, gdy lekarze zwlekali z decyzją o terminacji ciąży mimo obumarcia płodu (Izabela zmarła na sepsę) czy Doroty z Nowego Targu, której odeszły wody płodowe, jednak lekarze zwlekali z decyzją o usunięciu płodu. Zmarłych kobiet było więcej.

Do tego dochodzi wzmożenie policji i prokuratury, które zaczęły tropić poronienia, podejrzewając, że mogło dojść do aborcji. Przy czym, trzeba zaznaczyć, własna aborcja jest legalna. Tak było w głośnym ostatnio

przypadku Joanny z Krakowa, która, dzwoniąc do swojej lekarki psychiatry po pomoc w czasie kryzysu psychicznego, nie spodziewała się, że za kilka minut w jej domu pojawi się nie tylko pogotowie, ale i policja.

Mieszkanie minus

Jedną z barier powstrzymujących przed macierzyństwem jest brak mieszkania. Rządowy program Mieszkanie+, który miał być wsparciem dla rodzin, zakończył się fiaskiem. „Realizacja rządowego programu Mieszkanie+ nie przyniosła oczekiwanych efektów, tym samym nie wpłynęła znacząco na poprawę warunków i rozwiązanie problemów mieszkaniowych. Rząd deklarował, że do końca 2019 r. wybuduje 100 tys. mieszkań – jednak do użytku oddano nieco ponad 15 tys. mieszkań, a 20,5 tys. znajdowało się w budowie (stan na koniec października 2021 r.”, brzmi fragment raportu NIK. Mieszkanie+ to niejedyny program, który nie wyszedł. Podobnie było z dopłatami do czynszów w programie

Mieszkanie na start. Korzysta z niego mniej niż tysiąc beneficjentów. Zbliżone były też losy pomysłu domów do 70 m kw. oraz Mieszkania bez wkładu własnego.

Dodatkowo, mimo że rząd chwali się zmniejszeniem luki płacowej między kobietami a mężczyznami, ta wciąż istnieje, co dobitnie pokazują chociażby opublikowane niedawno

Urodzeń jest o 100 tys. mniej niż średnia z lat 2007-2015.

dane z poszczególnych ministerstw, w których wynagrodzenia kobiet i mężczyzn pracujących na tych samych stanowiskach znacząco się różnią. Polki nie tylko zarabiają mniej od mężczyzn, lecz także na ich barkach spoczywa gros pracy domowej i związanej z opieką nad bliskimi.

To jednak nie koniec. Kobiety mają utrudniony powrót do pracy po urodzeniu dziecka i urlopie macierzyńskim. Nawet jeśli chcą wrócić, często im się to nie opłaca, bo muszą

zorganizować opiekę nad dzieckiem. To zaś niełatwe. Miejsc w przedszkolach i żłobkach brakuje, za prywatne trzeba stono płacić, podobnie jak za nianię. W 31 krajach, które objął swoim raportem UNICEF, większość dzieci powyżej trzeciego roku życia uczęszcza do przedszkoli. W Belgii i Islandii te wskaźniki wynoszą 99% . W Polsce – 61%.

„Najnowszych danych nie można odczytywać inaczej niż jako bunt Polek przeciwko całej atmosferze polityczno-społecznej w Polsce, przeciwko władzy. Polki po prostu boją się zachodzić w ciążę. Boją się, że jak coś się stanie z dzieckiem, to zostaną same, bez pomocy państwa”, komentował Mundry w mediach.

„Decyzja TK w sprawie zaostrożenia prawa aborcyjnego może prowadzić do dalszego opóźniania decyzji o urodzeniu dziecka, a nawet rezygnacji z realizacji pragnień prokreacyjnych”, mówili zaraz po orzeczeniu Trybunału członkowie Komitetu Nauk Demograficznych Polskiej Akademii Nauk. Wygląda na to, że ich prognozy się sprawdziły. *Anna Stachowiak*



Filharmonia
Narodowa

KTO WYSTROI FILHARMONIĘ?

konkurs na projekt stroju
dla Artystek Chóru Filharmonii Narodowej

więcej informacji na stronie filharmonia.pl



Polityka 2023 – Twitter i festyny

Szybkie, krótkie komunikaty, na zasadzie: kto komu przyłoży

Robert Walenciak

To patologia czy znak czasu? Uznajmy, że znak czasu. Polityka już nie jest domeną nobliwych, ważących słowa dżentelmenów. Albo ekspertów analizujących dane. Nic z tych rzeczy. Dziś polityka to Twitter i festyny. Szybkie, krótkie komunikaty, na zasadzie: kto komu przyłoży. I zabawa, zabawa... Z przestaniem: my to wam, Kowalski, zafundowaliśmy i nam powinniście być wdzięczni.

Chaosu tu nie ma. Wiadomo, kto jest wrogiem numer 1 – Donald Tusk. Wiadomo, kto jest szermierzem numer 1 – także Tusk. Wiadomo, kto płaci za festyny – my.

3 miliardy od Marleny

My? Owszem. Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej we współpracy z urzędami wojewódzkimi rozpoczęło kampanię promującą świadczenie 800+. Żeby wyjaśnić ludziom, na czym to świadczenie ma polegać. A wyjaśniać będzie na piknikach pełnych różnych atrakcji. Typu muzyka i cukierki zrzucane z samolotu. Ma to kosztować... 3 mld zł. Niewyobrażalne. Cała Polska ma być w piknikach. Powiat po powiecie. Marlena Małąg, charyzmatyczna ministerka rodziny i polityki społecznej, wmawia nam, że ludzie nie połapią się, gdy w przyszłym roku 500+ zamieni się w 800+. Dlatego trzeba im teraz festynu.

A jak już zbiorą się na miejscu, to można im wyłożyć, kto dobry, a kto zły. Tak jak to zrobił na pikniku Prawa i Sprawiedliwości w Stawiskach Jarosław Kaczyński. Dowieźli go tam, a on wołał, że Donald Tusk jest „prawdziwym wrogiem naszego narodu” i „największym zagrożeniem dla Polski”. „Pamiętajcie o tym ryżym!”, przestrzegał.

No i mamy arcywroga. Całe PiS, od głównego wodza aż po paskowych w TVP Info, wie, że to wróg najważniejszy, więc go atakuje. Wiadomo, te ataki nie zaczęły się wczoraj, nienawiść do Tuska jest elementem spajającym Zjednoczoną Prawicę od zawsze. Takie *apage, satanas!* Jakiś czas temu jednak doszła do tego inna kalkulacja. Otóż spin doktorzy PiS uznali, chyba trafnie, że szansą na mobilizowanie swoich wyborców będzie pompowanie Tuska. Czyli atakowanie go po to, by scenę polityczną zdominował podział: my kontra Tusk.

Wiadomo, kto płaci za festyny – my.

Ponieważ jest on politykiem mającym więcej przeciwników niż zwolenników, PiS byłoby w tym starciu na dobrej pozycji. Ale dziś widać, że ta strategia się wyczerpuje, atakują go zatem z innym zamysłem. Jedni, by podliznąć się Kaczyńskiemu, drudzy – bo naprawdę im dokucza. Boleśnie.

Dopieka im gadaniem. Tusk, gdy wrócił do polskiej polityki, zaczął od tweetów. Komentował wydarzenia, krytykował... Nie ma co ukrywać, w tamtym czasie jego komentarze nie były najbłyszczliwsze, można było sobie z tego dworować. Ale teraz Tusk strzela w punkt. Z twitterboya stał się twittermasterem.

Matolusz

Ofiarą formy Tuska padł Mateusz Morawiecki. A jemu bardzo zależy, by mieć dobre propagandowe wisty, mejle Dworczyka pokazują, jak żąda od swoich ludzi ostrych ripost. I widocznie poczuł, że ma solidną amunicję, bo ruszył na Tuska. A tu kłapa. Bo co go zaczepi, spotyka się z szyderczą ripostą.

Przykładów nie brakuje. 22 lipca premier był na pikniku Rodzina 800+

w Krotoszynie. Zamysł był prosty – oto mamy radosny piknik, wsi spokojna, wsi wesół. I nad tą sielanką wiszą czarne chmury, zły Tusk (Niemiec i zdrajca) chce nam te miłe chwile zabrać. Morawiecki, przemawiając do bawiących się, użył więc metafory filmowej: „Był taki słynny serial o Shreku. W tym serialu był władca, który miał filozofię, że niech się inni poświęcą. Lord Farquaad. On mówił, że »toczyć się będzie wielka bitwa i wielu z was zginie, ale on jest gotów na takie poświęcenie«. Z Lordem Farquaadem jest trochę tak jak z Donaldem Tuskiem. On wie, że ludzie będą klepać biedę, ale on jest gotów na takie poświęcenie, żeby ludzie klepali biedę. To właśnie jest filozofia liberałów. Lord Farquaad przegrał na końcu. To jest happy end, z którym chcę państwa zostawić”.

Nie trzeba było długo czekać na odpowiedź. „Gdybyś, Mateuszu, oglądał »Shreka«, wiedziałbyś, że lord Farquaad był mikrego wzrostu ponurym władcą z kompleksami wobec kobiet, a nie liderem opozycji. Ryzykant z ciebie”, zatweetował Tusk.

Gdy w Zielonej Górze wybuchł pożar składowiska trujących odpadów, szef PO zareagował błyskawicznie: „Smród płonących odpadów w Zielonej Górze. Smród setek bezkarnych nielegalnych składowisk. Smród pi-sowskiej korupcji w całej Polsce. Kaczyński i Sasin na pikniku”. Celnie? Boleśnie? Trudno zaprzeczyć.

Morawiecki podjął rękawicę. „Obrzydliwe. Kuglarz z PO – Partii Oszustów nawet pożar chce wykorzystać do swego czarnego PR – pisał premier. – Wykorzystają każde nieszczęście, żeby skłócić Polaków. Smród kłamstwa powrócił do Polski razem z Tuskiem. Państwo Polskie od soboty walczy z pożarem i jego skutkami. Dziękuję służbom za wspaniałą pracę, a Polakom za zachowanie spokoju!”.



Piknik rodzinny w Pułtusku, 8 lipca 2023 r.

W odpowiedzi dostał swoje zdjęcie z konferencji prasowej z 2018 r. Na której deklarował: „Od dziś wzmożone kontrole wysypisk. Za dwa tygodnie nowe prawo w Sejmie. Wygonimy mafię śmieciową”. Jakoś nie wygonili.

Morawieckiego leją w sieci i inni. Wyróżniłbym w tej dyscyplinie Marka Belkę. Nie tak dawno w Onecie puszczono rozmowę z nim, w której podzielił się takim spostrzeżeniem: „Dzisiaj w polityce trzeba kłamać. I nie to, że kłamstwo ma krótkie nogi. Kłamstwo ma szybkie nogi, bo trzeba jedno kłamstwo przykryć szybko drugim”.

Tusk strzela w punkt. Z twitterboya stał się twittermasterem. Liderzy innych partii są w tej dziedzinie 15 lat do tyłu.

Bardzo to ucieszyło Morawieckiego, który przystąpił do ataku i tweetował tak: „Patrząc na kolejne »rewelacje« @Platforma_org wygląda na to, partia @donaltdusk wzięła sobie do serca radę @profMarekBelka, że »kłamstwo ma szybkie nogi« i trzeba jedno przykryć zaraz następnym. Ale nie o nogi tu chodzi, ale o twarz. Kłamstwo w polityce ma dziś jedną twarz – Donalda Tuska”.

Tym razem odpowiedział mu sam Belka: „To nie rada, a diagnoza... Ciebie, drogi Mateuszu, Twojego szefa i całej tej Waszej kliki. Radzić to ja mogę »szanownemu« unikania wypowiedzi na temat wiarygodności. Pinokio może i zna się na kłamstwie,

ale ciężko uważać go za autorytet moralny w tym zakresie”.

Twittermaster

To jeszcze kilka cytatów z twitterowego uniwersum.

Morawiecki kłócił się z Ziobrą o Unię Europejską i środki z Krajowego Planu Odbudowy. I napominał go: „Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje”. W ten pojedynek na miny wtrącił się Tusk. „Dajesz sobą pomiatać, Mateuszu, swoim ministrom, mówią na twój temat najdziwniejsze rzeczy, bardzo przykre – pisał. – Jeśli nie jesteś w stanie podjąć żadnej decyzji wobec

ministrów, o których twierdzisz, że są kompletnie do niczego, że są niczym krowy ryczące, a niedające mleka i oni ciebie jeszcze obrażają każdego dnia, to chociaż w tym finale i tak smutnym i przykrym, pokaż, że masz... no coś tam, i zachowaj się jak premier”.

PiS zorganizowało w maju „Ul programowy”. To tam padła propozycja 800+ itd. No to Tusk, gdy ul się zaczął, komentował to tak: „Dziś w ulu pan Błaszczak o bezpieczeństwie. W kolejce pszczołka Mejza o zdrowiu dzieci i Bielan o zbieraniu miodu”.

A po reportażu w TVN, w którym pani Joanna opowiedziała, jak potraktowali ją policjanci, gdy jej lekarka zadzwoniła na 112, mówiąc, że pani

Joanna zażyła tabletkę poronną i ma myśli samobójcze, pisał: „Atak prokuratury i policji na kobietę szukającą pomocy w szpitalu to dopiero początek. Chcesz głosować na PiS lub Konfederację? Powiedz to, tchórz, w twarz swojej żonie, dziewczynie, córce!”.

Sztuka to niełatwa...

Moda jest dziś na bezpośredni kontakt – na ściskanie rąk na pikniku, krótką rozmowę. Spin doktorzy to wiedzą – taki rozmówca będzie tych parę zdań pamiętał i z reguły będzie namawiał rodzinę, znajomych, żeby zagłosowali na tego właśnie polityka. Bo z nim rozmawiał i wie...

Jeździ więc Kaczyński po piknikach i opowiada o rolnictwie. Swoje spotkania ma też Tusk. Kampania nam się rozkręca, strach pomyśleć, jak będzie wyglądała za dwa miesiące.

I to jest pewien kłopot, bo nikną w tym zamęcie inni liderzy opozycji. Złoscili się, że są atakowani bezpardonowo w sprawie jednej listy, że są zerowani i media ich szczypią. Na pewno było w tym wiele racji. Ale – choćby na przykładzie Twittera – widać, że w dużym stopniu sami są sobie winni.

Tusk w sieci jest stale obecny. Do tego – sensownie. Gdy było głośno o nieszczęściu w Rzeszowie, gdy dziecko w żłobku zadławiło się i uduśiło, Tusk nakręcił filmik alarmowy z ratownikiem medycznym tłumaczącym i pokazującym, jak ratować niemowlęta i dzieci, które się zadławiły. Filmiki, które kręci lider PO, mają swoją dynamikę. Widać, że nagrania są cięte, obrabiane, nie ma tam przypadku.

Liderzy innych partii są w tej dziedzinie 15 lat do tyłu. Przejrzałem ich tweety... Łatwo nie było. Szczytem ich wyobraźni jest puszczanie fragmentu własnego przemówienia albo konferencji prasowej.

Jest to tym dziwniejsze, że aktywność w sieci nie wymaga wielkich środków. Tu głową można nadrobić braki finansowe. Bo liczy się pomysł, szybkość reakcji, inteligencja. To dyscyplina dla szczupaków, a nie dla tłustych kotów. Czyżby czegoś o niektórych partiach nie wiedział?

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

Płac i płac

Jak rząd łupi nas na cenach prądu i nie tylko

Coraz więcej rodzin przeżywa szok, gdy patrzy na rachunki za energię elektryczną. Jeszcze niedawno płacili ok. 400-500 zł miesięcznie, a nagle pozycja „Kwota do zapłaty z uwzględnieniem rozliczenia poprzednich okresów” urosła do 1069,21 zł!

Rozmowa z biurem obsługi klienta dostawcy energii wyjaśnia, w czym rzecz. Ponieważ w domu są elektryczny bojler, kuchenka, czajnik, lodówka, kuchenka mikrofalowa, telewizor itd., miesięczne zużycie prądu wyniosło 430 kWh. Co oznacza, że po pięciu miesiącach rodzina przekroczyła ustawowy roczny limit zużycia prądu z zamrożoną ceną, który wynosił 2 tys. kWh, i w kolejnych miesiącach cena za kilowatogodzinę wzrosła z ok. 0,41 zł do 0,693 zł netto. Bardziej już nie mogła, bo to maksymalna stawka, którą Sejm przyjął 27 października 2022 r. w Ustawie o środkach nadzwyczajnych mających na celu ograniczenie wysokości cen energii elektrycznej oraz wsparciu niektórych odbiorców w 2023 r. Dla mikropodsiębiorców oraz małych i średnich przedsiębiorstw maksymalna stawka wynosi 0,785 zł za kWh. Duże firmy płacą więcej, bo ustawa ich nie obejmuje.

6 lipca br. Polska miała najdroższy prąd w Europie.

Cena megawatogodziny wyniosła 119,83 euro.

W Niemczech było to 94,76 euro, we Francji 91,29 euro, a w Finlandii zaledwie 43,37 euro.

Ale to nie koniec. Na rachunkach za prąd znajdziemy też takie pozycje jak: opłata stała, opłata przejściowa, opłata jakościowa, opłata zmienna sieciowa, opłata OZE, opłata kogeneracyjna, opłata abonamentowa i opłata mocowa. W sumie dodatkowa kwota do zapłaty to prawie 64% kwoty za samą energię elektryczną! Dopiero suma opłat za energię i za jej dostarczenie daje nam cenę końcową. Skomplikowane? I o to właśnie chodzi! Rządzący wiedzą, że w mętnej wodzie łowi się największe ryby.

6 lipca br. media doniosły, że Polska miała najdroższy prąd w Europie.

Cena megawatogodziny wyniosła 119,83 euro (536 zł). Dla porównania – w Niemczech było to 94,76 euro, we Francji 91,29 euro, a w Finlandii zaledwie 43,37 euro.

13 lipca Sejm na wniosek rządu przyjął ustawę zwiększającą w tym roku limit zużycia prądu z ustawową ceną dla odbiorców indywidualnych z 2 tys. do 3 tys. kWh. Trafiła ona już do Senatu i nie powinno być problemu z jej uchwaleniem. Jest paradoksem, że choć ceny surowców energetycznych są dzisiaj w Polsce i Europie niższe niż w roku ubiegłym, płacimy za prąd jak za zboże.

Złota żyła rekompensat

Ubiegły rok był szczególny, jeśli chodzi o ceny surowców energetycznych. W Polsce 11 dużych elektrowni opalanych jest węglem kamiennym, cztery brunatnym, a jedna – Elektrownia Konin – biomasą. W tej

sytuacji kluczowe znaczenie dla kosztów produkcji prądu ma cena węgla.

W lipcu ub.r. cena tony węgla oscylowała wokół 350-370 dol. Był to efekt wojny w Ukrainie. Siłą rzeczy nasze kopalnie sprzedawały węgiel drogo, tym bardziej że w związku z embargiem na dostawy rosyjskiego węgla nie było go na przykopalniach płacach.

Do Polski sprowadzano więc węgiel z Australii, RPA i innych egzotycznych krajów. Rządzący – nie tylko nad Wisłą – obawiali się zarówno tego, że opału zabraknie, jak i gwałtownego wzrostu cen energii

elektrycznej. W takiej atmosferze powstała ustawa, która zamroziła ceny prądu na rok 2023.

Te obawy się nie spełniły. Od 1 grudnia 2022 r. ceny węgla w Europie zaczęły spadać. Dziś tona kosztuje ok. 100-110 dol. Rekordowy – niemal czterokrotny – był też spadek cen gazu ziemnego. Wydawać by się mogło, że powinno to znaleźć odbicie w cenach energii elektrycznej. Nic bardziej mylnego! Ceny prądu dla odbiorców indywidualnych są stałe. Co oznacza, że spółki zajmujące się produkcją i dystrybucją energii elektrycznej – PGE, Energa, PGNiG, Tauron i Enea – osiągają rekordowe zyski.

Do 27 października 2022 r. ceny prądu były zatwierdzane przez prezes Urzędu Regulacji Energetyki i tak działo się od lat. Urząd dbał, by producenci i dystrybutorzy prądu, a są to głównie spółki skarbu państwa, nie nadużywali swojej monopolistycznej pozycji. Ustawa to zmieniła. Prezes URE co prawda zatwierdził jesienią ub.r. taryfy, lecz nie miało to żadnego wpływu na cenę energii elektrycznej dla gospodarstw domowych w tym roku, gdyż została ona zapisana w ustawie.

Stało się za to coś innego. Zapewne jedynie bardzo wąska grupa specjalistów wie, czym jest istniejący od lat Fundusz Wyплаты Różnicy Ceny. Jego przeznaczeniem jest wypłata sprzedawcom energii rekompensat z tytułu różnicy między maksymalną ceną energii określoną we wspomnianej ustawie a ceną umowną lub referencyjną. Jeśli np. ustawa ustala cenę megawatogodziny na 693 zł, a prezes URE zatwierdził spółce Energa Obrót SA taryfę z ceną 1,3 tys. zł za megawatogodzinę, to 607 zł różnicy zostanie pokryte z Funduszu Wyплаты Różnicy Ceny. Dostawcy energii wypłaci te pieniądze spółka Zarządca Rozliczeń,

która administruje funduszem. Środki funduszu pochodzą ze składek wpłacanych przez wytwórców i dystrybutorów energii elektrycznej.

Mówimy o miliardach złotych, które przepływają od należących do skarbu państwa spółek energetycznych do kontrolowanego przez skarbu państwa Funduszu Wypłaty Różnicy Ceny i wracają do nich za pośrednictwem również należących do skarbu państwa spółki Zarządca Rozliczeń. Dzięki temu spółki zarabiają więcej, niż wynikałoby to z ceny zapisanej w ustawie.

Prezes Urzędu Regulacji Energetyki Rafał Gawin stara się hamować apetyty dystrybutorów energii elektrycznej. Gdy w maju Enea chciała podnieść ceny prądu dla odbiorców indywidualnych, argumentując, że „klienci nie odczuliby tej zmiany”, prezes odmówił jej zatwierdzenia.

Udało mu się też ograniczyć apetyty spółki PGNiG Obrót Detaliczny, zatwierdzając w lutym br. nową taryfę, w której ceny gazu spadły o ponad 20%, z 649,92 zł do 516,73 zł za mWh. Co prawda, klienci tego nie odczuli, bo cena gazu dla gospodarstw domowych została

zamrożona, ale monopolista uzyska mniejszą rekompensatę. Mam wrażenie, że prezes URE jako jedyny robi to, co do niego należy.

Zaskórniaki premiera

Główny problem, który musi rozwiązać każdy rząd, sprowadza się do jednego – czy mamy pieniądze? Józef Ignacy Kraszewski w jednej z powieści opisał, jak polski król August III

Od 1 grudnia 2022 r. ceny węgla w Europie zaczęły spadać. Dziś tona kosztuje 100-110 dol.

Sas załatwił tę sprawę ze swoim faworytem hrabią Henrykiem Brühlem.

– *Brühl. Habe ich geld?* – pytał król. – *Ja, Majestät* – odpowiadał hrabia.

By zdobyć *geld*, Brühl posunął się do sprzedaży polskich wakansów, czyli nieobsadzonych stanowisk publicznych. W 1761 r. sprzedał podskarbiostwo koronne Teodorowi Wesselowi, który obiecał mu nielegalne dochody z nowo utworzonej mennicy polskiej. Podobno Wessel,

by zaspokoić oczekiwania wielmoży, przyjął łapówkę od prusko-żydowskich fałszerzy monet. Gdy na wieść o kwitnącej korupcji bunt podniosła wielkopolska szlachta, Brühl ściągnął 12-tysięczny rosyjski korpus i z jego pomocą zdławił ruchawkę.

Dziś rządy robią to w sposób bardziej subtelny. Musimy wiedzieć, że poza systemem podatkowym, którego fundamentem są podatki VAT, PIT, CIT i wszelkiej maści akcyzy oraz cła,

istnieje wiele sposobów, by zedrzeć z obywateli więcej.

Klasycznym przykładem jest hazard. Totalizator Sportowy każdego roku odprowadza na rachunek resortu finansów miliardowe kwoty. W roku 2021 było to 2,8 mld zł z dopłat oraz podatków. W roku ubiegłym dochody z legalnego hazardu w Polsce (wliczając w to kasyna, zakłady wzajemne i loterie) wyniosły aż 59,31 mld zł. Z czego ponad 2,5 mld zł w formie podatków trafiło do budżetu. ▶

TYKAJĄCA BOMBA ŚMIECIOWA



Nie tylko wysokimi cenami energii martwią się Polacy. Po pożarze na nielegalnym składowisku toksycznych odpadów w Zielonej Górze na terenie całego kraju ujawniane są następne takie miejsca. Politycy PiS i PO przerzucają się odpowiedzialnością za zaistniałą sytuację, natomiast do świadomości mieszkańców przyległych terenów dociera fakt, że żyją obok tykającej bomby. **Nz. nielegalne składowiska w Ryczółku na Mazowszu i Rogowcu koło Bełchatowa.**

Wyjątkowym źródłem pieniędzy dla budżetu stały się w ostatnich latach sektory paliwowy (Orlen), gazowy (PGNiG – przejęte przez Orlen) i energetyczny – kopalnie, elektrownie oraz spółki zajmujące się przesyłem i handlem energią elektryczną w większości kontrolowane są przez skarb państwa.

Wszyscy pamiętamy manewr cenowy dokonany w ubiegłym roku przez PKN Orlen. Gdy latem na rynkach światowych zaczęły spadać ceny ropy naftowej, cena paliw na polskich stacjach benzynowych najpierw ani drgnęła, a potem delikatnie się obniżyła. Gdy 1 stycznia br. przywrócono wyższą stawkę VAT na paliwa, Orlen... obniżył cenę benzyny i oleju napędowego. I wyjaśnił, że nie nie zrobił tego wcześniej, bo obawiał się szturmu Czechów, Słowaków, Niemców i Litwinów na przygraniczne dystrybutory. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów nie dopatrywał się niczego złego w działaniu spółki. Dzięki swojej pozycji na rynku Orlen może liczyć na nadzwyczajne zyski i ma czym się dzielić z fiskusem.

Prezes Urzędu Regulacji Energetyki jako jedyny robi to, co do niego należy.

Identyczny mechanizm obserwujemy w odniesieniu do cen energii elektrycznej i gazu. Rząd wie, że im wyższe ceny, tym większe przychody budżetu. Obniżać ceny prądu nie chce, gdyż wymagałoby to nowelizacji ustawy. Poza tym miło mieć więcej pieniędzy na 13. i 14. emerytury, na hojne rozdawnictwo środków dla różnych patriotycznych fundacji, ochotniczych straży pożarnych, kół gospodyń wiejskich, zaprzyjaźnionych samorządowców itp.

W przypadku rynków energii i gazu mechanizm konkurencji nie działa. A każdym, kto chciałby naruszyć monopol, zajmą się kompetentne organy. O czym niegdyś boleśnie przekonał się Roman Niemyjski, właściciel działającej pod koniec lat 90. XX w. elbląskiej spółki Halex, która na ogromną skalę handlowała rosyjskim węglem i została doprowadzona do upadłości przez urzędników państwowych.

Kto dziś pamięta zdolnych ukraińskich muzyków z polskimi paszportami – Grzegorza Jankilewicza i Wiaczesława Smołokowskiego, którzy założyli nad Wisłą spółkę J&S Group Limited i przez lata dostarczali Orlenowi rosyjską ropę naftową? 6 lutego 2006 r. 40 funkcjonariuszy ABW i CBS wjechało do siedziby tego największego wówczas dostawcy ropy do naszego kraju i dokonało przeszukania. Oficjalnie akcja była związana ze śledztwem w sprawie tzw. afery paliwowej. Jako że obaj muzycy wychowali się na Wschodzie, wiedzieli, że nie warto kopać się z koniem. Przenieśli się na Cypr, zmienili nazwę firmy na Mercuria Group i zajęli się interesami w Chinach.

Swoje odcierpiał w aresztach łobysta Marek Dochnal, który miał plany budowy połączenia energetycznego między Polską a Rosją przez Białoruś, Litwę lub Ukrainę.

Gdy tematem zainteresował się najbogatszy Polak, Jan Kulczyk, został zauważony, gdy biesiadował w jednej z wiedeńskich restauracji z Władimirem Ałtanowem, funkcjonariuszem

Kantor przejąłby nasz narodowy klejnot, z pewnością zadbałby o dostawy gazu po wybitnie promocyjnych cenach, bez pośrednictwa PGNiG. Najnowsze wiadomości o Kantorze są takie, że po ataku na Ukrainę jako rosyjski oligarcha trafił na wniosek Brytyjczyków na listę sankcyjną. Polski rząd zamroził jego udziały w Azotach i zaczął mówić o ich przejęciu. Dlatego rozsądni bogaci ludzie w Polsce albo trzymają się z dala od energetycznych i paliwowych biznesów, albo robią interesy bardzo dyskretnie.

Tanio nie będzie

Wiele osób zadaje pytanie, ile będziemy płacili za prąd w przyszłym roku. Wszak z końcem grudnia wygasa ustawa wprowadzająca w Polsce stałe ceny prądu dla odbiorców indywidualnych. Okazuje się, że nikt nie wie, co nas czeka. Jesienią spółki zajmujące się dostawami prądu złożyły propozycje taryf do Urzędu Regulacji Energetyki. Zapewne będą one znacznie wyższe niż dziś obowiązujące. Wolno jedynie mieć nadzieję, że prezes URE okaże się nieugięty i nie pozwoli monopolistom zbytnio nas złupić. Choć i tak tanio nie będzie.

10 lipca br. minister klimatu i środowiska Anna Moskwa poinformowała, że zgodnie z przyjętymi przez rząd rozwiązaniami limit zużycia energii elektrycznej dla gospodarstw domowych na rok 2024 wyniesie 3 tys. kWh. Nie ma na razie propozycji ceny.

Prawdopodobnie jest, że rząd Mateusza Morawieckiego ogłosi zamrożoną, niską cenę energii elektrycznej tuż przed wyborami. Zadaniem prezesa Urzędu Regulacji Energetyki będzie zaś jedynie zatwierdzenie taryf przedłożonych przez spółki zajmujące się dystrybucją – by potem Zarządca Rozliczeń SA mógł obliczyć i wypłacić im pieniądze z Funduszu Wypłaty Różnicy Ceny. Nawet jeśli opozycja wygra wybory, wszystko zostanie po staremu. Bo dla polityków, bez względu na opcję i umaszczenie (czarni, niebiescy, czerwoni, czy zieloni), jest to mechanizm zbyt cenny, by z niego zrezygnować.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeгляд.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Pisać o filmie Christophera Nolana „Oppenheimer” nie jest ani łatwo, ani dobrze. Ale nie napisać – jeszcze gorzej. Tak więc na samym bohaterze, genialnym, legendarnym fizyku i szefie projektu „Manhattan”, który odpowiadał za skonstruowanie amerykańskiej bomby atomowej w 1945 r., nie będę się skupiał. Ani na tym, czy postacie kobiece zostały oddane w pogłębiany sposób, jak została ujęta kwestia rasizmu bądź amerykocentryczności.

Czas, w którym w Los Alamos powstawała najpotężniejsza w historii ludzkości broń masowego zniszczenia, był niewyobrażalnie krwawy. Świat był zdominowany przez mężczyzn, prześląknięty militarystką. Był to czas Zagłady europejskich Żydów, a także czas, w którym rządony przez Stalina Związek Radziecki stawiał potężny opór hitlerowskim armiom. Czas, kiedy kończył się okres płodowy zimnej wojny i podziału świata na dwa wrogi, chwilami stojące na skraju jądrowej konfrontacji, obozy polityczne. W tym kontekście to, co działo się

mieszkańców dwóch w sumie przypadkowo wybranych japońskich miast miała być sygnałem dla wczorajszego, wykrwawionego sojusznika, ZSRR, i reszty świata. Głos naukowców przestał mieć znaczenie. Ich przestrogi, przewidujące morderczy wyścig o to, kto będzie miał więcej jeszcze potężniejszych bomb, sprowadziły na nich oskarżenia, kapturowe śledztwa, nagonkę polityczną. Wczorajszy ojciec bomby atomowej stał się z dnia na dzień wrogiem publicznym, osobą niegodną zaufania i certyfikatów bezpieczeństwa. Nad Stanami Zjednoczonymi unosił się już duch antykomunizmu i makkartyzmu, a gromadzone przez FBI dokumenty, podsłuchy, zapisy inwigilacji ożyły jak na zawołanie.

W momencie, w którym ma premierę ta głośna hollywoodzka produkcja, wariant użycia podobnej broni, choć potężniejszej i bardziej nowoczesnej, znowu jest obecny w debacie politycznej; niektórzy uważają, że zrobiło się groźniej niż podczas tzw. kryzysu kubańskiego w 1962 r. „Nasz” świat oskarża o takie zamiary Rosję.

Świat się rozbroi albo zginie

w laboratoriach Los Alamos, było też w jakimś sensie laboratorium nadchodzącej epoki. Film Nolana jest ważnym i wartym docenienia głosem przypominającym ówczesne dylematy, napięcia, tło dramatycznych decyzji. Twórca filmów o Batmanie, „Interstellara”, „Incepcji” czy „Dunkierki” mówi językiem filmowym, żeby nie powiedzieć popkulturowym, który dociera do setek milionów odbiorców na całym globie. Takiej szansy raczej nie będą mieć książki czy prace naukowe.

Zapewne istnieją dziesiątki sposobów, na które można ten trzygodzinny epos o bombie atomowej oglądać, komentować, krytykować. Bomba, której próbną eksplozję oglądali w połowie lipca 1945 r. jej twórcy i dowódcy wojskowi na pustyni w stanie Nowy Meksyk, rozpoczęła nową epokę w historii świata. Jej niszcząca moc zaskoczyła samych twórców i konstruktorów, światową czołówkę fizyków. Skonstruowane na jej podobieństwo kolejne dwie bomby trzy tygodnie później staną się źródłem zagłady Hiroszimy i Nagasaki. Dla większości naukowców, którzy poświęcili lata tej konstrukcji, był to wysiłek rozumiany jako śmiertelny wyścig z hitlerowskimi Niemcami – kto będzie pierwszy. To był jasno zdefiniowany przeciwnik i cel. Hitler już nie żył, akt bezwzględnej kapitulacji został podpisany, wojna z Japonią była wygrana. Jednak najpotężniejsza broń w dziejach ludzkich wojen okazała się zbyt wielką pokusą, żeby USA nie zdecydowały się jej użyć, aby podbić swoją dominację zmierzającą do hegemonii. A śmierć setek tysięcy

Mając w głowie spreparowane powody zrzućcia bomb na Japonię, z największą grozą śledzę dzisiejsze polityczne igranie z konfliktem termojądrowym. Trzeba jeszcze pamiętać, że od lat 50. mocarstwa dysponują rzeczywiście znacznie potężniejszą bronią wodorową. Świat lat 50., 60., 70. i nawet 80. był równocześnie świadkiem potężnego, społecznego oporu w postaci ruchów antywojennych i haseł pacyfistycznych. Jeden ze współtwórców amerykańskiej bomby atomowej, polsko-żydowski fizyk Józef Rotblat, pracujący w Los Alamos, całe swoje życie „po bombie” poświęcił pracy na rzecz rozbrojenia nuklearnego; za działalność (wraz z Bertrandem Russellem) w ruchu Pugwash, grupującym uczonych amerykańskich i radzieckich, otrzymał w 1995 r. Pokojową Nagrodę Nobla. Jest postacią w Polsce niemal zupełnie nieznaną.

W kolejną rocznicę ataku na Hiroszimę możemy sobie tylko życzyć, żeby do głosu doszedł nowy, radykalny ruch antywojenny i pacyfistyczny. Po bombie atomowej i wodorowej wojny miały być niemożliwe. Tak się nie stało. Nie wyobrażam sobie, żeby potężny głos sprzeciwu wobec wojny i użycia broni masowej zagłady wymagał setek tysięcy albo milionów ofiar nowej Hiroszimy. I bynajmniej nie jest to zagrożenie płynące wyłącznie z putinowskiej Rosji. *Si vis pacem – para pacem*. Już kiedyś to pisałem w tych felietonach. Historia Oppenheimera tylko wzmacnia to moje najgłębsze przekonanie.

Drugiego „cudu nad Wisłą” nie było

Powstanie warszawskie w dziennikach

Paweł Sergiejczyk

MOTTO:

Zofia Nałkowska: *Co ich pcha, że (...) idą w śmierć. I wloką za sobą całe to milionowe miasto, które „idzie z dymem” w powietrze.*

1 sierpnia to dzień, w którym co roku władze państwowe i media – żyjące na co dzień bieżącymi wydarzeniami – przypominają sobie o historii. Ale pamiętać to jedno, a myśleć i wyciągać wnioski – drugie. Polityczno-medialny obraz powstania warszawskiego każe postrzegać tamte 63 dni jako jeden z najważniejszych momentów naszych dziejów. Co roku słyszymy o narodowej dumie, godności, moralnym zwycięstwie, nikczemności Niemców i Rosjan. Najwyraźniej Polacy lubią takie patriotyczne pustostowie, za to bardzo nie lubią, gdy im się przypomina o rzeczywistości historycznej.

A rzeczywistość była taka, że owe go feralnego lata 1944 r. powstańców było w Warszawie najwyżej kilkadziesiąt tysięcy (z czego większość faktycznie nieuzbrojona), a ludności cywilnej – prawie milion. Wśród warszawiaków znajdowała się duża część polskich elit – ludzie wykształconych, myślących, piszących. Tych, którym udało się przeżyć pięć lat wojny i okupacji, gdy groziła im zagłada w stopniu większym niż innym grupom społecznym. Niejeden z tych przedstawicieli polskich elit w czasie powstania spisywał na gorąco swoje doświadczenia i przemyślenia. Te zapiski stanowią lekturę wyjątkowo przynębiającą, a jednocześnie prawdziwą – i dlatego jakże różną od tego, co można usłyszeć dziś od

polityków i „urzędowych” historyków czy dziennikarzy.

Wbrew pozorom wybuchowi powstania nie towarzyszyły radość i entuzjazm cywilów. Przynajmniej z ówczesnych dzienników nie da się niczego takiego wyczytać. Znany pisarz i krytyk literacki Karol Irzykowski, mieszkający przy ulicy Filtrowej, pod datą 1 sierpnia 1944 r. zanotował: „W tej chwili na mojej ulicy, pod moimi oknami niemal, o 5 po południu zaczęła się dawno już zapowiadana ruchawka. Wielkie huki bomb i granatów, mniejsze pukania pistoletów i osobnych karabinów, sypiący się gruchot kulomiotów i karabinów maszynowych. Ponieważ nie wychodzimy, nawet nie wychylamy się z okna, pozostają nam tylko wrażenia akustyczne: rozróżnia się instrumenty orkiestry i wysuwa się z tego wniosek dramatyczny”. Następnego zaś dnia zapisał: „Niemiłe uczucie ma się, prowadząc tu w domu życie niby normalne, a tam ludzie padają i dzieją się posunięcia taktyczne”. A 7 sierpnia Irzykowski stwierdził lakonicznie: „Dziś to już śmierć zajaśniała ludziom w oczy, a przynajmniej pożar”.

Pożary i schrony

Zapomniana obecnie pisarka i dziennikarka Stefania Podhorska-Okotów, mieszkająca przy ulicy Hożej, w pierwszych dniach powstania tak opisywała mieszkańców Warszawy: „Coraz więcej osób schodzi do schronu. Niektóre piwnice prywatne są urządzone jak pokój. (...) Postawa obywatelska i nieobywatelska”. To ostatnie zdanie znajduje rozwinięcie także w zapiskach innych autorów. Jak w każdej tego typu sytuacji wśród cywilów byli ludzie, którzy

dbali głównie o własną korzyść: spekulanci każący płacić sobie coraz więcej za żywność, której w oblężonym mieście szybko ubywało, szabrownicy wykorzystujący śmierć lub ucieczkę właścicieli mieszkań czy sklepów, a nawet zwykli złodzieje, jak ci, których opisała 7 sierpnia Maria Dąbrowska: „Ale p. Jerzy miał niemiłą przygodę. Weszli żołnierze, czy podszywający się pod to, i skradli mu doskonały zegarek omega”.

Autorka „Nocy i dni” miała też inne niewesołe obserwacje. 10 sierpnia odnotowała taką oto sytuację: „Rano zjawiła się na Jaworzyńskiej Komisja Czerwonego Krzyża, która oświadczyła, że zabiera dom na szpital. Strasznie ważni panowie – ani do nich przystęp – urzędują. Powiało na mnie biurokratyzmem Polski przedwojennej”. Pięć dni później Dąbrowska zapisała: „Dziś jest pierwszy dzień bez wody. To pogłębia grozę sytuacji. Tragedia zapada w obrzydliwość. Pod naszymi oknami w ogródku pani Kowalczewskiej kopią olbrzymi dół kloaczny”.

Larysa Zajączkowska-Mitznerowa, dziennikarka, po wojnie powieściopisarka znana pod pseudonimem Barbara Gordon, 12 sierpnia 1944 r. tak opisała walczące miasto, obserwując je od strony Pragi: „W Warszawie ciągle pożary. Potworny jest widok palących się zabudowań na Powiślu nad samym brzegiem Wisły. Obserwowaliśmy z matką taki obraz: z płonących domów uciekają ludzie i padają pod ostrzałem. Płomienie odbijają się w wodzie i zabarwiają ją na czerwono – odnosi się wrażenie, że rzeką płynie krew”. Natomiast 15 sierpnia dodała: „Dziś rocznica cudu nad Wisłą. Ale cud był tylko raz. Na powtórkę nie zanosí się”.



Maria Dąbrowska (nz. z lewej) i Anna Kowalska doceniały to, że dni powstania są dniami wolności dla warszawiaków, ale miały też świadomość, że płacą oni za to najwyższą cenę.

2 września ta sama autorka zapisała: „Zaczął się drugi miesiąc Powstania. Na tamtym brzegu rzeki tysiącami giną ludzie, a domy palą się jak pochodnie. Nad miastem w dzień wiszą ciemne chmury dymu, a w nocy jest jasno, jak gdyby świeciły niezliczone słońca. Nie widać już nawet tych dwóch czy trzech sztandarów, które powiewały z najwyższych budynków”.

15 września Eugeniusz Szermientowski, popularny przed wojną pisarz i dziennikarz, zanotował: „Już sześć pełnych tygodni. Nie chce się wierzyć, że to można wytrzymać, przeżyć. A jednak żyjemy. Siedzę w piwnicy. Zimno przejmujące (wieje z kamiennej podłogi). Ciemno i głodno. Gotować nie można, bo dym z komina może zwrócić uwagę wroga. Chleba nie ma ani okruszyny”. Widząc zaś swoją sąsiadkę, właścicielkę psa, Szermientowski napisał: „Rzecz w tym, iż wszystkie psy w okolicy już zjedzone i wielu ostrzy sobie zęby na jej tłustego sky-terriera”. Notatka z 16 września: „Żyjemy jak troglodyci – w brudzie, w zimnie, o głodzie. (...) Strach pomyśleć, co będzie dalej, bo chłody już dają się we znaki. Okna w piwnicy zasłoniłem kawałkami blachy; szyby dawno wyłeciały. Wieje jak sto diabłów”. Z kolei

24 września w dzienniku Szermientowskiego znalazła się taka uwaga: „Sytuacja więcej niż poważna. Stoi mi w myśli Komuna Paryska 1871 r., kiedy łapano szczury. Ktoś mi nawet już mówił, że żołnierze chwytają psy i jedzą je”.

Śmierć za węglem

W dziennikach z sierpnia i września 1944 r. pojawiają się również wątki polityczne. Już pierwszego dnia powstania Karol Irzykowski pisał:

Zamiast narzucać całej Polsce zafałszowaną „pamięć narodową”, lepiej zostawić Warszawie i jej mieszkańcom obchody tej rocznicy – jako najtragiczniejszego momentu w dziejach miasta.

„Wieczór 10, strzelanina prawie ustała. Podobno przez radio nadawali, że domy, z których strzał padnie, zostaną zrównane z ziemią. Nie wiadomo, czy śmierć nie czyha za węglem, czy się nie zacznie tak, jak było w Wilnie, gdzie cywilnych rozstrzelowano. Zawsze nie jest to Oświęcim ani Pawiak. W nocy powinni bolszewicy przynieść pomoc. Zapewne wszystko jest zsynchronizowane”.

Nadzieja wyrażona w ostatnim zdaniu rychło okazała się płonna.

5 sierpnia Irzykowski zanotował: „Ale co się stało z bolszewikami! Nawet ich armat nie słychać już od wczoraj. Jesteśmy sam na sam z Niemcami. Może bolszewicy okrążają Warszawę i przyjdą za pewien czas. A tymczasem oni usiłują systematycznie likwidować nasze siły. Jednak to, że nie bombardują domów, ani nie usiłują dostać się do wewnątrz, świadczy, że boją się jeszcze sił polskich. Oby utrzymały się aż do odsieczy”. Natomiast 7 sierpnia ten sam autor przytaczał następującą pogłoskę: „Już kilka dni temu słychać było jako coś humorystycznego, że Stalin pogniewał się na Polaków za to, że ośmielili się pierwsi wyswobadzać samych siebie i atakować Warszawę. Słyszano jednak jakąś, rzekomą, kanonadę armat bolszewickich na froncie, zwiastującą przesuwanie się wojsk bolszewickich ku Warszawie”.

W podobnym tonie pisała 6 sierpnia Maria Dąbrowska: „Wszyscy komentują fajdacką postawę Moskali, którzy umyślnie zatrzymali swoje wejście do Warszawy, aby Niemcy mogli nas grzebać. Ich lotnictwo, które nas tak przedtem nękało terrorystycznymi nalotami, męczącymi całe dzielnice, nie przyszło nam z pomocą. Ani jeden samolot sowiecki od wybuchu powstania nie pojawił się nad miastem. Zapewne Stalin używa tego jako atutu wobec Mikołajczyka. Albo dasz połowę Polski, albo nie wejdę do Warszawy. Kiedy Polacy

myśleli, że dadzą sobie radę bez Sowietów, to niech giną. Ale my nie zginiemy, postawa miasta jest świetna”.

Przyjaciółka Dąbrowskiej, pisarka Anna Kowalska, pod datą 13 sierpnia 1944 r. stwierdziła w dzienniku: „Łudzę się, że zdobycie Chartres i Châteaudun oraz szybki marsz na Paryż w jakiś sposób wpłynie na wypadki warszawskie, ale rozwiązanie sprawy polsko-rosyjskiej leży chyba jeszcze daleko. (...) Jak długo trwa powstanie, jesteśmy wolni. ▶

► Jest to chyba najwyższa cena, jaką płacić można za dni wolności. Popalone domy, mordowani ludzie, wszędzie żałoba i groza. O Polsko!”. A 31 sierpnia Kowalska zanotowała: „Tylko coś niespodziewanego może ocalić Warszawę, bo brak amunicji, wody i jedzenia, zupełna obojętność świata każą myśleć o najgorszej ewentualności”.

Zacytujmy jeszcze opinię innej pisarki, Zofii Nałkowskiej, która obserwowała powstanie z podwarszawskiej Adamowizny. 15 sierpnia Nałkowska zapisała w dzienniku: „Powstali w chwili, gdy na odcinku Warszawy znalazły się trzy nowe dywizje pancerne najlepszego wojska i odrzuciły w tym miejscu front na wchód, odzyskując zajęty już Radzymin. Jakby nie mieli wywiadu, jakby działali na ślepo, nie zapewniwszy sobie synchronizacji z akcją na froncie, nie nawiązawszy z sojusznikiem do chwili ostatniej porozumienia. Jak dzieci, jeszcze raz wciągnięte w śmiertelną zabawę wojny, ginące dziesiątkami tysięcy, zawsze mężne i zawsze niemądre. Co ich pcha, że wsłuchują się w te głosy po nocy i idą za nimi w śmierć. I wloką za sobą całe to milionowe miasto, które »idzie z dymem« w powietrze. Czym jest ta dymiąca rana na mapie globu w układzie politycznym świata, w decyzjach historii”.

Osamotnione miasto

Świadomość osamotnienia Warszawy była wśród przedstawicieli polskich elit coraz większa. Nikomu nie mieściło się w głowie, że powstanie mogło nie być uzgodnione z Moskwą. Bo choć militarnie skierowane było przeciw Niemcom, to politycznie miało charakter antyradziecki. A żadna akcja antyradziecka w tamtym czasie – gdy gigantyczny walec Armii Czerwonej przetaczał się w stronę Berlina – nie miała szans. Zupełnie zrozumiałe porównania z Paryżem nie brały pod uwagę smutnej rzeczywistości: tam sierpniowe powstanie zorganizował francuski ruch oporu, który był sojusznikiem wkraczającej armii amerykańskiej, natomiast w Warszawie do walki z Niemcami przystąpiła Armia Krajowa podległa rządowi RP w Londynie, który od ponad roku nie utrzymywał stosunków dyplomatycznych z ZSRR. Wizyta premiera Stanisława Mikołajczyka w Moskwie na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. niczego nie przyniosła, bo też przynieść nie mogła. Józef Stalin miał już swój pomysł na powojenną Polskę i nie zamierzał pomagać „londyńskim Polakom” w przywróceniu przedwojennego porządku.

79 lat po tych wydarzeniach powstanie warszawskie nadal pozostaje

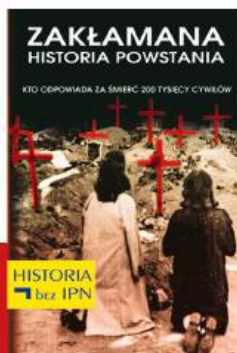
przedmiotem bezkrytycznego kultu wspieranego państwowymi środkami i medialną bezmyślnością. Instytut Pamięci Narodowej od dawna próbuje uczynić z rocznicy 1 sierpnia święto ogólnopolskie, choć w Krakowie czy Poznaniu, nie mówiąc już o Katowicach, Wrocławiu, Szczecinie czy Gdańsku, żadna lokalna pamięć o zrywie Warszawy nie funkcjonuje. Może więc, zamiast sztucznie narzucać całej Polsce zafalszowaną „pamięć narodową”, lepiej zostawić Warszawie i jej mieszkańcom obchody tej rocznicy – jako najtragiczniejszego momentu w dziejach miasta, po którym na szczęście stolica mogła się odrodzić? I odrodziła się – jako nowoczesna metropolia i centrum polskiej kultury.

Trudno bowiem nie przyznać racji Annie Kowalskiej, która pod datą 31 sierpnia 1944 r. poczyniła w dzienniku taką uwagę: „Męczący jest dwoiśty stosunek do wydarzeń: uczucie lojalności do walczących, do ciągłej tradycji i losu polskiego, a jednocześnie wstręt do rzeczy nieudanych, do ciągłych klęsk i niepowodzeń”.

Paweł Siergiejczyk

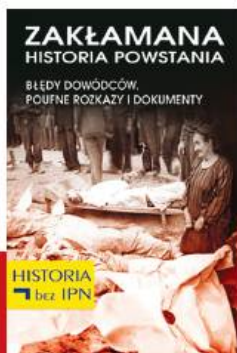
W tekście wykorzystano następujące publikacje: *Dzienniki z Powstania Warszawskiego*, Łomianki 2020; Anna Kowalska, *Dzienniki 1927-1969*, Warszawa 2008; Zofia Nałkowska, *Dzienniki czasu wojny*, Warszawa 1972.

DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU



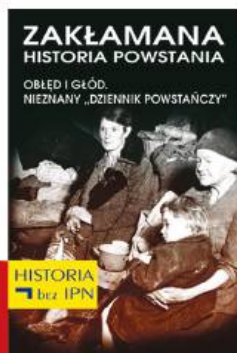
41 zł 31 zł

Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów



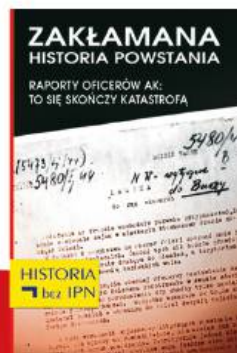
42 zł 32 zł

Błędy dowódców. Poufne rozkazy i dokumenty



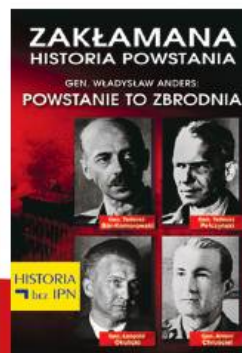
40 zł 30 zł

Obłęd i głód. Nieznany „dziennik powstańczy”



44 zł 34 zł

Raporty oficerów AK: To się skończy katastrofą



43 zł 33 zł

Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska. **Przy zakupie pakietu kurier InPost GRATIS!**

eprasa.pl/b83eb31a24

5 tomów w pakiecie

210 zł 140 zł

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Pamiętając o kontekstach

Od dwóch państw domagamy się uznania ludobójczego charakteru ich dawnych czynów: od Rosji za Katyń i od Ukrainy za rzeź wołyńską. Ale definicję ludobójstwa wypełnia jedynie zbrodnia ukraińska. I nigdy dość przypominania, że miała ona monstrualne rozmiary (według prof. Grzegorza Motyki pochłonęła 100 tys. ofiar polskich naprzeciw 10-15 tys. ukraińskich ofiar polskiego odwetu) oraz że była przez Ukraińców dokonywana z niestychanym okrucieństwem (prof. Ryszard Szawłowski ukuł nawet termin *genocidium atrox* – ludobójstwo zwyrodniałe). Pomordowani nie mają grobów – zaplanowane w roku 2005 urządzenie ok. 100 polskich cmentarzy urwało się w roku 2013, bo Ukraina wciąż mnoży trudności. A jednak – *audiatur et altera pars*. Trzeba się wsłuchać w racje także tamtej strony.

Oto w Polsce, na wzgórzu Monasterz, stał sobie pomnik nagrobny 62 żołnierzy UPA. Ja naprawdę wiem, że UPA była organizacją zbrodniczą, niemniej jednak pomnik został postawiony legalnie. W roku 2016 został on zniszczony. Sprawców nie wykryto, choć pewnie nie było to niemożliwe. Pomnik odbudowano dopiero po czterech latach i wtedy... jakby przyznano rację niszczycielom. Bo nie przywrócono ani wyrytych uprzednio nazwisk poległych, ani napisu: „Zginęli za niepodległą Ukrainę”. Podobno istnieją wątpliwości co do liczby ofiar. Lecz póki niepewności nie usunie ekshumacja, nie ma powodu, by kwestionować liczbę utrwaloną w ukraińskiej tradycji. Natomiast nie sposób już pojąć, dlaczego trzeba było zastąpić napis dotychczasowy formułą: „Zginęli w walce z NKWD”. Bo niby za co zginęli?

To właśnie w odpowiedzi na Monasterz strona ukraińska zareagowała zakazem budowy cmentarzy ofiar wołyńskich. Zgoda, reakcja ta była niewspółmierna i trudno nie uznać, że poszukano pretekstu. Lecz właściwie po co strona polska dała ten pretekst? Bo Ukraińcy mogą bez końca przypominać dzień 24 czerwca 2005 r., gdy we Lwowie otwarto Cmentarz Orłąt. Tak, było z tym sporo przepychanek, trochę awantur, nawet jeszcze po otwarciu cmentarza, ale nekropolia Polaków walczących o polski Lwów stoi sobie w ukraińskim Lwowie zgodnie z polskimi wyobrażeniami. Symbol chwały polskiego oręża w wojnie z Ukraińcami! Czy naprawdę zbyt wygórowane były ukraińskie oczekiwania, by pomnik w Monasterzu realizował z kolei ukraińską pamięć, ukraińskie wyobrażenia?

Cmentarz Obrońców Lwowa – to kontekst bezpośredni. Ale jest jeszcze sporo kontekstów pośrednich, które przy okazji zbrodni wołyńskiej nie są na ogół przywoływane. W mojej niedawnej książce „Pamięć gromadzi prochy” przytaczam takie oto wspomnienie Józefa Rybickiego: „Ukraińcy zamordowali w nocy siekierą dwóch naszych żołnierzy stojących na czujkach. Akcja naszego dowództwa była natychmiastowa i bezwzględna: zastosowano odpowiedzialność zbiorową. Miejsce, w którym wieś otoczono, odbyto sąd nad tutejszą ludnością, po czym podpalono domy, a wszystkich mieszkańców wymordowano. Do dziś to pamiętam: płonąca wieś, wrzaski ludzkie i strzały żandarmerii, która likwiduje wszystkich po kolei”. Wieś galicyjska, która znikła z powierzchni ziemi w roku 1919, wydaje się zapowiedzią wielu wsi wołyńskich, po których w roku 1943 też nie zostało ani śladu.

Źródła ukraińskie z tegoż 1919 r. informują o dokonywanych przez Polaków rozstrzelaniach bez sądu i paleniu przez nich Ukraińców żywcem, po uprzednim oblanie ich naftą. Z kolei prof. Andrzej Leon Sowa, opisując pacyfikację wsi ukraińskich w roku 1930, wspomina m.in. o zabawie polskich żołnierzy, polegającej na robieniu z ukraińskich dziewczyn „tulipanów”. Czyli na wieszaniu ich

głową w dół, ze spódnicami odstawiającymi dolne partie ciała – bielizny spodniej wieś wówczas nie nosiła. Tak, akurat wtedy nikogo nie mordowano. Lecz przecież najtrudniej wybaczyć upokorzenie. A w roku 1938 masowo burzono cerkwie. Najtrudniej wybaczyć podniesienie ręki na sacrum.

Żadna dyskusja o rzezi wołyńskiej nie powinna uciekać od jej przyczyn. A te przyczyny sięgają daleko w przeszłość i nie sposób ich tu nawet zasygnalizować. Tyle że rzeź wołyńska przekroczyła wszelkie wyobrażenia, że może być porównywana tylko do dokonywanych w zbliżonym czasie w Jugosławii zbrodni katolickich ustaszy na prawosławnych Serbach. To były też narody pobratymcze... W każdym jednak razie, właśnie ze względu na wyjątkowość i rozmiar zbrodni, strona ukraińska powinna wydać zgodę na wszystkie polskie ekshumacje. Zgodę – mimo wszystko – bezwarunkową. A polski rachunek sumienia i tak jest konieczny.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Nie zadawaj się z plewami, bo cię świnię zjedzą

Każda wieś prowadzi swój niepisany rejestr złamanych serc.
Największy lęk dziewcząt budzi małżeństwo za morgi

Joanna Kuciel-Frydryszak

Na osłębry, zwane też przystępami lub swatami, do domu panny młodej wysyłany jest rajko, nazywany również dziewostębem albo swatem. Często to ktoś z rodziny, kto ma rozeznaczyć, czy chłopak zostanie przyjęty, ponieważ wybiera mężczyzna i mężczyzna – ojciec dziewczyny – propozycję przyjmuje albo odrzuca. Małżeństwo chłopskie to spółka, która ma zabezpieczać przetrwanie rodziny, a nie romantyczny, emocjonalny związek ludzi sobie bliskich. „Na wsi nie patrzy się przeważnie ani na charakter, ani na wartości duchowe, byle tylko były morgi, to wszystko inne da się jakoś zrobić! Słusznie też

dorasta, drzwi ich domu się nie zamykają. „Było więc ich u mnie, oj było! Co jeden to przystojniejszy lub z większym posagiem – wspomina. – Jeżeli dobrze spał, to naliczyłam 32, nieraz kilku z tej samej wsi, ba!, z tego samego domu”. Melanii wpada w oko pewien Bronek, miły, przystojny i po siedmiu klasach, ale co z tego? „Ojciec mój sprzeciwił się moim planom, a nie do pomysłu było mu się opierać. Nie podjęłam walki o mego chłopca”, wyznaje. Przyjeżdżają więc kolejni i chociaż Melania czerpie satysfakcję ze swojej mocnej pozycji, dociera do niej, że ona sama w tym wszystkim kompletnie się nie liczy: „Byłam tylko przymusowym towarem, który musi się wziąć razem z gospodarstwem”.

urabia chłopaka, by ożenił się z jego córką. Melania czeka jednak cierpliwie, aby narzeczony dał na zapowiedzi. I w końcu daje, ale Melanii o tym nie informuje, ponieważ panną młodą będzie inna. „Runął cały wymarzony gmach szczęścia!”, pisze po latach Melania Burzyńska.

Tradycja umów przedślubnych wciąż się trzyma mocno także w innych klasach, jednak wyższe, a także niższe w miastach, częściej dobierają się w małżeństwa zgodnie z prawem serca – choć w obrębie swoich klas – a nie z nakazu rodziny i w efekcie zimnych kalkulacji (poza arystokracją czy bardzo bogatymi rodzinami, gdzie dziedziczenie majątku ma ogromne znaczenie i gdzie wciąż to ojciec ma decydujący głos).

Wiano w rodzinach chłopskich znacznie się różni od tego w rodzinach mieszczańskich. Kiedy w 1919 r. Stefania Marchew, córka kupca i śpiewaczki, wychodzi za mąż za zakochałego w niej do szaleństwa młodego poetę Juliana Tuwima, małżonkowie spisują, że wnosi ona do małżeństwa całkiem spory posag: „50 000 marek [do 1924 r. w Polsce obowiązującą walutą była marka polska], natomiast w wyprawie ślubnej: garderobę i meble, skórzaną kanapę, 12 krzesel, pianino firmy C.M. Schroeder, 6 obrazów olejnych, bibliotekę ze 100 tomami książek, 4 lichtarze srebrne, łyżeczki do herbaty, dwa dywany perskie, lustro-tremo [lustro stojące – przyp. J.K.-F.], lampę wiszącą, skrzynię do węgla z drzewa sosnowego, całkowite urządzenie kuchni, a także rozmaite drobiazgi służące do upiększenia mieszkania”.

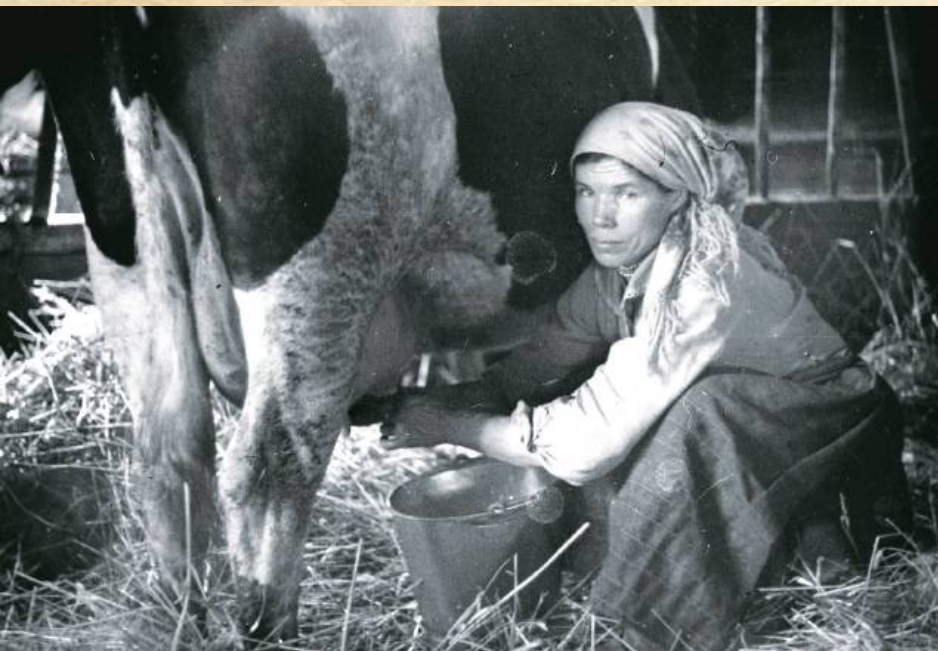
W rodzinach chłopskich przede wszystkim najpierw trzeba zrobić

W rodzinach chłopskich trzeba zrobić rozpoznanie i ustalić, co kto posiada i czy uda się dzięki małżeństwu zabezpieczyć potrzeby pozostałych członków rodziny.

ktos powiedział: »Gdyby koza morgi miała, toby zaraz się wydała«”, pisze Maria Kielarowa w 1939 r. w gazecie „Kobieta Wiejska”.

Melania Burzyńska, rocznik 1917, należy do najlepszych partii we wsi Jaświły na Podlasiu. Jej ojciec, nie dość że bogaty, w dodatku pełni funkcję wójta. I jeszcze – i tu już naprawdę akcje dziewczyny idą mocno w górę – Melania nie ma braci, czyli nie będzie problemu z podziałem majątku, jej siostry się wyda, spłaci i „pójdą na stronę”, jak się mówi w sytuacji, gdy żona przeprowadza się do rodziny męża. Wznieść się w gospodarstwo ojca Melanii to marzenie, więc gdy tylko dziewczyna

W końcu zjawia się u niej w konkurii chłopak na medal: bardzo bogaty, po szkole krawieckiej, do tego przystojny i wysoki. „Był u nas parę razy sam, parę razy przysłał rajka i po pewnym czasie zaproponował, że do mnie przyjdzie w przystępy jego starszy brat, a on poczeka na Reginę (siostrę Melanii), która miała wówczas 15 lat i jeszcze bratu da posag, a Reginę weźmie bez posagu”. Melania nie reflektuje na tę propozycję, oddała już serce innemu, który zaimponował jej lepszym pochodzeniem i wykształceniem – aż średnim. Są po słowie, gdy on nagle zaczyna się ociągać, a do Melanii docierają wieści, że ojciec innej dziewczyny



Kobieta dojąca krowę w oborze we wsi Rząśnik, rok 1935.

rozpoznanie i ustalić, co kto posiada i czy uda się dzięki małżeństwu zabezpieczyć potrzeby pozostałych członków rodziny. „Kawaler ma kilka morgów ziemi, budynki gospodarskie i dom mieszkalny – chce się żenić – chce sobie wyszukać towarzyszkę życia. Czy idzie do tej, którąś sobie sercem upatrzył? Gdzie tam. Oto pewnego wieczora wysłała trzech swatów, każdego do innej dziewczyny. Dobrze po północy pośrednicy mocno podchmieleni wrócili z nowinami i opowiadają, co gdzie słyszeli, a kawaler milczy. Wreszcie uradzili, że Jaga Gózikówna dostanie 5 morgów ziemi, 2 morgi łąki, 2 krowy i cielę, a do tego jeszcze dużą wyprawę i coś złotych na dodatek – Jaga jest najbogatsza i z nią się będzie żenił. Kawaler obliczył dokumentnie morgi, krowy, pierzyny i złociaki i stwierdził, że bogatszej od Jagi w całej okolicy nie ma – zatem będzie to jego żona”, pomstuje w „Kobiecie Wiejskiej” G. Surmaczowa.

Autorka artykułu nie nazywa rzeczy po imieniu, a przecież rzeczona Jaga Gózikówna właśnie została sprzedana.

„W 1922 r. ogłosili mnie do żeniaczki i że mam 12 mórg majątku – pisze uczestniczka konkursu na pamiątnik kobiety wiejskiej stylem, jakim się informuje o przetargu.

– Zaczęły przyjeżdżać kawalery, ale ja nie byłam panna marna. Życie miałam w sobie, nie byłam ostatnia ciemajda. Miałam te 17 lat, nigdy sobie nie pomyślałam, że ojciec dla mnie chce źle”.

Zjawił się szybko poważny kandydat i mężczyźni się dogadali: przyszły mąż wniósł 2000 marek, ojciec dał 12 morgów ziemi. Mąż przyprowadził

Policzone musi zostać wszystko: każda kura, talerz i poduszka.

krowę, a ojciec dał starą szkapinę. „Mój mąż przyjechał do mnie na zaręczyny przy ostatku października, a 18 listopada braliśmy ślub. Tyle było naszego zapoznania. Za czepiec kupiliśmy sobie łóżko, dwoje prosiąt i za resztę mój mąż oddał sobie kawalerski dług”, wspomina dziewczyna.

Policzone musi zostać wszystko: każda kura, talerz i poduszka. Umowę przedmażeńską zatwierdza notariusz, nawet jeśli nowe, wspólne gospodarstwo ma znikomą wartość. W archiwum w Kaliszu wśród przedmażeńskich kontraktów znajdujemy ten zawarty przez Jadwigę Paterek, córkę rolnika z Maciejewa, i Walentego Zaradniaka, rolnika z Koźmina. Umowa głosi, że w małżeństwie

obowiązywać będzie „wspólność majątkowa”, a wartość wspólnego majątku szacowana jest na 1000 zł. Natomiast opłata urzędowa od owego zapisu wynosi 70 zł.

– Ludzie żenili się z zagonami – stwierdza Jadwiga Krasucka z domu Paciorek, rocznik 1930, której matka, pochodząca z mazowieckiej wsi Radomyśl, mając 16 lat, została wydana za starszego o 21 lat mężczyznę. Nikt nie pytał o jej zgodę. Nie była do niczego potrzebna. – Co miała zrobić, jak jej młodszego chłopca dziadek pogonił – wyjaśnia Jadwiga Krasucka.

Ojciec swoje złamane serce leczył całe życie. Rodzina wiedziała, że oddał je córce francuskiego gospodarza, Stefani, gdy rzuciło go do Francji, skąd – kiedy zaczął się światowy kryzys – został odesłany i z czym się nigdy nie pogodził. Przywiózł ze sobą garnitur i trzy kapelusze, w tym melonik. W Polsce dorobił się czwórki dzieci, najmłodszego, gdy miał 54 lata.

– Dla nas był dobry, ale na gospodarkę się nie nadawał, tęsknił za Francją, opowiadał, jak tam jest, to u nas i za sto lat nie będzie. Wszyscy szli kosić, a on zawsze na końcu, taki był z niego gospodarz – opowiada córka Bolestawa Paciorka.

Każda wieś prowadzi swój niepisany rejestr złamanych serc. Jadwiga Krasucka pamięta więc dobrze M., która została wydana za bogatego, chociaż kochała biednego Sz. I wszyscy wiedzieli, że nosi mu na drugi koniec wioski jedzenie, bo miłość nie wygasła, a Sz. się nigdy nie ożenił.

I wraca też myślą do historii Marysi, którą dali na przymus do małżeństwa, za majątnego.

– Opowiadała mi mama, że Marysia całe życie kłęta Ignacego, swojego swata, tak nie lubiła męża. A miała z nim ośmioro dzieci. Pani sobie wyobraża, mieć tyle dzieci i chłopca nie lubić?

– Wszystko miało znaczenie: czy ze wsi szlacheckiej się pochodziło, ▶

czy z włościańskiej – opowiada Elżbieta Orzyłowska-Łęczycka, nauczycielka, autorka monografii mazowieckich wsi Białki i Radomyśli. – Zawsze się na to zwracało uwagę, więc kto się urodził we wsi włościańskiej, nie startowałby do nikogo ze wsi szlacheckiej. Jak ktoś miał nazwisko zakończone na -ski, czuł się kimś i szukał podobnego do siebie. Jeszcze w późnym PRL-u to się liczyło i moje koleżanki się cieszyły, że ich córki dobrze wyszły za mąż i będą miały -ski w nazwisku.

Rodzina Elżbiety Orzyłowskiej-Łęczyckiej, ze strony zarówno ojca, jak i matki wywodziła się ze szlachty zaściankowej, toteż w domu, w izbie głównej nad drzwiami wisiły herby. W następnych pokoleniach ubożeli, dzieląc ziemię między liczne potomstwo i koniec końców, jak wielu zubożałych szlachciców, żyli całkiem podobnie do chłopów. Jednak herb rodowy pozostał i dla nich na znaczeniu nie stracił.

– Różnica między rodzinami szlacheckimi a włościańskimi głównie polegała na większej zamożności w przypadku tych pierwszych, dbałości o zagrodę, na bardziej starannym sposobie ubierania się. Ale przede wszystkim na poczuciu większej wartości. Moja babcia Wiktoria, matka ojca, potrafiła mi przypomnieć, że nie przystoi mi z takim czy innym biednym się zadawać. A jak mój stryjek się zakochał w biednej, to mu dziadek powiedział: „Nie zadawaj się z plewami, bo cię świnię zjedzą” – mówi Elżbieta Orzyłowska-Łęczycka. (...)

Małżeństwo rodziców Janiny Krasuckiej z mazowieckiej wsi Białki nie doszłoby nigdy do skutku, gdyby nie wypadek.

– Mój tatuś upatrzył sobie dziewczynę. Jednak jej rodzice cały czas mówili, że jego rodzina to dziady. Nie mógł się z nią ożenić, ale zabierał na huśtawkę jej młodszą siostrę.



Noszenie wody to jedna z większych bolączek kobiet. Lipnica Murowana w Małopolsce, rok 1932.

Któregoś dnia ona z tej huśtawki spadła i złamała sobie obie nogi. Leżała długo w szpitalu, a mój ojciec odwiedzał ją, zanosił jej różne ziarenka i cukierki. Okazało się, że jedna noga bardzo źle się zrosła, była krótsza i krzywa. Mój dziadek chciał wystać mamusię do Warszawy na operację. Wtedy tatuś jej powiedział: „Nigdzie nie jedź, ja się z tobą ożenię, nawet jak będziesz miała jeszcze gorszą tą nogę”. I słowa dotrzymał – opowiada Janina Krasucka, a po jej twarzy płyną łzy.

Jej ojciec, starszy od matki o 18 lat, przed wypadkiem nie mógłby się z nią ożenić, gdyż pochodził z dziadów. Kiedy dziewczyna ma defekt, przeszkoda przestaje mieć znaczenie.

W rodzinie Piotra Kieżuna zachowała się opowieść o tym, jak wydana za mąż została jego praprababcia Olesia. „Nie miała jeszcze 20 lat, kiedy jej ojciec postanowił ją wydać za mąż. Trzeba przyznać, że to nie było małżeństwo z miłości. Babcia bardzo się wzbraniała przed tym zamążpójściem, choć szanse, że do niego nie dojdzie, były bardzo małe. Matka

była po jej stronie, ale pradiadek Kłosek nie chciał o niczym słyszeć. Gdy obie próbowały go przekonać, żeby zrezygnował z decyzji, ten tylko rzucił: »A kij gdzie?«. Nie było rady. Babcia została panią Nowosielską. Urodziła siedmioro dzieci”, opowiadała Piotrowi Kieżunowi jego babcia, Maria Karpińska.

Praprababcia pochodziła z dość majątnej w porównaniu z resztą mieszkańców wsi rodziny i prawdopodobnie, podejrzewa Piotr Kieżun, jej ojcu nie zależało na majątku przyszłego zięcia, ponieważ to ona wносиła w małżeństwo spory posag.

– Sądzę, że w grę mogły wchodzić jakieś kwestie związane ze statusem społecznym. Jan Kłos, ojciec babci Olesi, był kowalem, bartnikiem, rusznikarzem. Był zamożny, bo był obrotny i roztropnie wydawał pieniądze, upatrzył sobie zięcia, który wydawał mu się pracowity – opowiada Piotr Kieżun.

Okazuje się jednak, że mąż Olesi, tzw. dobry człowiek, lubi się napić i zamiast pomnażać majątek, trwoni go. W końcu to Olesia okazuje się roztropniejsza i za ostatnie pieniądze kupuje połowę domu, bo przecucie podpowiada jej, że rodzina zostanie z niczym. Jej mąż Franciszek zdaje sobie sprawę, że w finansach mu nie wychodzi, i mawia: „Twoja ojcowizna mi się nie wiedzie”.

Elżbieta Orzyłowska-Łęczycka z rodzinnych przekazów szczególnie zapamiętała ten o ucieczce babci Wiktorii. – Dziadek mój, Lucjan, był garbaty i cherlawy, ale dowcipny, miał w sobie to coś. Twierdził, że ma dobre żenidło. Kiedy postanowili go ożenić, znaleźli mu piękną dziewczynę. Jak swat go przywiózł do mojej babci, to od razu uciekła do alkierza, a stamtąd przez okno. I tak było kilka razy. Aż w końcu przytrzymali ją bracia i doszło do rozmowy, wytłumaczyli jej, że Lucio ma dużo ziemi, budynki. „Będiesz miała dobre życie”, przekonywali ją. W końcu powiedziała: „Dobrze,

skoro mnie dajecie na zatracenie”. A potem opowiadała swojej synowej, że przez pół roku nie poszła z nim do łóżka. Ale jej teściowa była mądra i mówiła: „Wikciu, niech się Wikcia przekona do Lucia, bo Lucio jest dobry człowiek”. I chyba się przekonała, skoro sześcioro dzieci spłodzili.

Przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści o swatach naszych przodków zawierają zaskakująco wiele detali. Rzadko kiedy przybierają formę suchej relacji czy zdawkowego sprawozdania, często to emocjonalna opowieść z dialogami i akcją. Jeśli nawet niewiele wiemy o przeszłości naszych rodzin, a nasza babka została wydana za morgi lub z innych, na przykład statusowych powodów, zwykle o tym słyszeliśmy. Jest to bowiem jedno z tych wydarzeń, które naznacza życie kobiet głęboko, a czasem tragicznie. Ów wyrok na kobietą wolność bywa bardzo szczegółowo przez nie zapamiętywany, ponieważ towarzyszy im wstrząs emocjonalny. Neuropsychologia opisuje takie momenty jako *flashbulb*, efekt lampy błyskowej. Pamięć fleszowa zamraża obraz, rejestrując precyzyjnie na przykład, jak byliśmy ubrani, gdy stało się coś, co zmieniło nasze życie lub co najmniej nim wstrząsnęło. Potrafimy odtworzyć nastrój, jaki towarzyszył nam tuż przed incydentem, albo zdanie, które padło i którego już nigdy nie zapomnimy. Dlatego Piotr Kieżun, tak jak wcześniej trzy pokolenia jego rodziny, wie, że Olesia, gdy sprzeciwiała się zamążpójściu, usłyszała od ojca: „A kij gdzie?”.

Dlatego też rodzina Elżbiety Orzyłowskiej-Łęczyckiej zawsze będzie sobie opowiadać o babci Wikci, która swoim braciom usiłującym zmusić ją do zamążpójścia oświadczyła: „Dobrze. Skoro dajecie mnie na zatracenie”.

„Rodzina wiejska potrzebuje zmiany etycznej” – nawołuje Ignacy Solarz, nauczyciel i twórca Uniwersytetu Ludowego w Szycach i Gaci Przeworskiej, i przekonuje, że z rodziny należy uczynić związek dobrowolny i naturalny, a także moralnie silny.

Na razie na dobrowolność mogą bardziej liczyć dziewczęta z biednych rodzin, niemające atutów, które można by przehandlować. Jednak i w tym przypadku pojawia się ryzyko, że zjawi się gospodarz majątny, który zechce dziewczynę poślubić, bo wprawdzie ona nie posiada morgów, ale za to ma urodę i młodość, a przede wszystkim jest potrzebna, by zająć się jego dziećmi, bo żona umarła. Albo dziewczyna cieszy się opinią gospodarniej. Przechodzi wtedy rekrutację jako opiekunka i gospodyni, decydują względy utylitarne, nieistotne, kim ona jest i czego dla siebie chce. Skoro kawaler nie żąda posagu, rodzice nie mogą się oprzeć takiej okazji, wydają dziewczynę bez względu na reputację mężczyzny. Drugi raz taka gratka może się nie trafić.

Umowę przedmażeńską zatwierdza notariusz, nawet jeśli nowe, wspólne gospodarstwo ma znikomą wartość.

16-letnią Eugenię L. z Mazowsza, którą osierociła matka, gdy dziewczynka miała osiem lat, wychowuje ojciec. Człowiek miastowy, dosyć zamożny, wzenił się w gospodarstwo ładnej, zdrowej wiejskiej dziewczyny i teraz, po jej śmierci, stara się zapewnić swoim dzieciom wszystko, czego potrzebują. „Śpiew ptaków i łany pszenicy kołysane wiatrem wprowadziły mnie w rajski nastrój. Podskakiwałam sobie po szerokiej polnej drodze” – po latach opisuje Eugenia ostatni ze szczęśliwych dni w jej życiu.

Gdy w rajskim nastroju wchodzi do domu, zauważa ojca ze szwagrem, mężem swojej starszej siostry. Piją spirytus z miodem, a ona natychmiast wyczuwa ich podekscytowanie. Szwagier rozmawia z nią wesoło, ale dziewczyna rozpoznaje fałszywy ton. W końcu on rzuca: – Ty gdzieś tam sobie latasz, a nie wiesz, że myśmy cię sprzedali i już wódkę wypili.

Wiruje jej w głowie, powtarza sobie kilka razy „to niemożliwe

żarty”, ale czuje, że to ani żarty, ani sen. Ojciec tupie w podłogę:

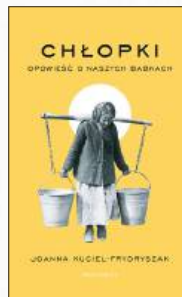
– Musisz wyjść za mąż.

„A ja wołałam, żeby mnie oskalpowano, aniżeli wyjść za tego chłopa, którego rodzice już mnie wytargowali, najbardziej nielubianego ze wszystkich, jakich znałam, nieokrzesanego, brutalnego”, wspomina Eugenia. Nie chodzi tylko o niego, również przyszli teściowie mają fatalną opinię we wsi, należą do najmniej licznych gospodarzy, ale są paserami. Dla jej ojca ich propozycja to okazja, której nie zamierza zaprzepaścić, ponieważ tamci od razu obwieścili, że nie chcą od niego posagu dla córki. Wystarcza im, że dziewczyna jest ładna, pracowita i wiele w domu potrafi, bo chowana bez matki, a więc wszystkiego musiała się

nauczyć. Ojca w tej sytuacji nie obchodzą protesty córki. Kupuje jej piękne ubranie na ślub. Jednak goście weselni zwracają uwagę głównie na jej smutną twarz. „Wolałabym, żeby to był mój pogrzeb. Przeczuwałam, że idę na zmarnowanie”, opowiada. I tak właśnie się stanie.

Dorośłość dziewczyny wiejskiej zaczyna się wraz z jej 16. rokiem życia. To wiek, kiedy uznaje się ją za dojrzałą do małżeństwa. Wkrótce zaczną rodzić dzieci i tak już będzie przez następne 20 lat. Doskonale wie, czego może się spodziewać w dalszym życiu: trudu i zmagania, a często głodu i samotności. To los kobiet w jej rodzinie od pokoleń, dlatego jej własny miałby być lepszy? Najważniejsze trzymać się tego, co przeznaczył dla niej Pan Bóg, i nie pragnąć więcej. Wyróżnianie się i wywyższanie to oznaka pychy, a niepośluszeństwo staje się grzechem. Zapłata za znój czeka w niebie, a tu, na ziemi, trzeba robić to, co należy: pracować i modlić się. (...)

Fragmenty książki Joanny Kuciel-Frydryszak *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*, Marginesy, Warszawa 2023



Szkoła racjonalności czy droga do samozniszczenia?

Izraelczycy spierają się o system prawny,
a Hezbollah obserwuje wewnętrzne podziały

Jakub Katulski

Być może sędziowie izraelskiego Sądu Najwyższego nie spodziewali się, że 25 lipca będą zmuszeni do skrócenia wizyty w Niemczech, której celem była celebracja 75. rocznicy niepodległości Izraela. Jednak kilka pilnych petycji dotyczących reformy sądownictwa pokrzyżowało plany sędziów i prezes Ester Hajut zadecydowała o szybkim powrocie do kraju. Tam zaś już od 30 tygodni trwa gorąca debata, która nie ogranicza się do murów Knesetu. Uliczne protesty wyraźnie pokazują, jak burzliwe są nastroje izraelskiego społeczeństwa.

Przyjęta przez Kneset ustawa zablokuje sędziom możliwość odrzucania decyzji administracyjnych, które są uważane za „nieracjonalne”.

Podgrzała je decyzja parlamentu, który 24 lipca przyjął pierwszą ustawę z pakietu, bezpośredniego ingerującą w kompetencje Sądu Najwyższego. Po trzecim czytaniu i głosami 64 posłów, przy bojkocie opozycji, która nie brała udziału w głosowaniu, przyjęto ustawę, która zablokuje sędziom możliwość odrzucania decyzji administracyjnych uważanych za „nieracjonalne”.

Dla wielu sam fakt, że w Izraelu stosowano takie rozwiązanie, jest dowodem na to, że sędziowie zastępują demokratycznie wybranych urzędników w rządzeniu krajem, choć przecież to nie oni otrzymują od wyborców legitymację do sprawowania swojego urzędu. Przeciwnicy reformy uważają jednak, że ta praktyka jest bezpiecznikiem, który może chronić

prawa obywateli przed nadużyciem ze strony władzy, zwłaszcza kiedy te prawa nie są zapisane w kodeksach czy ustawach. Ich zdaniem łatwiejsze może być odwoływanie prokuratora generalnego (obecna Gali Baharaw-Miara została mianowana w ubiegłym roku jeszcze przez poprzedni rząd, dzisiaj w całości będący w opozycji) czy mianowanie na stanowiska ministrów takich osób jak Arie Deri, lider ultraortodoksyjnej, sefardyjskiej partii Szas, który w ubiegłym roku został przez sąd w Jerozolimie skazany na karę pozbawienia wolności w zawieszeniu za przestępstwa podatkowe. Już w styczniu tego roku Benjamin Netanjahu planował powierzyć

był Ehud Olmert, rząd planował ufortyfikowanie na wypadek ostrzału rakietowego szkół w miejscowościach graniczących ze Strefą Gazy. Miało to dotyczyć jedynie części klas w 24 szkołach, co w opinii Sądu Najwyższego pozostawiałoby wielu uczniów bez odpowiedniej ochrony. Sąd zablokował więc decyzję i nakazał rządowi wzmocnienie wszystkich sal lekcyjnych. To jeden z 44 przypadków zastosowania tej doktryny w ostatniej dekadzie. Nie jest więc ona nadużywana przez władzę sądowniczą.

Izrael nie jest też jedynym krajem na świecie umożliwiającym takie podejście do rządowych decyzji administracyjnych. W Wielkiej Brytanii nazywa się to „nieracjonalnością Wednesbury” – od wyroku sądu apelacyjnego, który zapadł w 1947 r. Toczyła się wówczas batalia sądowa między firmą Associated Provincial Picture Houses Ltd. a Korporacją Wednesbury o umożliwienie otwarcia kina w niedzielę, na podstawie Sunday Entertainments Act z 1932 r. Korporacja Wednesbury przyznała APPL licencję na prowadzenie kina w Staffordshire, pod warunkiem że młodość do 15. roku życia nie będzie mogła z niego korzystać w niedzielę, co według APPL wykroczało poza kompetencje prawne Wednesbury. Po wyroku, który zapadł 10 listopada 1947 r., brytyjskie prawo precedenso- we zyskało szczególną cechę, umożliwiającą sądom blokowanie decyzji administracyjnych, które są „kompletnie absurdalne” i „tak nieracjonalne, że żadna racjonalna władza by ich nie podjęła”. Izrael, przynajmniej częściowo, przejął w spadku po okresie Brytyjskiego Mandatu Palestyny brytyjski porządek prawny, a wraz z nim standard racjonalności.

Deriemu tekę ministra zdrowia, lecz Sąd Najwyższy zablokował tę nominację. Sędziowie powołali się właśnie na kwestię racjonalności, co zostało skrytykowane przez zwolenników koalicji i wyborców partii Szas, którzy argumentowali, że kilkaset tysięcy głosów oddanych na partię Deriego stanowi wystarczającą legitymację do sprawowania władzy i decyzji w tej sprawie nie powinni podejmować sędziowie.

Spadek po Brytyjczykach

Stosowanie doktryny racjonalności nie jest niczym nowym w izraelskich realiach prawnych ani nie jest wykorzystywane wyłącznie do podważania decyzji osobowych. W 2007 r., kiedy premierem Izraela z ramienia prawicowej partii Kadima (hebr. Naprzód)



Do rozpędzenia demonstracji policja użyła armatek wodnych i skunksa – cuchnącego preparatu chemicznego. Jerozolima, 24 lipca 2023 r.

Likwidacja tego standardu prawnego jest więc efektem sporu między tymi, którzy uważają go za wartość samą w sobie i linię obrony przed autorytaryzmem, a tymi, którzy są przekonani, że dzisiaj jest on przede wszystkim metodą wyrażania własnej opinii i światopoglądu przez sędziów.

Skunks na demonstrantów

Po głosowaniu w Knesecie 24 lipca na ulice izraelskich miast znowu wylegli protestujący. Demonstranci zablokowali jedną z głównych arterii komunikacyjnych w kraju – autostradę Ajjalon w Tel Awiwie – a także gromadzili się w innych miejscowościach. W mediach społecznościowych i tradycyjnych szybko zaczęły się pojawiać nagrania ukazujące brutalność policjantów, którzy użyli wobec obywateli nie tylko armatek wodnych i skunksa – cuchnącego preparatu chemicznego wykorzystywanego regularnie przez izraelskie służby do pacyfikowania demonstracji i zamieszek. Na licznych ujęciach widać funkcjonariuszy służb stosujących bezpośrednio siłę, np. przerzucających manifestantów przez betonowe bariery, żeby usunąć ich z blokowanych dróg. Według obliczeń państwowego nadawcy Kan, 32 protestujących zostało rannych i musiało szukać pomocy medycznej.

Wielu aktywistów i działaczy złożyło skargi na brutalność policji, przekonując, że wpływa na nią konfrontacyjne stanowisko ministra bezpieczeństwa publicznego Itamara Ben-Gwira ze skrajnie prawicowego ugrupowania Ocma Jehudit (hebr. Żydowska Siła). Jednak szef policji Kobi Szabtaj w oświadczeniu wydanym 25 lipca bronił policjantów, odrzucając oskarżenia o uleganie wpływom skrajnej prawicy:

Ponad 50% pytanym Izraelczyków przyznało, że boi się wybuchu wojny domowej.

„Nie może powstać fałszywe wrażenie, że decyzje operacyjne są podejmowane z powodu zewnętrznych nacisków. Wszystkie rozkazy są wydawane wyłącznie ze względów zawodowych i operacyjnych”.

Choć Benjamin Netanjahu po głosowaniu w parlamencie wygłosił przemówienie telewizyjne, zapowiadając, że jest otwarty na dialog w kwestii kolejnych ustaw w pakiecie reformy sądownictwa, jego przeciwnicy polityczni pozostają sceptyczni. Jair Lapid, lider opozycyjnego ugrupowania Jesz Atid (hebr. Jest

Przyszłość), uważa, że to jedynie puste słowa. Prezydent Icchak Herzog, oficjalnie neutralny, ale przez środowiska prorządowe często traktowany jak polityk opozycji ze względu na jego wezwania do dialogu w sprawie reformy, od wielu tygodni alarmuje, że w kraju pogłębiają się podziały społeczne. W środę 26 lipca wezwał wszystkich Izraelczyków do powstrzymania się od przemocy, zaznaczył również, że bezpieczeństwu

kraju zagraża rosnąca liczba rezerwistów, którzy chcą odmówić służby, jeśli reforma sądownictwa zostanie przeforsowana.

Sędziowie Sądu Najwyższego, którzy wrócili do kraju po przegłosowaniu reformy, podjęli decyzję, że w tej chwili nie zawieszą nowego prawa, choć wpłynęły do nich petycje w tej sprawie, a jedną z nich poparła prokurator generalna Baharaw-Miara. Wnioskujący domagają się m.in. nakazania Netanjahu rezygnacji ze stanowiska szefa rządu, co jednak wymagałoby od sędziów uznania

► za niekonstytucyjne jednego z Praw podstawowych – 13 ustaw, które w Izraelu pełnią częściowo funkcję konstytucji (kraj od powstania w 1948 r. wciąż się jej nie dorobił). Byłby to niebezpieczny precedens, ponieważ według części środowiska prawniczego Sąd Najwyższy kompetencje do oceny prawa posiada właśnie na mocy tych 13 ustaw, nie może tym samym ich unieważniać. Jeśli podjąłby taką decyzję, doszłoby do kryzysu konstytucyjnego, który i tak może zostać wywołany przy okazji tej reformy. W takiej sytuacji sędziowie, adwokaci, urzędnicy, wojskowi, policjanci, politycy i cała rzesza innych osób będą musieli podjąć decyzję, czy są lojalni wobec wyroków sądu, czy wobec ustawodawstwa parlamentu.

Hamas i Hezbollah czekają

Na taką decyzję czas jednak dopiero przyjdzie, bo 31 lipca parlament rozpoczyna przerwę letnią i dopiero we wrześniu sędziowie mają rozważyć, czy zdecydować się na zamrożenie

nowych przepisów. Do tego momentu ani koalicja, ani opozycja nie będą mogły działać w Knesecie i dalej forsować reformy. Nie należy mimo wszystko się spodziewać, że protesty ustaną, gdyż jedną ze strategii ruchu sprzeciwiającego się reformie jest utrzymanie stałej obecności na izraelskiej ulicy.

Media takie jak Kanał 13 izraelskiej telewizji już pokazują sondaże, według których 28% Izraelczyków zastanawia się nad emigracją ze względu na reformę. O ile taka liczba wydaje się przesadzona, o tyle fakt, że w tym samym badaniu ponad 50% respondentów przyznało, że boi się wybuchu wojny domowej, powinien dać do myślenia obu stronom politycznego konfliktu. Tym bardziej że zarówno palestyński Hamas, jak i libański Hezbollah na nic tak nie czekają jak na utratę zdolności operacyjnej przez izraelskie wojsko i na wewnętrzny chaos w szeregach swojego największego wroga. O ile w walce z Hamasem Izrael ma bogate doświadczenie, o tyle konflikt z Hezbollahem spędza izraelskim

wojskowym sen z powiek. Zwłaszcza że ostatnia duża operacja przeciwko szyickiemu ugrupowaniu w Libanie w 2006 r. w dużej mierze uważana jest za porażkę, która kosztowała życie wielu żołnierzy i nie osiągnęła strategicznych celów. A już dzisiaj sytuacja na północnej granicy Izraela jest napięta i sekretarz generalny Hezbollahu Hassan Nasr Allah w triumfalnych przemowach wieszczy, że „Izrael jest na ścieżce do samozniszczenia”.

W lipcu Hezbollah ustawił namioty na spornym terytorium Farm Szeba w pobliżu Wzgórz Golan, a izraelscy żołnierze powstrzymali próbę uszkodzenia płotu rozdzielającego terytoria obu krajów. Jeden z namiotów wciąż stoi, a Nasr Allah, choć izraelskie wojsko wzywa do usunięcia budowli, mówi, że Izraelczycy nie odważą się na konfrontację, gdyż „wiedzą, co nastąpi”. Wewnętrzne podziały w Izraelu są bacznie obserwowane przez Hezbollah i regionalni rywale będą chcieli je wykorzystać, jeśli tylko będą mieli okazję.

Jakub Katulski

**Te mamy
nas potrzebują**
Ми потрібні
цим мамам

Wspieraj pomoc medyczną w Ukrainie



www.pmm.org.pl

 Polska Misja
Medyczna

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Zbliżają się wybory – po raz kolejny zabrzmią trąby zwiastujące zbawienie. Słuchając zapewnień i obietnic, zachowajmy czujność. Lazarus Morell, jeden z bohaterów „Powszechnej historii nikczemności” Jorge Luisa Borgesa, znakomicie czuł się na ambonie, wygłaszał poruszające kazania. W tym czasie jego kompani kradli konie „nabożnych słuchaczy”. Czy wiemy, co dzieje się wokół nas, gdy iskry prawdy sypią się z ust naszych kaznodziejów? Co rozpościera się za kurtyną świątobliwych haseł?

Wyobraźmy sobie – po wysłuchaniu kazań, otrząsnąwszy się ze wzruszeń, wynurzając się z mgły frazesów, usłyszmy okrzyk: „Gdzie są nasze konie?”. Rozpacz! Na piechotę nigdzie przecież nie dojdziemy, utkniemy w miejscu – świat nam ucieknie. W tym punkcie ciśnienie się podnosi. Widzimy, że przewielebni – zacni i dobrotliwi – kradnąc nasze konie, kradną w istocie naszą przyszłość.

Niestety, grabież przyszłości to wielka pokusa. To właśnie przyszłość jest „politycznym złotem”. To na tym obszarze odbywa się taniec godowy „zbawców narodu”. Sprzedawane są nieruchomości na Marsie, za cenę realnych wywłaszczeń dokonujących się tu, na Ziemi. Ktoś powie: jaki to wspaniały kierunek, ja też chciałbym mieć domek letniskowy na Marsie. Pojechać tam własnym elektrycznym samochodem wyprodukowanym w naszej ojczyźnie. Piękna przyszłość, o co tu się spierać?

Ktoś doda: wszystko jest już w toku – politycy robią sporo, wyrąbali już nawet kawałek lasu, by zrealizować nasze marzenia o elektrycznych samochodach. Pot im płynie z czoła – wciąż rozkładają pawy ogon, wciąż się puszą. Sporo roboty. Za tę ofiarność bardzo ich kochamy.

Czasami trzeba jednak sięgnąć po szklanek zimnej wody. Czy miłość wyklucza patrzeć na ręce? Jeśli przewielebny kaznodzieja nieustannie przegrywa w pokera i wynosi z zakrystii cenne przedmioty (albo bez opamiętania

Czy ktoś nie kradnie nam koni?

Proszę mi darować metaforyczność moich napomnień, ale czasami metafora dotyka spraw najważniejszych bardziej bezpośrednio niż najdłuższy opis. A więc, wracając do tematu, zauważmy – czyny szalbierzy nie wymagają jakichś nadnaturalnych umiejętności. Najważniejszy jest dar okłamywania, umiejętność dawania fałszywego świadectwa. Jak wiemy, talentów nam nie brakuje, na pocieszenie zaznaczmy jednak: profesja kłamcy obciążona jest sporym ryzykiem. Dodam tu jeszcze jeden cytat – tym razem rzecz dotyczy Dzikiego Zachodu. W powieści „Krwawy południk” odnajdziemy następującą scenę – trwa kazanie, nagle pojawia się groźny nieznajomy i przerywa duszpasterską potoczność następującymi słowami: „Prawdę mówiąc, człowiek, który przed wami stoi i podaje się za sługę bożego, to nie tylko zupełny analfabeta, ale też przestępca ścigany prawem w stanach Tennessee, Kentucky, Missisipi i Arkansas”. No i tyle zostaje z reputacji męża bożego. Kto wie, może i my doczekamy się uśmiechu losu. Co to będzie, gdy ktoś nagle przerwie taneczne płąsy szamanów „dobrej zmiany” i czyniąc wyłom w liturgii zakłamania, zawoła: „Śmieszni jesteście!”? Co wtedy – czy runą do otchłani?

Przekonamy się, na razie bądźmy ostrożni. Płasy to taniec okularnika, gdzieś pod maską świątobliwości, w płątaniu nabożnych haseł, ukryte są zęby jadowe. Kapłani wiarołomstwa mogą uczynić wszystko – na naszych oczach ołtarze przekształcili w polityczną estradę. Cudotwórcy, zaiste. Co dalej?

uszczupla drzewostan parafii), nabożni nie mogą udawać, że nic się nie dzieje.

Pomyśleć trzeba o tym, że wyprzedaż lasów wcale nie umożliwi nam wybudowania kolei na Marsa wyruszającej z Centralnego Portu Komunikacyjnego. Miliardy wdeptane w błoto – kto je policzy – są często sygnaturą ludzkiej krzywdy. Są wśród nas ci, których „szprychy” tworzące element politycznych fantasmagorii o nazwie CPK naprawdę zraniły – wbiły się im w ciało.

Ktoś powie: chodź o wielkie cele. O nie, nie tak to wygląda. Prawdziwe jest tylko kłamstwo, reszta budzi wątpliwości. Sorki, jak można powiedzieć, wsłuchując się w język epoki – jakie znaczenie mają tekturowe czekki? Tekturowe czekki, państwo z tektury. Patrzmy więc dzisiaj uważnie na tych, którzy stają na ambonie. W kalkulacjach dotyczących działek na Marsie ostatecznie chodzi przecież o władzę, o interesy partyjne, o to, żeby utrzymać się na stanowiskach. My jesteśmy figurantami, którzy mają stanąć na tle tekturowych piramid.

Tak toczy się nasza własna historia nikczemności, tak powstaje nowy akapit w powszechnej księdze ohydy. Uzbrojeni w podejrzliwość nie liczymy jednak na zbyt wiele. Czy władzę można oddzielić od podłych skłonności? No nie, dajmy sobie spokój z fantazjowaniem. Max Weber przekazał nam ważną myśl – polityka to rzemiosło diabelskie; tam, gdzie jest władza, jest całe zło świata, z kłamstwem na czele. Mijając polityczną ambonę, sięgnijmy po kropidło.

Stary konflikt, nowe życie

Czy Syria doczeka się planu powojennej odbudowy?



Mateusz Mazzini

Na każdym kroku rozwieszone są plakaty z wizerunkiem Asada, często razem z Władimirem Putinem.

Choć to teza w obecnym klimacie geopolitycznym dość ryzykowna, spośród wszystkich starć militarnych XXI w. właśnie wojna domowa w Syrii była i jest konfliktem, który najsilniej odbija się na życiu Europejczyków. Ta najbardziej namacalna płaszczyzna to wywołany wojną kryzys migracyjny, który z różną intensywnością trwa do dziś. Doprowadził on do wyjścia z cienia demonów nacjonalizmu, walenie przyczyniając się do wzmocnienia polityków w typie Viktora Orbána czy Giorgii Meloni. Wojna w Syrii wsparła też rządy Recepta Erdoğan w Turcji – Unia Europejska może go krytykować w sposób co najwyżej ograniczony, to on bowiem zgodził się przechować (bo o asymilacji trudno mówić) na terytorium swojego

kraju 3,5 mln syryjskich uchodźców, jak wylicza UNHCR, agencja ONZ ds. uchodźców. To, że są oni w tej chwili w Turcji, dla Brukseli oznacza, że nie ma ich w Europie, za co zresztą Wspólnota płaci ogromne pieniądze – 6 mld euro rocznie.

Daleko do normalności

Opisywanie skutków tego konfliktu przypomina rzucanie kamieni w wodę i obserwowanie coraz szerszych kręgów na powierzchni. Niezdecydowanie Baracka Obamy w kwestii ewentualnej wojskowej interwencji USA przeciwko reżimowi Baszara al-Asada było początkiem otwartego kwestionowania amerykańskiego przywództwa w świecie, utarowało też drogę Rosjanom

do militarnej obecności na Bliskim Wschodzie. Syria stała się poligonem nie tylko dla regularnych wojsk Kremla, ale przede wszystkim dla najemników z Grupy Wagnera, którzy tam zdobyli pierwsze poważne doświadczenia w otwartych starciach bojowych, wykorzystywane teraz przez nich na froncie ukraińskim. Ten konflikt wstrząsnął relacjami Waszyngtonu z najważniejszymi europejskimi stolicami i z Izraelem, a Rosjanom dał zastrzyk strategicznej pewności siebie. Przekształcił się w żywną glebę dla islamskiego terroryzmu, który przez kilka lat regularnie manifestował się na ulicach europejskich miast. Wreszcie – co w dyskusjach o Syrii pojawia się coraz częściej, ale i tak za późno – konflikt ten określa się mianem

pierwszej w historii ludzkości wojny klimatycznej, za jej bezpośrednią przyczynę uznając wielką suszę z 2006 r., następującą po niej migrację ludności wiejskiej do miast i wynikające z niej zwarcia na tle etnicznym i religijnym.

Powody, dla których Europejczykom powinno zależeć na zakończeniu tej wojny, można wymieniać długo. Tymczasem, choć konflikt ten bardziej się tli w tej chwili niż bucha otwartym ogniem, Syrii wciąż daleko do normalności. Jakby tego

oficjalnych statystyk tamtejszego rządu przez ostatnie kilka lat kraj regularnie odwiedzało prawie 2,5 mln osób, w tym roku władze oczekują przebicia pułapu 3 mln. W większości są to turyści z Rosji i krajów Europy Środkowo-Wschodniej, choć trafiają się przybysze z Ameryki Łacińskiej, Europy Zachodniej czy Azji. To oczywiście wciąż ułamek w porównaniu z latami przedwojennej świetności – w 2010 r., jedyny raz w historii kraju, do Syrii wjechało 10 mln obco-krajowców, ale trend jest wyraźnie

wypowiedzianym w obecności niewłaściwych osób.

Fatalne skutki izolacji

Podróż przez resztę kraju rozwiewa nadzieje tych, którzy liczyli na szybki powrót Syryjczyków do normalności. Hims, Aleppo i inne duże miasta są właściwie gruzowiskami, na których normalnego życia prowadzić się nie da. W kraju brakuje kapitału do przeprowadzenia inwestycji infrastrukturalnych i nic nie wskazuje na to, by miał się on pojawić. Waszyngton i Bruksela stoją twardo na stanowisku, że bez politycznej normalizacji, zakończenia tortur i prześladowań oraz zerwania sojuszy z przeciwnikami Zachodu nie będzie zniesienia sankcji. ONZ wylicza, że do pełnej odbudowy kraju potrzeba ok. 1 bln dol., na razie nie ma mowy o takiej kwocie. W lutym amerykański Kongres jednogłośnie poparł przedłużenie tzw. sankcji Cezara, nałożonych w 2019 r. i nazwanych tak od pseudonimu syryjskiego fotografa, który przesmuglował na Zachód zdjęcia przeciwników reżimu torturowanych przez ludzi Asada. Sankcje obejmują nie tylko zakaz inwestowania w Syrii przez europejskie i amerykańskie spółki czy handlu tamtejszymi surowcami, ale też kary dla sektora finansowego i wszystkich, którzy pomagają Asadowi w prowadzeniu transakcji międzynarodowych i ukrywaniu jego majątku.

Aż 4,1 mln Syryjczyków jest na co dzień całkowicie zależnych od wsparcia przekazywanego pod auspicjami ONZ.

było mało, w tym czasie na rubieżach zjednoczonej Europy wybuchła kolejna zbrojna awantura, przez Zachód potraktowana znacznie poważniej. Bo bliżej granic Wspólnoty, bo adwersarz wagi ciężkiej, w dodatku z bronią nuklearną. Bo Putin kwestionuje cały zachodniocentryczny porządek międzynarodowy, przytula się do Chin, blokuje rozwój NATO. Skoro jednak powoli zaczyna się debata na temat powojennej rekonstrukcji Ukrainy, a korporacje amerykańskie i europejskie ustawiają się w kolejce do krojenia tortu, wypada zadać pytanie: co z odbudową Syrii?

Damaszek i reszta

Stary Kontynent tak bardzo już przywykł do telewizyjnych migawek z kompletnie zdewastowanych Hims czy Aleppo, że większość odbiorców informacji przenosi te wyobrażenia katastrofy na całe terytorium Syrii. W powszechnym wyobrażeniu to nadal państwo upadłe, w którym nie da się żyć, z którego ucieka każdy, kto jest w stanie przeżyć trudną, czasem śmiertelnie niebezpieczną drogę do Europy. Tymczasem w Syrii nadal żyją ludzie – i to często ludzie szczęśliwi, wstający rano do pracy, a wieczorem szykujący się spokojnie do snu. W Damaszku, stolicy kraju, zamieszkaney nieprzerwanie od 12 tys. lat, są miejsca nietknięte przez wojnę. Co więcej, wraca do nich turystyka międzynarodowa. Według

wzrostowy. Damaszek nie tętni jeszcze życiem jak kiedyś, ale na jego ulicach spotkać można licencjonowanych przewodników z megafoonami i kolorowymi parasolkami. Dla kraju, z którego od 2011 r. uciekło prawie 7 mln osób, a niemal drugie tyle musiało migrować wewnętrznie, to naprawdę spory sukces.

Problem polega na tym, że im dalej od stolicy, tym gorzej. Trasę z Bejrutu do Damaszku, swego czasu niezwykle popularną wśród bliskowschodnich elit i możliwą do pokonania w nieco ponad dwie i pół godziny, dziś przemierza się nawet 12 godzin, głównie z powodu uporczywych kontroli celnych i kolejek na granicy. Każdemu, kto

Na razie w odbudowę Syrii mogą się angażować tylko kraje sojusznicze, takie jak Chiny czy Rosja, i sąsiedzi.

chce Syrię po prostu zwiedzić, może ona się wydać miejscem wciąż bardzo niebezpiecznym – i słusznie. Wszędzie wiszą plakaty z wizerunkiem Asada, często w towarzystwie Władimira Putina, a pozostający w Syrii korespondenci, pracownicy organizacji humanitarnych i dyplomaci radzą nie rozmawiać za głośno o tutejszym reżimie, nawet we własnym języku, bo dyktator trzyma się u władzy również dzięki powszechnemu donosicielstwu. Łatwo więc podpaść nawet jednym zdaniem

Wbrew pozorom nie są to wyłącznie lokalne ani mało znane instytucje – rozmaite śledztwa dziennikarskie wykazały, że majątkiem syryjskiego dyktatora i jego rodziny zarządzały prestiżowe europejskie banki, w tym obecne również w Polsce BNP Paribas czy Société Générale. Jeśli dodać do tego fakt, że Syria na amerykańskiej liście sankcyjnej znajduje się nieprzerwanie od 1979 r., kiedy po raz pierwszy została uznana za kraj sponsorujący terroryzm międzynarodowy, a od tego czasu pętla na szyi ►

► Damaszku tylko się zaciskała, łatwo zrozumieć, jak bardzo odizolowane od reszty świata jest to państwo.

Restrykcyjność tych sankcji ma też gorsze strony, bo międzynarodowe instytucje finansowe pomagają również w dystrybucji środków pomocowych od takich instytucji jak ONZ. Widać to było chociażby po lutowym trzęsieniu ziemi, którego epicentrum znajdowało się w południowo-wschodniej Turcji i które na terenie Syrii pochłonęło prawie 8,5 tys. ofiar śmiertelnych. Co prawda, zastępca sekretarza Departamentu Handlu Wally Adeyemo zapewniał, że sankcje w żaden sposób nie blokują pomocy humanitarnej, ale Zachód miał olbrzymi problem z tym, że Asad zażądał centralizacji działań pomocowych i przepuszczania wszystkich transportów oraz przelewów od organizacji międzynarodowych przez Damaszek. Charles Lister, amerykański politolog i arabista, dyrektor programu ds. Syrii w amerykańskim think tanku Middle East Institute, ocenił wtedy na łamach „Guardiana”, że właśnie z powodu konfliktu z syryjskim rządem Narody Zjednoczone nawet nie próbowały podjąć bardziej ambitnych działań pomocowych. W efekcie w ciągu pierwszych kilku-nastu dni po trzęsieniu ziemi przez

granice turecko-syryjską przejechały raptem dwa konwoje humanitarne, z czego jeden przygotowany był jeszcze przed katastrofą. To tylko ostatni z problemów syryjskiego społeczeństwa, w którym i tak aż 4,1 mln osób jest na co dzień całkowicie zależnych od wsparcia przekazywanego pod auspicjami ONZ.

Kraina captagonu

Katastrofa 12 lat wojny domowej sprawiła też, że Syria stała się przyczółkiem dla zorganizowanej przestępczości. To stąd do Europy trafiają teraz rekordowe ilości narkotyków, zwłaszcza captagonu – substancji stymulującej na bazie fenetyliny. Działa podobnie jak amfetamina, a według szacunków brytyjskiego

W pięciu krajach sąsiadujących z Syrią żyje aż 5,5 mln Syryjczyków.

rządu aż 80% jej światowych zasobów pochodzi z Syrii. Swego czasu najwięcej produkowano jej w Bułgarii i Turcji, ale wejście tego pierwszego kraju do Unii i zbliżenie Ankarę do Zachodu wymusiły politykę silnej ręki wobec międzynarodowych gangów i spowodowały przeniesienie produkcji na Bliski Wschód. Jak donosi Al-Dżazira, w zyskach z handlu narkotykami partycypuje nawet reżim Asada, który współpracuje przy produkcji i dystrybucji z innymi organizacjami, w tym z Hezbołłahem. 1 maja na spotkaniu ministrów spraw zagranicznych Ligi Arabskiej w Ammanie, w którym uczestniczyli również przedstawiciele rządu w Damaszku, podjęto inicjatywę współpracy transnarodowej w celu ograniczenia przemytu captagonu do innych krajów regionu – najwięcej konfiskuje się go ostatnimi czasy w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Z całkowitym wyeliminowaniem tego zjawiska będzie jednak problem, bo po wybuchu wojny handel narkotykami stał się nie tylko powszechnym, ale często wręcz jedynym źródłem zarobku dla tysięcy Syryjczyków. W tym dla samego Asada i jego rodziny, co

ujawniły w ubiegłym tygodniu publikacje BBC. Reporterzy stacji dotarli do Aleppo, gdzie rozmawiali m.in. z syryjskimi wojskowymi średniego szczebla, handlującymi captagonem w imieniu rządu. Asadowi tak bardzo nie spodobały się te informacje, że momentalnie cofnął Brytyjczykom akredytacje prasowe.

Na razie więc angażować się w odbudowę Syrii mogą wyłącznie kraje sojusznice, takie jak Chiny czy Rosja, oraz sąsiedzi. Dla nich przywrócenie stabilności w Damaszku jest szczególnie ważne, bo syryjski kryzys od lat rozlewa się na cały region. Według danych UNHCR w pięciu krajach sąsiadujących z Syrią żyje aż 5,5 mln Syryjczyków, a trwająca wojna domowa odbiła się bardzo niekorzystnie na gospodarkach tych państw. Dr Majid Rafizadeh, amerykański ekonomista irańskiego pochodzenia, wylicza na łamach portalu Arab News, że łącznie PKB

Iraku, Libanu i Syrii skurczył się od 2010 r. aż o 11,3%. Spadają wpływy z turystyki i inwestycji zagranicznych, do tego dochodzą wspomniane sankcje UE i USA, które często rozciągają się na sąsiadujące z Syrią kraje, oskarżane o goszczenie firm podejrzanych o wspieranie terroryzmu.

W szerszej perspektywie jednak odbudowanie Syrii leży w interesie całego Zachodu. Pomagając w tym, Amerykanie ograniczyliby wpływ Rosji na Bliskim Wschodzie, odcinając Putina od ważnego poligonu dla wojska i kanału współpracy chociażby z Iranem. Bruksela zyskałaby większą kontrolę nad ruchem migracyjnym – co szczególnie ważne teraz, gdy jak Europa długa i szeroka rekordowe wyniki w wyborach notują partie skrajnie prawicowe, a kwestia imigrantów i uchodźców polaryzuje społeczeństwa prawie tak samo jak w 2015 r. Wszystko to jednak na razie fikcja polityczna – dopóki w Damaszku rządzi Baszar al-Asad. Dyktator, którego zakładnikami są dziś wszyscy Syryjczycy i cała ich przyszłość.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Nad jeziorem

Mieszkamy w drewnianym domu na małym wznie-
sieniu, z dojściem do jeziora, jezioro puste,
czasami zakrzyczą żurawie, zabłąka się łabędź.
W pobliżu, ale nie za blisko, wiejska droga, zawsze się
kurzyła, gdy jechał samochód. Teraz szok cywilizacyjny,
wylano asfalt, porobiono rowy melioracyjne po bokach.
Ten czarny jak noc asfalt zdaje się tu ciałem obcym, jest
nie na miejscu, wije się między sielskimi polami i lasem,
jak przybysz z innej planety. Miejscowi szczęśliwi, że cy-
wilizacja do nich dotarła, i jeżdżą jak wariaci. Zaraz ktoś
tu zginie, to pewne. Jedziemy na obiad do osady Wigry,
nad jeziorem o tej samej nazwie. Niezwykły barokowy
kościół i klasztor na małym wzgórzu. Harmonia. W re-
stauracji widok na kościół, piję ten widok do dna.

Małe przyjęcie u naszych znajomych. Ognisko, pieką
się kielbaski. Iwona i Piotr mają w pobliżu dom, ona jest
utalentowaną malarką. Są ich
znajomi, na ogół z Warszawy,
mają w okolicy letniskowe
domki. Zaczyna kropić, więc
do domu – drewniany, pełen
pięknych, starych przedmio-
tów. Piotr go rozbudowuje,
potrafi wszystko sam zrobić.

Czerstwy, ogorzały, wygląda na chłopca, tym większy
kontrast, gdy siada do fortepianu z XIX w. i pięknie gra.
Ludzie na ogół w moim wieku, to szokujące, jak starzy
są ludzie w moim wieku.

Tomek, kolega z dawnych lat, uciekł z Warszawy na
rzucaną w pobliżu Gołdapi wieś blisko granicy z Królew-
cem (słuszna decyzja o zmianie nazwy). Gospodarz wita
nas niezupełnie trzeźwy, więc tym bardziej serdeczny.
Ma kilkadziesiąt uli i można powiedzieć, że dobrze żyje
z miodu, ale czy słodko – wątpię. Czyścimy miodne ram-
ki, odwirowujemy z nich miód i napełniamy nim słoiki,
które pełne dostaniemy w prezencie. Tomek ma poglądy
prawicowe, ale serdecznie prawicowe, w końcu serdecz-
ny człowiek. Chodzi do kościoła, nie wierzy w zmiany
klimatyczne, wątpi w covid. Tu już zapala mi się lamp-
ka alarmowa. Widzę, że czyta „Rzeczpospolitą” i ogląda
serwis Polsatu, jednak nie „Wiadomości” i nie TVN. Nie
PiS zatem, a jeśli nie PiS, to przy takiej chemii psychicz-
nej Konfederacja. Ściskając go na pożegnanie, pytam, na
kogo będzie głosował. „Konfederacja”. Niestety, trafiłem.

W sklepiu w pobliskich Gibach – trudno znaleźć
w Polsce brzydsze miasteczko – są tylko jakieś pisem-
ka sportowe oraz „Dziennik Polski” i „Nie”. Stykają się

głowami. Przeglądam pierwszą stronę „Dziennika” – kse-
nofobia i paranoja w czystej postaci. Strach mi zaglądać
do „Nie”, by nie okazało się, że to dzieło Urbana teraz
nagle mi bliskie.

W „Roku myśliwego” Miłosz mocno pisze o swojej
niechęci do Polski narodowo-prawicowej, endeckiej.
Czyli do tego, co teraz mamy na tapecie. Miłosz zawsze
niezwykle ostro oceniał też polskie ciemne widzenie, roz-
pacz i malkontentstwo, czego bez miary w naszej sztuce,
a szczególnie w poezji. Pamiętam, że krytykował moje fe-
lietony w paryskiej „Kulturze” pisane pod pseudonimem
„Smecz” za pesymizm, a jednak pilnie je czytał. Kiedyś
jadłem kolację w znakomitym gronie, był Miłosz z żo-
ną Carol, Szymborska i litewski poeta Tomas Venclova.
Miłosz wrócił z kilku spotkań autorskich na Śląsku, był

przeżarty. Nagle powiedział
do mnie: „Coś mi się niestety
wydaje, że »Smecz« może mieć
w swoim pesymizmie wobec
Polski rację”. Paradoksalnie te-
raz Polskę widzę mniej ciemno
niż wtedy, kiedy czułem, że to
wszystko zmierza do ciemno-

grodu, chociaż teraz zdaje się być o wiele więcej powo-
dów do rozpacz. Wierzę, wbrew dosyć powszechnej
opinii, że wyjdziemy po PiS na prostą, choć nie będzie to
łatwe. I cena będzie wysoka. Napaskudzili na pokolenia.

„Rok myśliwego” wzbogaca mi czas nad jeziorem. Mi-
łosz pięknie pisze o żonie. „Kochałem ją, nie wiedząc, kim
była naprawdę. Zadawałem jej ból, goniąc za moją utudą.
Zdradzałem ją z kobietami, jej jednej wierny. Zazналиśmy
wiele szczęścia i wiele nieszczęścia”. Lubię też myśl Mi-
łosza, że nie ma właściwie normalnych, idealnych ludzi.
„Zawsze, kiedy bliżej się przyjrzeć, »normalność« okazuje
się całkiem krzywa, tak jak szukając choinki na Boże Naro-
dzenie, przekonujemy się, że nie ma drzewek idealnych”.

Trafna myśl znaleziona w śmietniku internetu, autor
nieznany: „Jesteśmy ostatnim pokoleniem, które słu-
chało swoich rodziców. I pierwszym pokoleniem, które
słucha swoich dzieci”. Nasze dzieci już nas nie słu-
chają, zanurzone w internecie. Mijaliśmy na szosie dziew-
czynę, jechała rowerem, trzymała jedną ręką kierowni-
cę, w drugiej komórkę, w którą była wpatrzona. Nigdy
w przeszłości jedno pokolenie nie zmieniło tak radykalnie
świata, jak zmieniło pokolenie moich dzieci. ■

Barwy klubowe to lep na dzieciaki, liczy się kasa

Nie ścigam się z Mrozem na liczbę wydanych tytułów,
robię swoje i dobrze mi z tym

Rozmawia Rafał Pikuła

Pamiętasz, kiedy pierwszy raz dostałeś w mordę?

– Oczywiście, że pamiętam, takich rzeczy się nie zapomina. Miałem 12 albo 11 lat, chodziłem jeszcze do podstawówki. Zadarłem ze szkolnym chuliganem, nie wiedząc, że jest chuliganem. Po krótkiej wymianie uprzejmości umówiliśmy

KRZYSZTOF DOMARADZKI

– pisarz i dziennikarz, autor powieści kryminalnych, najnowsza to „Konfident”



się po szkole na solówkę. Ja przyszedłem z dwoma kolegami intelektualistami, on z kilkudziesięcioosobową bandą. Nawet nie stawiałem oporu, dostałem solidne lanie. To było doświadczenie fundamentalne, pierwsze i zdecydowanie zbyt wczesne zderzenie z brutalnością.

Lata 90. i początek XXI w. to był czas, gdy solówki jeszcze były na porządku dziennym.

– Tak, wtedy bójki były sposobem na rozwiązywanie konfliktów. Pamiętam taką scenę, gdy do naszej szkoły na łódzkim Radogoszczu przyjechały jakieś wyrośnięte chłopaki na turniej koszykówki. Po meczach doszło do kłótni, a jeden z naszych uczniów, który interesował się nie sportem, tylko filozofią, próbował rozwiązać konflikt na zasadzie dialogu. Niestety, ktoś szybko wybił mu ten pomysł z głowy, dosłownie. Teraz to się trochę zmieniło. Pojawił się internet. Przemoc przeniosła się z podwórka do sieci.

Rozwiązywanie problemów przez bójki to już przeszłość?

– W naszej wielkomiejskiej bańce rządzi narracja, że konflikty rozwiązuje się za pomocą rozmowy. Ale ta atawistyczna skłonność do przemocy wciąż jest obecna w ludziach, także wykształconych, obytych w świecie, pracujących na wysokich stanowiskach w korporacjach. Zresztą w „Konfidentie” przywołuję „Fight Club”, opowieść, w której znudzeni normalnym życiem faceci spotykają się potajemnie, aby się bić na gołe

na stadionie, tacy, którzy lubią bić się po lasach, no i tacy, dla których klub jest przykrywką do robienia nielegalnych biznesów.

– Caryca, książkowa szefowa chuliganów ŁKS, mówi wprost, że barwy klubowe to lep na dzieciaki, a liczą się interesy. Kiedy w grę wchodzi kasa, kibole nienawidzących się drużyn działają razem. Biznes jest ważniejszy niż deklaracje. Zresztą nie tylko w kibolskim świecie. W telewizji politycy różnych opcji skaczą sobie do gardeł, a potem piją razem wódkę.

Przemoc przeniosła się z podwórek do sieci.

pięści. Bo w tym jest coś pociągającego, coś zwierzęcego.

Dlatego wśród chuliganów, którzy chodzą na ustawki, jest tylu ludzi z tzw. dobrych domów, menedżerów itp.?

– Możliwość wyżycia się, zmierznięcia ze stadionowym żywiołem jest naprawdę kusząca. A świat kibolski wbrew pozorom jest bardzo egalitarny. Kibolem może zostać każdy – i chłopak z ulicy, i facet z doktoratem. Chociaż sam nie brałem udziału w ustawkach, jestem absolutnie przekonany, że dla mnie też byłoby to doświadczenie wyzwalające.

Jakkolwiek to zabrzmiało, w świecie sztywnych zasad, norm i kultury dialogu takie pranie się po mordzie może dawać poczucie wolności?

– Tak, dlatego wielu pracowników korporacji, którzy od godz. 9 do 17 chodzą jak w zegarku, uprawia sporty walki. Stąd popularność MMA i najróżniejszych freak fightów. To dlatego organizuje się gale bokserские dla białych kołnierzyków. Oczywiście wszystko odbywa się w ramach jasno ustalonych zasad.

Teoretycznie kibolskie ustawki również mają pewne zasady.

– Teoretycznie. Czasami ekipy umawiają się 40 na 40, a w jednej jest 50 osób. Albo uzgadniają, że będą się bić na gołe ręce, a ktoś przynosi kije czy kastety. Honor jest ważny dla kiboli, ale jego definicja jest szeroka.

Bo też kibolstwo nie jest jednorodne. Są tacy, którzy chcą drzeć gębę

A rozmawiasz z prezesami wielkich firm o piłce nożnej? Na przykład z Januszem Filipiakiem o chuliganach Cracovii? To tam gangiem chuliganów rządziła kobieta – mogła być pierwowzorem Carycy?

– Rzeczywiście, w Krakowie po serii aresztowań szefową jednego z gangów została kobieta. W „Konfidentie” w podobnych okolicznościach władzę przejęła Caryca. A co do prezesów, jedni przedsięwzięcia kupują kluby piłkarskie, bo kochają sport, a drudzy dla zabawy. Chcą podkreślić sobie emocje, mieć czym się pochwalić. Kupują kluby z dobrodziejstwem inwentarza. Prof. Filipiak utrzymuje, że dopiero

Kiedy w grę wchodzi kasa, kibole nienawidzących się drużyn działają razem.

za sprawą mediów dowiedział się o grupach przestępczych powiązanych z Cracovią. Myślę, że nie on jeden zorientował się zbyt późno, w co tak naprawdę wdepnął.

Jak wyglądało zbieranie materiałów do tej książki? Wiem, że rozmawiałeś z byłym policjantem. A z kibolami?

– Akcja książki rozgrywa się w latach 2008-2014 – w czasach, gdy sam jeździłem na mecze. Musiałem sobie przypomnieć ten okres, ludzi, których widywałem na stadionie, to, jak się zachowywali, w jaki sposób

ze sobą rozmawiali, jakie emocje mi wtedy towarzyszyły, jak wyglądały wyjazdy na mecze, o czym plotkowano. Główna praca polegała więc na odgrzebywaniu i weryfikowaniu wspomnień. Oczywiście nie opisuję w „Konfidentie” prawdziwych ludzi, a wiele postaci i historii zostało przerysowanych. To literatura rozrywkowa, a nie faktu.

Czyli nie rzuciłeś w policję kamieniami? Mów prawdę, teraz już ci nie zaszkodzi.

– Nie, ale zdarzało mi się uciekać przed policją. Moje zainteresowanie kibicowaniem wzięto się nie z próby udowodnienia sobie czegoś, tylko z pasji do sportu. Lubilem grać w piłkę, oglądać mecze. Lubilem oglądać oprawy innych klubów czy słuchać przyśpiewek. Na YouTube namiętnie oglądałem wyczyny kibiców na stadionach w Polsce, na Bałkanach, w Grecji czy w Anglii. Lubilem ten świat, ale element chuligański-przestępczy w ogóle mnie nie kręcił.

Pochodzisz z tzw. dobrego domu, uczyłeś się w dobrym liceum. Jak twoje otoczenie reagowało na to, że lubisz pójść na mecz i zwymyślać przeciwników i policję?

– Jedni znajomi dziwili się temu, a drudzy byli tacy jak ja – także ci z mojego bananowego liceum. Z kolei na zaskakująco spokojnym bałuckim osiedlu roїto się od osób, które przekraczały cienką granicę między

kibicami a chuliganami. Znam też ełkaesiaka, który był tego bliski, ale jego znajomi z widzewskiego osiedla „uratowali” go przed dotkliwym pobicie.

Jeden wp... uratował go być może przed kolejnymi, więzieniem, złamanym życiorysem. Łatwo przez jeden błąd zniszczyć sobie przyszłość tak jak bezimienny bohater twojej książki.

– Tak, w jego przypadku jedna głupia akcja sprawia, że musi zostać konfidentem, aby uniknąć więzienia. To trochę kafkowska opowieść, bo ▶

► wyjścia z tej sytuacji nie ma. Nie poznajemy imienia mojego bohatera, ponieważ chciałem, aby ta historia była uniwersalna. Aby czytelnik miał świadomość, że coś takiego może spotkać każdego. Że nie trzeba być złym do szpiku kości, aby zrujnować sobie życie.

W końcu twój thriller to także opowieść o złych wyborach i ich konsekwencjach.

– Już od mniej więcej 50. strony książki wiemy, że bohater raczej nie wyjdzie z tego bez szwanku. Od tego momentu zaczyna walczyć o to, żeby naprawić swoje życie. Próbuje wyjść z matni, ale nie wszystko zależy od niego. Więcej nie powinienem zdradzać...

Bohater, choć jest ledwo studentem pierwszego roku, już mierzy się z dorosłością, brutalnym, cynicznym światem. Chciałby pójść na obiad do rodziców, ale musi walczyć.

– W pewien sposób jest to książka o brutalnym wejściu w najgorszy element świata dorosłych, w którym już nie można liczyć na ciepło rodzinnego domu, tylko trzeba walczyć o przetrwanie. Mimo to bohater nie zapomina o rodzinie. W końcu wiele jego zachowań jest motywowanych próbą uratowania brata.

Błądzi, bo jest młody. Myślę, że gdyby w podobnej sytuacji był 30-, 40-latek, postąpiłby inaczej.

– Na pewno spróbowałby z kimś o tej swojej sytuacji porozmawiać, przegadałby z jakimś kolegą, z prawnikiem propozycję od policji. Nie działałby tak instynktownie. Najsmutniejsze w jego historii jest to, że mając

literackie. Serie sprzedają się najlepiej, ale mam ten komfort, że na życie zarabiam głównie jako dziennikarz. Zaczynając pracę nad książką, nie zastanawiam się, czy dana historia się sprzeda, czy nie. Nie mam nad sobą bata finansowego. Choć oczywiście chcę, aby mnie czytano. Każdy autor tego pragnie.

Świat kibolski jest tak naprawdę bardzo egalitarny. Kibolem może zostać każdy – i chłopak z ulicy, i facet z doktoratem.

19 lat, zamiast skupić się na studio-waniu, podrywaniu dziewczyn, musi lawirować między policją a kibolami. **Książka kończy się nawiązaniem do twojej łódzkiej trylogii („Detoks”, „Trans”, „Reset”). Czy dwie łódzkie opowieści będą miały wspólną kontynuację?**

– Raczej nie, chociaż fabularnie oczywiście jest to do zrobienia – nie takie cuda zdarzały się w literaturze. Jednak jakiś czas temu zrozumiałem, że największą przyjemność sprawia mi wymyślanie coraz to nowych historii. Lubię zmieniać bohaterów, scenerie, środowiska, sposoby narracji. Lubię stawiać sobie wyzwania

A czujesz się bardziej dziennikarzem czy pisarzem?

– Pół na pół. I bardzo lubię ten układ, ten płożozmian. Dziennikarstwo bywa pomocne w pisaniu, uczy skracać teksty i pisać syntetycznie. Przechodzenie pomiędzy fikcją a faktem też daje dużo satysfakcji. Po napisaniu kilku stron fikcji mogę się zająć faktem (autor wstaje codziennie o godz. 5 rano i zaczyna dzień od pisanía fikcji – przyp. RP) i nie mieszam tych gatunków. Nie ścigam się z Mrozem na liczbę wydanych tytułów ani z Czornyjem na kontrowersję, robię swoje i dobrze mi z tym.

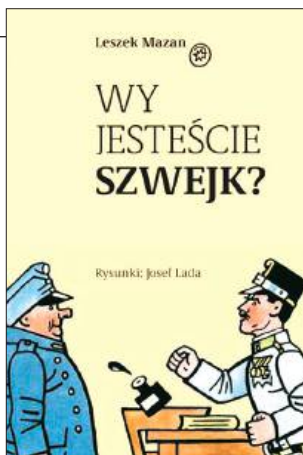
Rafał Piłkuła

KSIĄŻKA

Szwejk wiecznie żywy

Okazało się, że Szwejk żyje. W zasadzie to nic dziwnego, bo jest to jedna z wielkich postaci literatury światowej, bohater powieści ciągle wznawianej (na nasz język przekładała ją już trzech tłumaczy) i adaptowanej na potrzeby filmu i teatru.

Szwejk ożył teraz dzięki Leszkowi Mazanowi, który ogłosił „pierwszy wywiad z najmądrzejszym idiotą w dziejach wojska”, chcąc w ten sposób uczcić 140. rocznicę urodzin i 100. rocznicę śmierci Jaroslava Haška. Krakowski autor już wcześniej dał się poznać jako haszkolog i szwejkolog. Tym razem podjął ciekawą próbę pokazania Szwejka poprzez rozmowę. Pytania i odpowiedzi (zawierające oczywiście wiele cytatów z powieści, ale nie tylko) poszerzają, wyjaśniają i uzupełniają portret tej – na pozór – dobrze



Leszek Mazan,
*Wy jesteście Szwejk?
Pierwszy wywiad
z najmądrzejszym idiotą
w dziejach wojska,*
rysunki Josef Lada,
Anabasis, Kraków 2023

znanej wszystkim postaci i jej twórcy. Możemy np. więcej się dowiedzieć o rewolucyjnym epizodzie z życia Haška, który w Rosji w 1918 r. był wysokim funkcjonariuszem 5. Armii i współpracownikiem Trockiego. Ale w tych dialogach są nie tylko odwołania do powieści i jej realiów, lecz także próby „szwejkowskich” ocen różnych wydarzeń historycznych (wspomina się np. św. Wojciecha) i współczesnych (np. krytycznego stosunku Havla i innych czeskich polityków do Szwejka). Wiele tu też anegdot i ciekawostek, sporo informacji o „garnizonach szwejkowskich”, czyli aktywnych szerzycielach kultu bohatera powieści Haška.

Otrzymałmśmy kolejną pozycję poświęconą postaci, w której usta autor włożył m.in. taką myśl: „Tylko kompletni idioci mogą kochać i tolerować władzę, która wszystkich uważa za idiotów”.

(LK)

FESTIWAL



29. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

Wojtek Mazolewski Quintet – Spirit To All

Trójmiejski basista, jeden z najpopularniejszych polskich muzyków jazzowych, wystąpi z materiałem z najnowszego studyjnego albumu, „Spirit To All”, wydanego w niezależnej londyńskiej wytwórni Whirlwind Recordings. Wojtek Mazolewski to założyciel i lider grupy Pink Freud, jeden ze współtwórców yassu, kompozytor i producent, autor muzyki filmowej i teatralnej. Jego kwintet od 2011 r. z sukcesem reprezentuje polski jazz na arenie międzynarodowej. Zespół wystąpił m.in. we Francji, w Wielkiej Brytanii, w Niemczech, Japonii, Chinach, Indiach i Brazylii. Kompozycje na nowej płycie nawiązują do najlepszych tradycji bluesa i spiritual jazzu. Słuchać tu żarliwość uczuć, pasję i słowiańską duszę zespołu.

(ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl.**WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 5 SIERPNIĄ, GODZ. 19**

NA EKRANACH

Kochanica króla Jeanne du Barry

reż. Maïwenn, prod. Francja, w kinach od 25 sierpnia

To opowieść skrojona na nasze czasy. Co nie znaczy, że się udała. Wystarczy spojrzeć na młodzieńką Jeanne du Barry, by odgadnąć, że nie będzie kontynuowała doli chłopskich rodziców. Wyjątkowo piękna dziewczyna zna swoje atuty i wie, że rozkochując w sobie zamożnych mężczyzn, będzie się wspinać po drabinie społecznej. Cóż z tego jednak, że dojdzie na niej aż do szczytów króla, skoro Maïwenn, reżyserkę i odtwórczynię głównej roli mało obchodzi klasowe potyczki. Jej postać to kobieta dynamit, która bez konsekwencji nosi męskie ciuchy i obśmiewa dworską etykietę. Reżyserka nie próbuje tłumaczyć jej fenomenu, tylko każe nam brać go na wiarę. Podobnie jak uczucie, które łączy ją z Ludwikiem XV. Iskrenie między nimi jest takie, że nie podpaliliby ściółki w czasie suszy. Johnny Depp wygląda, jakby jego statek piratów z Karaibów rozbił się u brzegu niechcianej wyspy i na tej wyspie zrobili go królem. Męczy się strasznie, podobnie jak widz, zmuszony do wszystko oglądać.

Artur Zaborski



MIĘDZY OKŁADKAMI

Lana Bastašić

Złap zająca

tłum. Dorota Jovanka Ćirić
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2023

Na poziomie fabuły książka jakich wiele, fakt. O dwóch przyjaciółkach z czasów szkolnych, które spotykają się po 12 latach i udają w podróż na poszukiwanie brata jednej z nich, o lekcjach z przyjaciółni i odnajdywaniu siebie.



Owszem, trudno się oderwać, ale wartością jest także sama forma. Lana Bastašić to ktoś więcej niż bałkańska Sally Rooney. „Złap zająca”, opowiedziane bezlitośnie i bezkompromisowo, precyzyjnie i przejrzyście, w dwóch nurtach narracyjnych, ma wymiar uniwersalny. Zderzenie historii osobistych z Wielką Historią nie wychodzi sztucznie, a Bastašić udowadnia swój status jednej z ciekawszych europejskich pisarek młodszej generacji.

Rafał Pikuta

Kolumnę przygotowała
Agata Gogotkiewicz

KURTyna W GÓRĘ



Piotruś pod sufitem

Oczywiście to wielka frajda dla młodej publiczności, kiedy aktor szybko przemieszcza się na linie pod sufitem widowni, korzystając ze zmodyfikowanej metody, znanej już w teatrze antycznym jako deus ex machina. Jednak nie tylko i nie przede wszystkim w tym rzecz. Opowieść o przygodach Piotrusia Pana (Marcin Sztabiński), pełna magii, zwrotów akcji, sugestywnych postaci, ale i zadumy nad światem uczuć wieku dorastania, może zadowolić każdego.

Anna Ilczuk ma do tego dobrą rękę, dość przypomnieć jej niedawny sukces w warszawskim Teatrze Powszechnym („Ronja, córka zbójnika”). I tym razem, prostymi środkami, polegając zwłaszcza na aktorskich metamorfozach, konstruuje spektakl, który czytelnie przekazuje przesłanie dzieł klasyki dziecięcej. To historia o chłopcu, który nie chciał dorosnąć, czyli o każdym i każdej z nas, tęskniących do krainy dzieciństwa i nieposkromionych możliwości wyobraźni. To o tych wszystkich, którzy lękają się dorosłości i odpowiedzialności.

Aktorzy Dramatycznego sprawdzają się w konwencji nieustannej przemiany z postaci w postać znakomicie, bawiąc się i przeżywając wielką przygodę razem z widzami. Kolejne w Warszawie udane przedstawienie dla młodszych w teatrze dla starszych.

Tomasz Miłkowski

„Piotruś Pan” według Jamesa Matthew Barriego, adaptacja i reżyseria Anna Ilczuk,
Teatr Dramatyczny im. Gustawa Holoubka, premiera 4 marca 2023

12 skazańców

Największa egzekucja na placu apelowym w Auschwitz

Adam Cyra

19 lipca 1943 r. w obozie Auschwitz wybudowano zbiorową szubienicę, na której stracono 12 więźniów z komanda mierników. Byli to: Zbigniew Foltąński, Józef Gancarz, Mieczysław Kulikowski, Czesław Marcisz, Bogusław Ohrt, Janusz Pogonowski (w obozie Skrzetuski), Leon Rajzer, Tadeusz Rapacz, Edmund Sikorski, Stanisław Stawiński, Józef Wojtyga i Jerzy Woźniak.

W tym czasie, kiedy zginął Józef Wojtyga, absolwent wydziału budownictwa Politechniki Lwowskiej, jego siostra Ludmiła wraz z mężem Tomaszem Serafińskim ukrywała w dworcu na Koryznówce w Nowym Wiśniczu rtm. Witolda Pileckiego po jego ucieczce z obozu.

Skazańców przyprowadzono na egzekucję z aresztu obozowego w bloku nr 11 po apelu wieczornym. Aresztowano ich 21, 26 i 27 maja 1943 r. za kontakty z przyobozowym ruchem oporu oraz ucieczkę trzech ich kolegów z komanda mierników.

Do ucieczki doszło 20 maja 1943 r. Zbiegli wówczas Stanisław Chybiński, Kazimierz Jarzębowski i Józef Rotter (prawdziwe nazwisko Florian Basiński). Więźniowie ci poczuli się zagrożeni, ponieważ została aresztowana powiązana z Batalionami Chtopskimi łączniczka Helena Płotnicka, która ich znała. Podczas prowadzonych przez nich prac pomiarowych w Skidzinu i Wilczkowicach poczęstowali pilnującego ich wartownika z SS napojem, do którego dosypali środek nasenny. Zbiegli, kiedy esesman zasnął.

Uciekając, wynieśli ze sobą teczkę, którą przekazali potem Andrzejowi Haratowi z bielskiego inspektoratu Armii Krajowej. Harat przygotował zbiegom schronienie u swojej siostry Anny w Międzybrodzu Żywieckim.

Jeden z uciekinierów, Stanisław Chybiński, otrzymał polecenie przygotowania swojego życiorysu i wspomnień z okresu uwięzienia w KL Auschwitz. Latem 1943 r. napisał obszernie sprawozdanie na ten temat, zatytułowane „Obrazki z Auschwitz”, które przekazano konspiracyjnym władzom Armii Krajowej.



Obraz byłego więźnia KL Auschwitz Jerzego Adama Brandhubera.

Przed egzekucją, która odbyła się na oczach innych więźniów, komendant obozu Rudolf Höss odczytał skazańcom wyrok śmierci. Nie skończył go jednak czytać, ponieważ Janusz Pogonowski na znak protestu wykopał spod siebie taboret i zawisł. Wówczas oficerowie SS podbiegli do pozostałych skazanych i, wyrывая im taborety spod nóg, dokończyli egzekucję.

Powojenna rekonstrukcja tej szubienicy – długa, żelazna szyna umocowana na dwóch słupach – stoi w tym samym miejscu, przed dawną kuchnią obozową w Muzeum Auschwitz.

W 80. rocznicę egzekucji członkowie Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem – Pamięć o KL Auschwitz-Birkenau oddali hołd pomordowanym. W miejscu jej wykonania zapalił znicz i złożył wiązanek kwiatów Marek Książarczyk, wieloletni zasłużony prezes oddziału oświęcimskiego tej organizacji.

Wiesław Krzywicki

Wszystko, o czym piszą autorzy artykułów „Drugie życie Polski Ludowej” i „Armia sybiraków” dotyczy mojego życia. W styczniu 1945 r., gdy miałem osiem lat, moja rodzina wyjechała z Grodna. Swoje miejsce na ziemi znalazłem w Czaplinku. Miasteczko to wróciło do ojczyzny 4 marca 1945 r., a zdobyli je polscy żołnierze, którzy przelewali krew w walkach na Wale Pomorskim.

Mimo że Czaplinek przed rozbiorami należał do Polski (starostwo drahimskie), w 1945 r. jedynymi Polakami byli tu robotnicy przymusowi i to oni zostali pierwszymi polskimi mieszkańcami miasta. Po nich przybyli tu żołnierze idący do Polski od wschodu i zachodu, partyzanci z rozwiązanych oddziałów, więźniowie obozów i łagrów, wysiedleńcy z Kresów Wschodnich, a także poszukujący życiowych szans mieszkańcy innych dzielnic Polski. Największą grupę stanowili żołnierze wyzwalający te tereny i ich rodziny*, a większość pochodziła z Kresów.

Miasteczko było biedne, bez wodociągów i kanalizacji, z niebrukowanymi w większości ulicami, ze starą szkołą i gazownią, bez przemysłu. Ale osadnicy byli szczęśliwi, że mają dach nad głową, że nie popędzą ich do obozu, na front lub na Sybir, że nie są podludźmi.

✉ Drugie życie Polski Ludowej

Pisząc o monopolu na obrzydanie Polski Ludowej, Robert Walenciak jakby zapomniał o uprawianej z innej niż IPN-owska pozycji działalności publicystycznej, filozoficznej, historycznej, politycznej i obywatelskiej – Andrzeja Walickiego, Andrzeja Romanowskiego, autorów „Zdania” i „Krytyki Politycznej”, książkach o Październiku, odbudowie Warszawy i zabytków religijnych oraz świeckich, o integracji Ziem Odzyskanych, o ówczesnej literaturze, teatrze i filmie, muzyce i malarstwie, szkolnictwie i sporcie. Także o polityce rodzinnej i społecznej.

Istnieje przecież wolność słowa. Wszyscy niecofający się przed prawdą historycy – również za granicą – są zgodni co do tego, że Polska, nie licząc szczytowych lat zimnej wojny, wcześniejszych pokazowych procesów polskich patriotów i naśladowania wzorów radzieckich

Nie traćmy pamięci!

Początkowo było to zbiorowisko obcych sobie ludzi, pokaleczonych przez wojnę i politykę, niepewnych przyszłości. Z biegiem czasu udowodnili oni, że potrafią nie tylko walczyć, lecz także ciężko i ofiarnie pracować. W codziennym trudzie zaczęli odbudowywać miasto, uprawiać rolę, zajmować się rzemiosłem, uczyć się i uczyć innych. Aż wrosli w tę ziemię, pokochali ją jako nową małą ojczyznę – dla siebie, dzieci, wnuków – na zawsze. Przestali się zadowalać tym, co zastali, i zaczęli ulepszać swoje życie. Tylko niewielu uwierzyło bredniom, że wrócą tu Niemcy. Unowocześnili więc miasto, budując wodociągi, kanalizację, sieć energetyczną, telekomunikacyjną, gazową. Zbudowali przedszkole i żłobek, szkołę i ośrodki zdrowia, amfiteatr i dom kultury, domy i wille, fabryki i fermy. I nawet najwięksi pesymiści przestali krakać o powrocie Niemców.

Przemiany ekonomiczne zapoczątkowane w 1989 r. pozbawiły wielu ludzi dumy z ich życiowych osiągnięć. Jednak dzięki kapitałowi społecznemu wypracowanemu przez mieszkańców udało się ocalić miejsca pracy i dobre relacje społeczne.

w latach 1949-1953, wywalczyła sobie w tamtych warunkach wariant niepozbawiony wad, ale najkorzystniejszy.

Teza, że była politycznie niesuwerenna, wymaga uzupełnienia pytaniem, w czym była suwerenna. Tak też patrzyli na nią obywatele innych krajów demokracji ludowej i przyjeżdżający do nas ludzie Zachodu, jak nigdy w historii szeroko promujący polską kulturę poprzez przekłady, festiwale, wystawy, koncerty i instytucjonalną wymianę osobową. Sam nie-jeden raz słyszałem od nich w latach 70., że czują się w Warszawie jak w Paryżu czy Rzymie. W latach 1945-1948 i po Październiku artyści i pisarze polscy nie tyle przejmowali wzory wschodnie (choć poważna rusycystyka, podobnie jak inne neofilologie, przeżywała rozkwit), ile stawali się impulsem dla inteligencji narodów Rosji, jak mówiono w rozmowach prywatnych – oknem na Zachód. Ludzie, którzy to urządzali, ze strony zarówno

Dzisiaj, w czasach zadufanego egoizmu, trzeba pamiętać o ludziach, którzy przelewali krew, wyzwalać te ziemie, i budowali tu zręby polskiej państwowości. Przekształcali racje indywidualne w racje patriotyczne, rezygnowali z własnych ambicji na rzecz potrzeb zrujnowanego kraju. Wykazali umiejętność współpracy i samoorganizacji oraz godzenia dobra publicznego z dążeniem do zaspokajania indywidualnych potrzeb. To oni tworzyli początki społeczeństwa obywatelskiego, a nie ci, którzy chwalać się, że „obalali komunę”.

Jeden z moich czaplineckich przyjaciół również pochodzi z Kresów. Jego ojciec, ułan w 1939 r., został w 1944 r. powołany wraz z młodszym bratem do 1. Armii WP. Stali z frontu listy, że walki są ciężkie, ale pędzą szwabów. Ostatni list nosi datę 20 kwietnia 1945 r. Ojciec mojego



cywilnych obywateli, jak i władzy, zasługują na dobrą pamięć (nawet List 34 do premiera Cyrankiewicza zawierał formułę: „powodowani troską obywatelską”)*.

Operacja na tej Polsce, polegająca na śmiertelnym wycinaniu narządów, jest – co tu mówić – czynem niepatriotycznym, bo ten dorobek jest wspólny. Zło powinno być nazwane po imieniu, ale jeżeli jakiś naukowiec pisze, że Polska była pod okupacją sowiecką, to dyskwalifikuje się jako historyk, bo większość Polaków uważała tamto państwo za własne. Choć zniszczyła niejedną cenną wartość, nowa Polska nie powstała na gruzach i dołożyła kolejne cegły do gmachu sukcesów i międzynarodowego prestiżu w XX w. (niestety, trwonionego ostatnio). A choć odzyskała suwerenność, nie mogła całkiem się uwolnić od międzynarodowych

przyjaciela kończy ten list słowami: „Ja piszę krótki list z braku czasu, bo idę pieszo do Berlina rozbić Niemca...”. Potem nadchodzi powiadomienie, że obaj bracia zginęli przy zdobywaniu Berlina. Pochowano ich na cmentarzu wojskowym w Siekierkach. Ich groby rodzina odnalazła dopiero kilka lat po wojnie.

Wdowę chciano zmusić do wstąpienia do kołchozu, więc porzuciła zasobne gospodarstwo i z dwoma synami wyjechała do Polski. Osiedliła się w Czaplinku, który zdobywał jej mąż. Tu chłopcy skończyli szkoły, pracowali w tworzącym się przemyśle, założyli rodziny. To dzięki nim te ziemie stały się znów polskie.

Ile było podobnych ludzkich losów? Wyzwalanie ojczyzny, śmierć, rany, utrata zdrowia, porzucenie dorobku pokoleń na Kresach, organizacja nowego osadniczego życia w niełatwych warunkach.

Nie odmawiam patriotyzmu i zasług żołnierzom polskich formacji na Zachodzie. Jednak to nie oni, poza wyjątkami, przywracali te ziemie ojczyźnie. Chwała PRZEGŁADOWI za pamięć o tych ludziach i ich dokonaniach.

* Do ZBOWiD w latach 70. należało w Czaplinku 17 więźniów obozów koncentracyjnych i robotników przymusowych, 13 żołnierzy Armii Radzieckiej (Pola-ków), 12 żołnierzy z polskich formacji na Zachodzie, 114 żołnierzy LWP, 32 żołnierzy ruchu oporu (AK, BCH i AL) i 171 żołnierzy kampanii wrześniowej 1939 r.

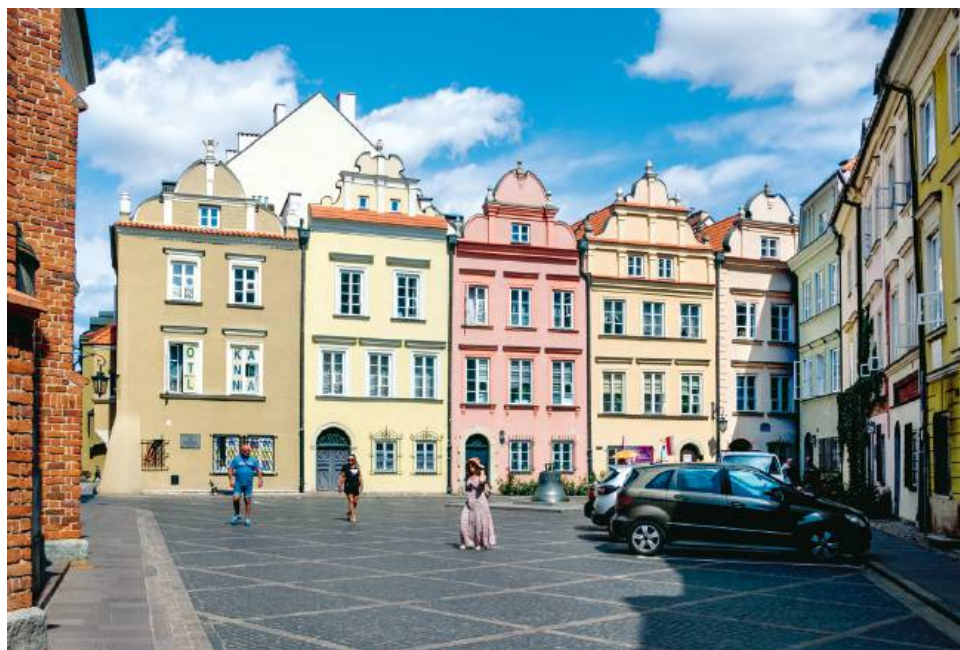
zależności. Nie wyobrażam sobie, żeby starsi wiekiem pracownicy Stoczni Gdańskiej i dziś nie odczuwali satysfakcji, że pracowali w nowoczesnym zakładzie, który przynosił Polsce chlubę także przed wydarzeniami sierpniowymi.

Red. Walenciak zauważa, że używanie „Peerelu” do wzajemnych oskarżeń w aktualnych starciach politycznych rujnuje świadomość historyczną Polaków i trudno je pojąć inaczej niż jako wykвіт złego sumienia. Krótko mówiąc, Tusk jest komuną, a Kaczyński I sekretarzem. Nie darmo Marks pisał o historii, która staje się groteską. *Andrzej Lam*

* List był kolportowany w Polsce i na Zachodzie, za-nim Cyrankiewicz zdążył odpowiedzieć, stąd potem publiczne „odcięcie się” od jego politycznego wykorzystywania przez 11 sygnatariuszy, głównie profesorów o światowej pozycji. Nadużywanie ich nazwisk w celach niezgodnych z ówczesnymi intencjami jest nieetyczne.



70. urodziny Starówki



22 lipca 1953 r. oddano do użytku warszawski Rynek Starego Miasta wraz z częścią staromiejskich ulic. Choć prace rekonstrukcyjne trwały przez kolejne dziesięciolecia, ta data stanowi symboliczne zakończenie pierwszego etapu odbudowy po II wojnie nie tylko Starówki, lecz także całej Warszawy.

To konserwatorom z Wydziału Architektury Zabytkowej Biura Odbudowy Stolicy, kierowanego przez prof. Jana Zachwatowicza, zawdzięczamy decyzję

o odbudowie Starego Miasta, a nie należała ona do łatwych. Ponad 90% budynków było zniszczonych, zgodnie zaś z obowiązującymi kanonami konserwatorskimi zabytków się nie odbudowywało.

2 września 1980 r. warszawska Starówka została wpisana na Listę światowego dziedzictwa UNESCO jako „wybitny przykład niemal całkowitej rekonstrukcji”, a nowatorski pomysł polskich architektów zmienił zasady konserwatorskie.

WSPÓŁUZALEŻNIENI

Na każdego uzależnionego przypada od jednej do nawet czterech osób bliskich, które w związku z tym cierpią

Rozmawia Dominika Tworek

Analizy Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) pokazują, że na jednego Polaka w wieku od 15 lat wżyz przypada średnio dziewięć butelek piwa tygodniowo. Czy w związku z ogromnym problemem nadużywania alkoholu w Polsce jesteśmy jednym wielkim współuzależnionym narodem?

– Na każdego uzależnionego przypada od jednej do nawet czterech osób bliskich, które w związku z tym cierpią. Wszyscy znamy więc kilka osób, które doświadczyły, doświadczają albo w przyszłości doświadczą współuzależnienia. Tymczasem większość z nas ignoruje cierpienie tych rodzin. Jesteśmy społeczeństwem, które ledwo ma świadomość skali uzależnień w naszym kraju, a już zupełnie nie rozumie społecznych skutków tej powszechnej choroby, wśród których znajduje się właśnie współuzależnienie. Pełnych statystyk dotyczących współuzależnienia nie ma, co również pokazuje, jak wielu współuzależnionych pozostaje na marginesie problemu.

Jakie konsekwencje niesie życie z osobą uzależnioną?

– Mają dwie nogi. Jedną są zaburzenia adaptacyjne, które wynikają z życia w przedłużającym się stresie. Należą do nich takie objawy jak: chwiejność emocjonalna, zaburzenia snu, rozwijający się epizod depresji, zwiększony poziom lęku czy ataki paniki. To ten sam kaliber doświadczeń, jak w przypadku zespołu stresu pourazowego u weteranów wojennych. Masywne

JOANNA FLIS

– psycholożka, psychoterapeutka, pedagożka, naukowczyni.
Ekspertka w zakresie uzależnień i współuzależnienia.



uzależnienie – kiedy dochodzi do ciągów alkoholowych, zespołów odstawiennych i generalnej destrukcji życia – zawsze wywołuje zaburzenia adaptacyjne u wszystkich członków rodziny, także dzieci. Oni wszyscy nieustająco czują się jak żołnierze na wojnie. Natomiast druga noga dotyczy strictly syndromu współuzależnienia.

Ten syndrom nie pojawia się zawsze?

– Nie. On wynika z próby zapanowania nad sytuacją, która budzi cierpienie; kontrolowania lub ratowania osoby uzależnionej, czego źródłem jest głębokie przekonanie o własnym wpływie na daną sytuację, swojej winie albo odpowiedzialności. To, czy rozwinię się w nas współuzależnienie, bardzo zależy więc od naszych przekonań na temat świata i mocy zmieniania drugiego człowieka.

Jakie sytuacje są czerwonymi flagami, alarmującymi, że tkwimy we współuzależnieniu?

– Jeżeli zaczynamy kontrolować drugą osobę, liczyć, ile i co pije, obsesyjnie podejrzewać ją o to, że jest pijana, prosić, błagać czy straszyć, powinniśmy zwrócić się o pomoc do specjalisty. Jeżeli niepokoi nas cudze picie, nie ma sensu zostawać samemu z tym niepokojem. Druga czerwona flaga pojawia się wtedy, kiedy zaczynamy widzieć, że toczymy ze sobą dyskusję. Głęboko w środku wiemy, że on/ona pije za dużo, a po wierzchu opowiadamy sobie jakieś bajki, usprawiedliwienia. Ze współuzależnieniem często wiąże się też myślenie: „Ja już nie wiem, kto tu zwariował”. Utrata zdrowego oglądu rzeczywistości i zaufania do siebie może również świadczyć o niebezpiecznej sytuacji.

W syndrom współzależnienia wpisana jest źle pojmowana troska o tę drugą osobę?

– Bardzo często osoby współzależnione współtworzą ten alkoholizm pod płaszczykiem miłości czy wsparcia. Wyjściowo jest potrzeba ratowania wynikająca z troski, ale narzędzia, których używa osoba współzależniona, jedynie utrwalają chorobę.

W filmie Konrada Aksinowicza „Powrót do tamtych dni” główna bohaterka próbuje ratować męża alkoholika, zamykając go w pokoju i podając mu wyznaczone dawki alkoholu. Do jakich innych sposobów uciekają się osoby współzależnione?

– Na początku najczęściej jest to prośenie, błaganie, przekonywanie. Potem pojawia się wzbudzanie poczucia winy, straszenie odejściem, blefowanie, zabieranie alkoholu, kontrolowanie partnera oraz rozlewanie tej kontroli na innych ludzi – członków rodziny czy znajomych. Na przykład partnerka uzależnionego mężczyzny mówi do przyjaciół: „Jak pojedzie z wami na imprezę, to pilnujcie go, żeby się nie upił”, albo żąda od jego rodziców, żeby przyjechali i „coś z nim zrobili”, kiedy ten się upije.

Co się dzieje później?

– Ta trajektoria zaczyna przybierać dramatyczną formę przemocy. Na tym etapie mamy do czynienia ze straszeniem, grożeniem, wyzywaniem, wyrzucaniem z domu, okradaniem z pieniędzy czy nawet zatrutowaniem alkoholu. Osoby współzależnione, które rozkręcają się we własnym lęku, kiedy miesza im się poczucie troski ze złością, poczuciem winy, wstydu i bezradnością, zatracają granicę pomiędzy normą a patologią w swoim własnym zachowaniu.

Osoba uzależniona w reakcji na te przemocowe zachowania nakręca się na picie?

– Tak, to woda na młyn. Uzależniony mężczyzna myśli: „Piję, bo mam okropną, kontrującą kobietę”. A ona jest taka, dlatego że on pije. Koło się zamyka. On ma powody do picia, a ona nakręca się na przemoc. Często mamy więc do czynienia z dwoma sprawcami.

Można by pomyśleć, że to osoba pijąca jest sprawcą, a nie pijąca – ofiarą.

– Problem tkwi w tym, że nawet kiedy osoby współzależnione faktycznie są tymi ofiarami, bo np. dotyka ich przemoc fizyczna, widzą tylko swoją rolę ofiary i usprawiedliwiają tym własne zachowania przemocowe. Żadne z nich nie chce wyjść z tej zaognionej sytuacji. Obydwoje stają się więc zakładnikami tej choroby. Terapia takiej rodziny nigdy nie jest terapią pary, ponieważ istotnym czynnikiem terapeutycznym jest rozłączenie tych osób i odesłanie ich do własnych narożników po to, żeby każde z nich mogło zająć się swoją częstką problemów i mechanizmów, które z nimi się splatają.

Osoby współzależnione szybko się orientują, że tkwią w czymś takim?

– To zwykle wieloletni proces. A często zdarza się, że zawraca on do początku. Nawet kiedy osoba cierpiąca zaczyna zauważać swoje współzależnienie, wystarczy, że ta uzależniona zareaguje na jakąś jej interwencję, na chwilę przestaje pić i już pojawia się myślenie, że jednak potrafi to kontrolować. Taki taniec może trwać latami. Smutna prawda o współzależnieniu jest też taka, że ludzie nieświadomie wybierają sobie pijących partnerów, dlatego że potrafią żyć tylko w takim związku. Bo znają to z dzieciństwa, są kontrolujący albo chcą być „tymi silniejszymi” w relacji.

Współzależnienie dotyczy głównie kobiet. Średnio dziewięciu na dziesięciu mężów alkoholików odejdzie, jeden zostanie. W przypadku żon alkoholików: jedna odejdzie, dziewięć zostanie.

– Gdy mężczyźni zaczynają identyfikować nałóg swojej partnerki, często odnoszą się do podstawowego repertuaru pomocy, np. szukają dla niej odwyku czy proponują, by wspólnie nie pić. Ale kiedy widzą, że ich działania nie przynoszą rezultatu, bardzo szybko się wycofują. Mają dużo bardziej racjonalne podejście do nałogu. Natomiast nam, kobietom, myli się nasza rola i moc w związku, ponieważ jesteśmy nieustannie karmione przekazami kulturowymi, że gdy spotkamy żabę przy

stawie, to kiedy czule ją pocałujemy, zamieni się w księżkę.

Największą rolę odgrywa w tym kultura czy może jednak jakieś nasze predyspozycje?

– To jest ze sobą związane. Bardzo dużo zależy od naszej osobowości, choć to u kobiet częściej występuje osobowość zależna, właśnie z racji kwestii kulturowych, chociażby zależności ekonomicznej. Dużą rolę odgrywa również rodzina, w której się wychowaliśmy, bo stamtąd przejmujemy różne wzorce reagowania na problematyczne zachowanie naszych bliskich. A my, kobiety, chłonimy doświadczenia naszych matek i babek, które wciąż uważają, że ułożyć sobie życie, to znaczy mieć partnera. Dlatego wiele kobiet wchodzących w związki porzuca na rzecz tej relacji swoje własne życie, swoich przyjaciół, swój sposób myślenia. A to wszystko są czynniki ochronne, bo jeżeli kobieta ma swój świat, to nawet kiedy partner zaczyna pić, ona ma się o co oprzeć.

Kobiety, których matki były współzależnione, z dużym prawdopodobieństwem również trafią do tego worka?

– Tak, ponieważ są delegowane do kontynuacji tej rodowej roli. Jeżeli moja mama zaciskała zęby i jeszcze dostawała społeczne potwierdzenie, że wspaniale się sprawdzi w roli żony, bo niesie ten krzyż, albo że dzięki niej ta rodzina się nie rozpadła, we mnie również może się pojawić podobne przekonanie. Kobiety wychowywane w takim klimacie muszą wykonać dużo pracy, żeby odwrócić te społeczne delegacje. Przed wejściem we współzależnienie chroni również wiedza na temat uzależnienia. Niestety, społecznie mało opłaca się wspierać kobiety współzależnione w ich autonomizacji, bo kto by się opiekował tymi wszystkimi uzależnionymi mężczyznami? Ruch społeczny uwalniania tych kobiet od poczucia winy i zobowiązania, że mają wychowywać mężczyznę przez następne 40 lat, jest dziś bardzo mały.

Z drugiej strony współczesne młode kobiety są bardziej niezależne, często skupiają się na karierze, samorozwoju.

– To są czynniki ochronne, ale w związku ze zmianą roli kobiety pojawiły się też nowe niebezpieczeństwa. Chociażby to, że w tej chwili kobiety coraz częściej same sięgają po alkohol. Współcześnie mamy przyzwolenie na tzw. picie wysoko funkcjonujące. Jeśli w południe widzimy pana z piwem pod sklepem monopolowym, to zapala nam się czerwona lampka. Natomiast para z butelką prosecco w ogródku piwnym czy wykwintej restauracji nie robi na nas takiego wrażenia. Dziś mamy do czynienia z całą kulturą prosecco. Kiedyś promowało się w filmach szklaneczki whisky, bo to oznaczało prestiż. W tej chwili w ich miejsce weszły prosecco i wino. W polskich filmach i serialach kobiety stojące w kuchni z lampką wina czy spędzające wieczór z kieliszkiem są dziś standardem. W związku z tym będziemy mieli więcej wysoko funkcjonujących alkoholików. A jeszcze 15 lat temu w poradni leczenia uzależnień pacjentka była rzadkością, pojawiała się jedna na 40 pacjentów.

Z pewnością łatwiej zauważyć ten masywny alkoholizm i związane z nim współuzależnienie. Natomiast przy tym nieświadomym, wysoko funkcjonującym, można w nieskończoność się oszukiwać.

– Na pewno łatwiej wtedy o kolo-ryzowanie znaczenia alkoholu w życiu, racjonalizowanie i intelektualizowanie, że to jednak nam nie szkodzi, tylko wręcz przeciwnie. Ale wysoko funkcjonujące osoby pijące borykają się z ogromnymi problemami związanymi ze zrozumieniem własnych emocji, z chwiejnością emocjonalną czy wybuchowością.

W takim domu osoba, która pije, jest wiecznie roztrzępana emocjonalnie, a osoba współuzależniona mierzy się z ciągłym stresem.

– Między tymi dwiema osobami często toczy się taniec wzajemnych napięć i ulg, złości i spełnionych albo niespełnionych obietnic, oczekiwań i wzbudzania poczucia winy oraz wstydu. A często takiej parze jest z tym wygodnie, ponieważ diagnoza uzależnienia zmienia życie całej rodziny. O ile jest to alkoholizm masywny, wszyscy liczą, że on przerwie to szaleństwo i cierpienie – ale nawet wtedy kobiety współuzależnione potrafią powiedzieć po kilku latach, że „lepiej było, jak piłeś”, bo wbrew pozorom łatwiej było wtedy sprawować nad takim mężczyzną kontrolę w domu. A w przypadku współuzależnienia wysoko funkcjonującego rzadko kiedy diagnoza kojarzy się z ratunkiem, raczej z ograniczeniami. Uznanie uzależnienia własnego

partnera naturalnie wymusza na nas nowe pertraktacje co do tego, jak żyć, czy spotykać się ze znajomymi, którzy piją, jak spędzać „piątki, piąteczki, piątunie”. Długofalowo oznacza więc ogromną zmianę życia.

Może w takim „trzeźwym” związku zaczyna być po prostu nudno? Albo okazuje się, że ta trzeźwa osoba kompletnie nam nie odpowiada?

– Bardzo często tak się dzieje. Zwłaszcza że osoba trzeźwiejąca musi na nowo odnaleźć się w swojej życiowej roli, a w miejsce picia wprowadza inne aktywności. I okazuje się, że partner nie pije, ale codziennie go nie ma, bo chodzi medytować czy biegać.

Co w sytuacji, kiedy nasz partner nie ma zamiaru porzucić picia, a my go tak kochamy, że nie chcemy od niego odchodzić?

– Wielu terapeutów współuzależnienia potrafi tak poprowadzić związku, żeby nauczyć osobę współuzależnioną ustanawiać granice; radzić sobie wtedy, kiedy partner jest w ciągu alkoholowym, mieć swoje własne życie i nie ponosić konsekwencji jego uzależnienia. Znam pary, które mają nawet dwie życiowe przestrzenie. Kiedy jedno z nich pije, odchodzi do innego domu.

I da się przy tym nie cierpieć?

– Ludzie w miłości mogą decydować się na konsekwencje w postaci różnych form cierpienia, żeby być z osobą, którą kochają. W miejsce uzależnienia możemy przecież włożyć inną chorobę, która wprowadza w życie rodziny pewien chaos, np. schizofrenię. Zdecydowanie jest tak, że jeśli ktoś kocha taką osobę, to po prostu uczy się z nią być. Z tym że uzależnienie jest trochę inną chorobą, bo mamy na nią wpływ. Jeżeli ktoś bardzo chce utrzymać abstynencję, jest w stanie to zrobić. Jeżeli żyjemy z kimś, kto wie, że wprowadza w nasze życie destrukcję i może to przerwać, ale mimo to wybiera ją zamiast ciężkiej pracy nad sobą, pokazuje to naszą pozycję w tej relacji. Myślę więc, że sama miłość nie jest wystarczającym warunkiem do utrzymywania związku. Czasami nie możemy być z ludźmi, których kochamy, bo oni nas po prostu krzywdzą.

Dominika Tworek



www.wydawnictwomg.pl



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Skwarna rozpacz

Morze to nie mój żywioł; jestem z tych, którym plażowy drink z palemką nijak się nie kojarzy z rajskim odpoczywaniem, wzdrygam się na myśl o wylegiwaniu na słońcu w ciasno zbitym tłumie ludzkich fok. Jestem człowiekiem cienia. Lato jest moim aliantem tylko w planach skalnych włóczęg, bo topi śniegi i odśnięcia na kilkadziesiąt dni tatrzańskie żleby, którymi mogę podchodzić ku granitowym ostrzom. Większość jaskiń w krasie wysokogórskim też łatwiej dostępna jest latem, oprócz tych niżej położonych, gdzie tylko mroźna zima osusza syfony na tyle, by można było je przejść bez nurkowania. W cieniu czuję się bezpiecznie, jemu jestem przypisany – gdy tylko zdarzało mi się z cienia wychynąć ku światłu, wyglądałem pokracznie, parzyły mnie błyski fleszy; stosząc się do obiektywów, czułem, że mam na sobie cudzą skórę (wyczuwano to i przyjmowano z niechęcią). Kiedy człowiek chce się podzielić ze światem radością życia, świat zgrzyta zębami; dzisiaj bezpieczniej dzielić się Weltschmerzem – część ludzi obdaruje nas w zamian politowaniem, większość pożywi się cudzym nieszczęściem.

Owóż, gdyby dopadł was w czasie nadmorskiego urlopowania smętek, bo np. polskie słońce, które jeszcze nie podpała żywcem kurortów, jednak zda się wam jakieś zbyt blade, a bałtycki chlupot fal, choć bezpieczny i ukojny, wyda się wam niemrawy wobec chlupotu oceanicznego – polecam filmowe antidota. Niedawno na platformach streamingowych pojawiły się dwa paralelne tytuły o nadmorskich depresjach i nie chodzi tu bynajmniej o obniżenia terenu. To filmy o rozpaczach na plaży, które mogą zadziałać jak lek homeopatyczny. Wszak ponoć nic nas tak nie pociesza jak fakt, że inni mają jeszcze gorzej. W „Aftersun” Charlotte Wells, znakomicie przyjętym przez krytykę debiucie szkockiej reżyserki, ojciec i córka spędzają wakacje na tureckiej riwierze – brzmi jak zapowiedź ciepłutkiej familijnej komedii, ale ten film jest jej całkowitym zaprzeczeniem. To laboratoryjne wręcz studium krytycznego stanu czarnej żółci, która wypełnia duszę bohatera. Za pozorami bez troskiego wypoczynku kryje się dramat człowieka, który nie pogodził się z rozpadem małżeństwa i choć robi wszystko, aby przy 11-letniej córce trzymać fason i nie poddać się żalości, dziewczynka rejestruje niepokojące

symptomy. Poukładają się jej w czytelną całość dopiero po latach, kiedy dorosła będzie wspominać czas spędzony z ojcem. Nieukożony i niewypowiedziany żal kryje się między słowami, nieomal poza kadrem, jakby reżyserka działała analogicznie do swojego protagonisty, chcąc uchwycić widza przed jednoznaczными obrazami rozpacz. Wakacje z córką zdają się być dla bohatera jedynie odwleczonym samobójstwem, by sparafrazować skrzydlaty aforyzm mistrza cierpienia, Émile’a Ciorana. Coś w tym życiu poszło bardzo źle, dusza została poharatana tak dotkliwie, że nie jest w stanie jej uleczyć nawet radość dziecka. Skądinąd dziecka nadzwyczaj wyrozumiałego, inteligentnego, bo zdającego sobie sprawę, że tata szarpnął się na te ferie nad stan swoich zasobów, i finansowych, i emocjonalnych. Ten film dławi i zostaje na długo, nie użala się, ale wywołuje głębokie współczucie – odnoszę wrażenie, że tu wreszcie nie będzie nadużyciem termin „czutej narracji”.

Kiedy człowiek chce się podzielić ze światem radością życia, świat zgrzyta zębami; dzisiaj bezpieczniej dzielić się Weltschmerzem.

W „Sundown” Michela Franco – meksykańskiej gwiazdy arthouse’u – zamiast tureckiego hoteliku dla *lower middle class* mamy scenę Acapulco, gdzie bohater o bezgranicznie zasobnym portfelu sprawia wrażenie modelowego przykładu człowieka wydrążonego. Tim Roth swoje artystyczne szczyty osiąga właśnie w filmach Michela Franco, który, podobnie jak w wybitnym „Opiekunie”, każe angielskiemu aktorowi ograniczyć ekspresję dosłownie do zera. Bohater żłopie hektolitry piwa i kompletnie bez emocji przyjmuje wszystkie zrządzenia losu: wiadomość o śmierci matki, kradzież z hotelu jego rzeczy, jak i „jednostronnie namiętny” romans z diabelnie urodziwą dziewczyną (zjawiskowa laza Larios). To, co bierzemy za irytujący, obsceniczny spleen burzącego znużonego życia, znajduje w finale zaskakujące rozwiązanie. Zmyślna struktura scenariusza opiera się skądinąd na kontrapunktach fabularnej flauty rodem ze *slow cinema* i ostrych wirażach narracyjnych, twistach, które zupełnie zmieniają nasz ogląd rzeczy. Dwa znakomite dzieła, dwa solidne ciosy w sploty – a jakże – słoneczne ■

Fujian Jinhua, czyli wojna o chipy

Najbardziej zaawansowana technologicznie chińska firma produkująca pamięci DRAM została zrujnowana

Chris Miller

„Jak usunąć dane z komputera”, taką frazę wpisał Kenny Wang w wyszukiwarkę Google, gdy szukał programu, który zatarłby ślady pobranych przez niego poufnych plików z sieci Microna. Niezadowolony z wyników wyszukiwania, spróbował jeszcze raz, wpisując: „Jak wyczyścić rejestry korzystania z komputera”. W końcu znalazł program CCleaner i uruchomił go, próbując usunąć pliki z firmowego laptopa. Nie udaremniło to jednak śledczym odkrycia, że pobrał 900 plików z sieci swojego pracodawcy, firmy

Obecnie na światowym rynku pamięci DRAM dominują trzy firmy: Micron i jego dwaj koreańscy konkurenci, Samsung i SK Hynix. W latach 90. XX w. i pierwszej dekadzie XXI w. tajwańskie firmy wydały miliardy, próbując wejść do branży pamięci DRAM, ale nigdy nie zdołały stworzyć dochodowych biznesów. Rynek pamięci DRAM wymaga dużej skali produkcji, więc małym producentom trudno jest konkurować cenowo. Tajwanowi nigdy nie udało się zbudować trwałego przemysłu układów pamięci, ale zarówno Japonia, jak i Korea Południowa skupiły się na chipach DRAM, kiedy po raz pierwszy weszły do branży

Chińską prowincję Fujian oddziela od Tajwanu Cieśnina Tajwańska. W niewielkiej odległości od Xiameņu, historycznego miasta portowego, znajduje się kontrolowana przez Tajwan wyspa Kinmen, którą armie Mao Zedonga wielokrotnie ostrzeliwały w najgorętszych momentach zimnej wojny. Relacje między Tajwanem a prowincją Fujian są bliskie, choć nie zawsze przyjazne.

Jednak kiedy władze prowincji Fujian zdecydowały się otworzyć produkującą pamięci DRAM firmę Jinhua i zapewniły jej ponad 5 mld dol. rządowego wsparcia, założono, że partnerstwo z Tajwanem będzie najlepszą drogą do sukcesu. Tajwan nie miał żadnych czołowych firm produkujących układy pamięci, ale na wyspie znajdowały się zakłady produkujące pamięci DRAM, które Micron kupił w 2013 r.

Micron nie zamierzał pomagać firmie Jinhua, którą uważał za niebezpiecznego konkurenta. Gdyby Jinhua opanował technologię DRAM, ogromne dotacje rządowe zapewniłyby mu znaczną przewagę konkurencyjną, pozwalającą na zalanie rynku pamięci DRAM tanimi chipami i zmniejszającą marżę zysku Microna, Samsunga i Hynixa. Te trzy firmy przez dziesięciolecia inwestowały w ultraspecjalistyczne procesy technologiczne, dzięki którym nie tylko stworzono najbardziej zaawansowane układy pamięci na świecie, ale także regularnie wprowadzano ulepszenia i redukowano koszty. Ich wiedza była chroniona patentami, ale ważniejsze było know-how, które posiadali tylko zatrudnieni w firmach inżynierowie.

Władze prowincji Fujian zdecydowały się otworzyć produkującą pamięci DRAM firmę Jinhua i zapewniły jej ponad 5 mld dol. rządowego wsparcia.

Micron, najlepszego amerykańskiego producenta układów pamięci. Przeniósł na dysk USB pliki oznaczone ostrzeżeniami: „Poufne dane firmy Micron / Nie kopiować” i przestał je na dysk Google.

Wang kopiował nie tylko pliki – planował skopiować tajną recepturę Microna na produkcję najnowocześniejszych pamięci DRAM. Pobrał pliki z dokładnymi planami technicznymi chipów Microna, zasadami tworzenia masek używanych w procesach litograficznych oraz wynikami testów i opisami wydajności poszczególnych układów. Micron oszacował, że odtworzenie skradzionych tajemnic zajęłoby kilka lat i pochłonęło setki milionów dolarów.

półprzewodnikowej w latach 70. i 80. Pamięci DRAM wymagają specjalistycznej wiedzy, zaawansowanego sprzętu i dużych inwestycji kapitałowych. Zaawansowane urządzenia można kupić od ręki od dużych amerykańskich, japońskich i holenderskich producentów. O wiele trudniej jest zdobyć specjalistyczną wiedzę.

Kiedy Samsung wszedł do biznesu pod koniec lat 80., licencjonował technologię firmy Micron, otworzył ośrodek badawczo-rozwojowy w Dolinie Krzemowej i zatrudnił dziesiątki pracowników z tytułem doktora. Inną, szybszą metodą zdobywania know-how jest podkradanie pracowników i kradzież plików.



Żeby móc konkurować, Jinhua musiał zdobyć dostęp do tych informacji – legalnie bądź nielegalnie. Branża półprzewodnikowa ma sięgającą lat 80. historię przejmowania technologii konkurentów, kiedy to Japończycy mierzyli się z szeregiem zarzutów dotyczących kradzieży własności intelektualnej. Technika działania Jinhua bliższa była Zarządowi T, komórce KGB zajmującej się zbieraniem danych wywiadowczych z dziedziny nauki i techniki. Najpierw Jinhua zawarł umowę z tajwańską firmą UMC wytwarzającą układy logiczne (ale nie układy pamięci), w ramach której miała otrzymać ok. 700 mln dol. za dostarczenie specjalistycznej wiedzy w zakresie produkcji pamięci DRAM. Umowy licencyjne są powszechne w przemyśle półprzewodnikowym, ale ta umowa miała pewien haczyk. UMC obiecał dostarczyć technologię DRAM, choć nie zajmował się pamięciami. Dlatego we wrześniu 2015 r. UMC zatrudnił wielu pracowników z fabryki Microna na Tajwanie, poczynając od prezesa, Stevena Chena, który miał być odpowiedzialny za rozwój technologii DRAM w firmie i utrzymywanie kontaktów z Jinhua. W następnym miesiącu UMC przyjął do pracy J.T. Ho, kierownika produkcji

z tej samej fabryki Microna. W ciągu kolejnego roku Ho dostał zestaw dokumentów od swojego byłego współpracownika, Kenny'ego Wanga, który nadal pracował w Micronie na Tajwanie.

Ostatecznie Wang opuścił Microna i przeniósł się do UMC, zabierając ze sobą 900 plików przesłanych na Dysk Google. Micron powiadomił o spisku tajwańską prokuraturę, a ta założyła podsłuch w telefonie Wanga. Wkrótce prokuratura zgromadziła wystarczającą liczbę dowodów, aby wnieść oskarżenie przeciwko UMC,

Aby „zaradzić” tej sytuacji, Pośredni Sąd Ludowy w Fuzhou zakazał Micronowi sprzedaży 26 produktów na terenie Chin, które były największym rynkiem firmy.

To doskonały przykład wspieranej przez państwo kradzieży własności intelektualnej, na którą od dawna skarżyły się zagraniczne firmy działające w Chinach. Oczywiście Tajwańczycy rozumieli, dlaczego Chińczycy nie przestrzegali zasad prawa własności intelektualnej. Kiedy w latach 60. firma Texas Instruments po raz pierwszy

Zaawansowane urządzenia można kupić od ręki od dużych amerykańskich, japońskich i holenderskich producentów. O wiele trudniej jest zdobyć specjalistyczną wiedzę.

który zdążył złożyć wniosek o ochronę patentową niektórych technologii skradzionych Micronowi. Kiedy Micron pozwał UMC i Jinhua za naruszenie swoich patentów, obie firmy złożyły podobny pozew przeciwko Micronowi w sądzie w chińskiej prowincji Fujian. Sąd w Fujianie orzekł, że Micron naruszył patenty UMC i Jinhua – te, do których wnioski zostały opracowane na podstawie materiałów skradzionych Micronowi.

pojawiała się na Tajwanie, minister K.T. Li zrobił kąśliwą uwagę, że „prawa własności intelektualnej są narzędziem używanym przez imperialistów do zastraszania mniej rozwiniętych krajów”. Jednak Tajwan doszedł do wniosku, że lepiej przestrzegać norm dotyczących własności intelektualnej, zwłaszcza że tamtejsze firmy zaczęły opracowywać własne technologie i chciały je chronić patentami.

Wielu ekspertów do spraw własności intelektualnej przewidywało, że Chiny wkrótce przestaną podkradać cudze rozwiązania, ponieważ chińskie firmy same produkują coraz bardziej wyrafinowane towary. Jednak dowody na poparcie tej tezy były niejednoznaczne. Wysiłki administracji Obamy zmierzające do zawarcia umowy z chińskimi agencjami wywiadowczymi, na mocy której zgodziłyby się one zaprzestać dostarczania wykradzionych tajemnic chińskim firmom, trwały na tyle długo, że Amerykanie zapomnieli o problemie, a wtedy służby z Państwa Środka natychmiast wróciły do starych praktyk.

Micron nie miał powodu sądzić, że proces toczony w Chinach będzie uczciwy. Wygrane sprawy na Tajwanie czy w Kalifornii niewiele znaczyły, gdy niewiarygodne sądy w Fujianie

kilka lat, a już Jinhua, wykorzystując tajemnice Microna, zaczęły produkować pamięci DRAM na dużą skalę. Gdyby do tego doszło, nie miałyby znaczenia, czy Micron zostanie wpuszczony z powrotem na chiński rynek, ponieważ Jinhua będzie już wtedy produkować chipy, wykorzystując technologię amerykańskiej firmy, i sprzedawać je po subsydiowanych cenach. Gdyby doszło do tej sytuacji w trakcie prezydentury Obamy, sprawa zakończyłaby się co najwyżej wydaniem surowych oświadczeń. Amerykańscy prezesi wiedzieli, że nie mogą liczyć na realne wsparcie amerykańskiego rządu, więc próbowaliby dobić targu z Pekinem, rezygnując ze swoich praw patentowych w nadziei na odzyskanie dostępu do chińskiego rynku. Jinhua, wiedząc, że nie spotka go

zastosowała przeciwko ZTE, uznając, że lepiej rozwiązać spór handlowy za pomocą regulacji handlowej. Tym samym Jinhua został odcięty od amerykańskiego sprzętu do produkcji układów scalonych.

Amerykańskie firmy, takie jak Applied Materials, Lam Research i KLA, są częścią małego oligopolu produkującego nadzwyczajne i wyjątkowe maszyny, w tym urządzenia, które nakładają mikroskopijnie cienkie warstwy materiałów na płytki krzemowe lub rozpoznają defekty w nanoskali. Bez tych maszyn – w większości wciąż wytwarzanych w Stanach Zjednoczonych – produkcja najnowocześniejszych układów scalonych jest niemożliwa. Tylko w Japonii działają firmy produkujące urządzenia porównywalnej jakości, więc teoretycznie Tokio i Waszyngton mogłyby uniemożliwić jakiegokolwiek firmie w jakimkolwiek kraju wytwarzanie zaawansowanych technologicznie chipów.

Po drobiazgowych konsultacjach z urzędnikami potężnego japońskiego Ministerstwa Gospodarki, Handlu i Przemysłu administracja Trumpa była przekonana, że Tokio popiera radykalne działania przeciwko Jinhua, a japońskie firmy nie będą omijać amerykańskich restrykcji. Dało to Stanom Zjednoczonym nowe, potężne narzędzie umożliwiające wypchnięcie z rynku dowolnego producenta chipów w dowolnym miejscu na świecie. Niektórzy koncyliacyjnie nastawieni urzędnicy administracji Trumpa, tacy jak sekretarz skarbu Steve Mnuchin, byli zaniepokojeni. Jednak sekretarz handlu Wilbur Ross, który miał uprawnienia w zakresie kontroli eksportu, zastanawiał się, według jednego z doradców: „Dlaczego, do kurwy nędzy, nie mielibyśmy tego użyć?”.

Mimo że Jinhua opłacił już faktury za amerykańskie urządzenia do produkcji chipów, Stany Zjednoczone zakazały ich eksportu. Po kilku miesiącach produkcja w Jinhua została wstrzymana. Najbardziej zaawansowana technologicznie chińska firma produkująca pamięci DRAM została zrujnowana.

Branża półprzewodnikowa ma sięgającą lat 80. historię przejmowania technologii konkurentów.

mogły zablokować firmie dostęp do jej największego rynku. Mniej więcej w tym samym czasie Veeco, producent sprzętu do produkcji układów scalonych ze Stanów Zjednoczonych, wniósł pozew do amerykańskiego sądu o ochronę własności intelektualnej przeciwko firmie AMEC, swojemu chińskiemu konkurentowi. AMEC wniósł podobny pozew do sądu lokalnego w prowincji Fujian – tej samej, w której siedzibę ma konkurent Microna. Sędzia z Nowego Jorku wydał nakaz wstępny na korzyść Veeco. Sąd w Fujianie odpowiedział własnym nakazem wstępnym, zakazując Veeco eksportowania urządzeń do Chin, co według badań przeprowadzonych przez profesora z Berkeley Marka Cohena, eksperta od chińskiego prawa, ma miejsce tylko w przypadku 0,01 procent spraw patentowych w tym kraju. Przed sądem w Stanach Zjednoczonych sprawa toczyła się miesiącami, natomiast sąd w Fujianie podjął decyzję w ciągu zaledwie dziewięciu dni roboczych. Samo orzeczenie nadal jest tajne.

Wydawało się, że Microna czeka podobny los. Niektórzy analitycy sądzili, że minie nie więcej niż

nic gorszego niż wściekły komunikat prasowy, wykorzystany przez Microna tak, jak to tylko możliwe. Inne światowe firmy nic by nie zrobiły, chociaż wiedziałyby, że mogą być następne.

Niektórzy członkowie Rady Bezpieczeństwa Narodowego byli zdeterminowani, żeby zmienić tę sytuację. Dla nich sprawa Microna była przykładem nieuczciwych praktyk handlowych, które Trump obiecał zlikwidować, mimo że nie wykazywał szczególnego zainteresowania amerykańskim producentem pamięci DRAM. Niektórzy urzędnicy administracji opowiadali się za nałożeniem sankcji finansowych na Jinhua, korzystając z uprawnień wynikających z dekretu prezydenta Obamy z 2015 r. w sprawie cyberszpiegostwa, chociaż nie użyto ich nigdy wcześniej przeciwko dużej chińskiej firmie.



Administracja Trumpa zdecydowała się w końcu skorzystać z tego samego narzędzia, które

Chris Miller, *Wielka wojna o chipy. Jak USA i Chiny walczą o technologiczną dominację nad światem*, Poltext/Prześwity, przeł. Aleksandra Samson-Banasik, Michał Glatki, Warszawa 2023



Ewa Zwierzyńska

Aby dotrzeć na Świętą Górę Grabarkę, najpierw należy przejść przez kręgi piekielne. Krąg pierwszy – gmatwanina polnych dróg. Święta Góra leży za miastami i za lasami, blisko białoruskiej granicy. Na szczęście jakiś anioł umieścił na drodze prowizoryczne strzałki w kolorze niebieskim. Tylko one nie pozwalają mi zabłądzić wśród pól i sosnowych łasków, które raz po raz wyłaniają się zza zakrętów. 19 sierpnia, w dniu największego na Grabarce święta Przemienienia Pańskiego zwanego przez miejscowych Spasem, przybywają na Górę tysiące wiernych. Na śródleśnych łąkach i poletkach, na których niegdyś wypasano krowy i siano zboże, miejscowi naprędce zorganizowali wielkie parkingi dla setek samochodów. To dla nich jedyna okazja w roku, kiedy łatwo i szybko mogą zarobić na leśnych nieużytkach. Przy wjeździe zatrzymuje mnie dwóch miejscowych ubranych w służbowe drelichy i czapeczki z daszkiem. Są jednocześnie bileterami, kontrolerami, ochroniarzami i stróżami porządku.

Na Spasa

Z roku na rok na Grabarkę przyjeżdża więcej ludzi. Kiedyś modlitwa tak samo dobra była, szczerą, ale chyba bardziej gorliwa niż dziś

– 10 zł za wjazd – informuje mnie jeden z nich. – Ma pani czas do jutra.

Następny krąg znajduje się tuż za parkingami. Na drodze do Świętej Góry wyrastają dziesiątki straganów. Z roku na rok pojawiało się ich więcej, aż w końcu całe straganowe pandemonium zaczęło przypominać dobrze zorganizowane bazarowe miasteczko z watą cukrową, biżuterią z koralików, pistoletami na kapiszony i perukami w każdym możliwym kolorze. (...)

Na ulicach bazarowego miasteczka tłumy. Panuje bez troski rozgardiasz, radosna atmosfera lokalnego święta. (...) Tłum skąpany w sierpniowym słońcu faluje i huczy

rozmowami z dawno niewidzianymi kuzynami i znajomymi. Nawet prawosławni duchowni, pochłaniający lody włoskie z automatu, śmieją się śmiechem szczerym i głośnie.

Podlaski Ganges

Pielgrzymi idący do Świętej Góry przebijają się powoli przez masę ludzką i gęstą atmosferę ludowego festynu. Kobiety starsze, jak i te zupełnie młode są ubrane skromnie, w spódnice do ziemi i chusty na głowach. Zatrzymują się przy leśnym strumyku płynącym u podnóża góry. To źródło jest uważane za święte i lecznicze. Na obu jego brzegach ▶

► pielgrzymi obmywają zmęczone stopy, a także chore części ciała: oczy, uszy, plecy, nogi – co komu dolega. Niektórzy używają do tego zmoczonych chusteczek do nosa. Jeśliby ktoś nie miał swojej chusteczki, może ją kupić za 3 zł u licznych sprzedawców, którzy całe sterty chustek w różnych rozmiarach i kolorach porozkładali na taboretach i prowizorycznych stojakach. Zużyte chusteczki wierni rozwieszają gdzie popadnie – na ogrodzeniu, krzakach,

i pomalowano na niebiesko, ale pompa jest jedna, a pielgrzymów – tysiące. Do studzienki wiją się nieskończenie długie kolejki, które niczym promienie słońca zbiegają się wokół krynicy. Pośrodku stoją młodzi wolontariusze – przez najbliższą dobę nie będą robić nic innego oprócz pompowania i nalewania wody do plastikowych butelek podawanych im z każdej strony przez setki spragnionych i niecierpliwych rąk. Potrzebujących jest tak wielu, że będą

Wierni wkopują je obok cerkwi. Są ich setki, tysiące, cały las krzyży ludzkich problemów i podziękowań.

Zanim zostaną poświęcone i pozostawione, wierni okrążają z nimi cerkiew, najczęściej na kolanach. Jedno okrążenie, trzy, dwanaście – ile kto może. To ich ofiara. Poruszają się z wysiłkiem, kolana zahaczają o kamyczki i korzenie. Idą starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni. Matka trzyma za rękę idącego na kolanach kilkuletniego chłopczyka, młode dziewczyny idą, podtrzymując powłóczyście spódnice.

(...) Pielgrzymi nie zwracają uwagi na fotografów, idą w religijnym zapamiętaniu. Po zmroku zwiększa się liczba młodych mężczyzn, szczególnie tych wysportowanych, ze złotymi łańcuchami na szyi. Klękają i wędrują w pyłe i kurzu, który osiada na firmowych adidasach, na koszulkach z napisem „Nike”. Tych, którzy chodzili, można potem łatwo zidentyfikować po ranach i plastrach na nogach.

Agata Pikulińska i Agata Filipiuk to przyjaciółki, które zaczęły przyjeżdżać na Świętą Górę w tym roku.

– Najpierw był zjazd maturzystów, potem majowy zlot młodzieżowy – opowiadają o początkach przygody z Grabarką. – Nie mogłyśmy nie przyjechać na sierpniowe święto. Przyciąga nas tutaj jakaś moc, taka

Szalała zaraza. Ci, którzy na Grabarkę przyszli, ocaleli. Z wdzięczności postawili krzyże. Tak to się zaczęło.

drzewach. W ten sposób symbolicznie pozbywają się choroby. Z każdą minutą pozostawionych chusteczek jest więcej, aż w końcu druty i gałęzie uginają się pod ciężarem wielowarstwowych zwojów ludzkich chorób i nieszczęść.

Jesienią chusteczki są zbierane i palone przez zakonnice z jednego z niewielu w kraju żeńskich monasterów prawosławnych, który znajduje się właśnie na Grabarce.

Wiesława z Siemiatycz doznała tu wielu łask:

– Bardzo pomaga mi woda ze świętego źródła. Kiedyś miałam chore zatoki, obmyłam twarz i choroba przeszła. Podobnie oskrzela, jak przemyłam klatkę piersiową. Ludzie mówią, że to może złudzenie, że jak się wierzy, to wszystko pomoże, ale ja jestem przekonana, że to jakaś większa moc. Wierzę też w chlebek Artos. Nie zjadam go, tylko noszę przy sobie ciągle, przesuwam go także nad chorą nogą i czuję ulgę. W Kościele katolickim to zdaje się chleb św. Agaty się nazywa. Oba są niezwykle skuteczne. Pamiętam, jak kiedyś paliła się nasza wioska i sąsiadki katolickie przyniosły nam ten chlebek Agaty, on ma moc gaszenia pożaru. Moja siostra schwyciła go i obiegła z modlitwą nasz dom. I wie pani co? Ogień ustał!

Obok strumyka wykopano studzienkę i wmontowano pompę, aby pielgrzymi mogli łatwiej pozyskiwać świętą wodę do picia. Studzienkę obmurowano, zadaszono

to robić przez cały dzień i całą noc. Nad głowami wolontariuszy unoszą się anioły. Spoglądają z sufitu swoimi poważnymi, bizantyńskimi oczami na każdego pielgrzyma, który przyszedł tu po uzdrowienie.

Nad aniołami już tylko Święta Góra porośnięta starymi sosnami. Na jej szczycie – niewielka cerkiewka obita drewnianymi balami pociągniętymi ciemną bejcą. Próżno szukać na niej nawet cebulastych kopuł, tak charakterystycznych dla prawosławnych świątyń. Za to wewnątrz – zapiera dech! Wschodni orient pełza po podłodze pokrytej wzorzystymi

Pielgrzymi idący do Świętej Góry przebijają się powoli przez gęstą atmosferę ludowego festynu.

dywanami, spływa ze złotego ikonu, a przede wszystkim oszalałymi kolorami. Każdy centymetr przestrzeni jest pokryty różnobarwnymi polichromiami, czerwień miesza się ze złotem, zieleń z błękitem, fiolet z pomarańczem. (...)

Pielgrzymując na kolanach

Na górę docierają kolejne grupy pielgrzymów – z Białegostoku, Siemiatycz, Gródka, Drohiczyzna, a nawet z Warszawy. Wielu niesie na barkach drewniane krzyże, większe i mniejsze, niektóre tak wielkie, że dźwigać je musi kilku mężczyzn. Każdy krzyż to jakaś intencja, modlitwa.

specyficzna. To jest miejsce święte. Tutaj jest inaczej, atmosfera jest cudowna. Pobyt na Grabarce odnawia nas wewnętrznie i kiedy wracamy do domu, tęsknimy za tym miejscem.

Dziewczyny są tutaj od tygodnia, mieszkają z zakonnicami, pomagają w prowadzeniu kuchni, przygotowywaniu do święta, obsłudze turystów. Dzisiaj przez cały dzień sprzedawały pamiątki w przyklastornym sklepiu. Wyjadą za kilka dni, kiedy dokończą wszystkie sprawy i uporządkują teren po święcie.

Takich osób jest więcej. Przyjeżdżają z całego kraju – z Lublina, z Poznania, z Wrocławia. Przebijają się w zielone koszulki z napisem „Ślužby

porządkowe” i pomagają, w czym tylko mogą. Wspiera ich drużyna harcerska z Białegostoku.

Karina ma 12 lat, do przyjazdu zachęciła ją drużynowa Marta. Dziewczynka ma oczy pełne pasji, harcerski mundur i chusteczkę na głowie. Na Grabarce pomaga już drugi rok z rzędu. Harcerki mają opinię ambitnych i pełnych zapału. Nic nie jest w stanie ugasić ich gorliwości – nawet całonocna pomoc przy porządkowaniu świeczek wydaje się tylko podsycać ich żarliwość.

– Praca jest świetna – przekonuje Karina – i wcale mnie nie męczy. (...)

Dzwony oczyszczają duszę

Popołudniowe słońce łagodnie pieści cerkiewkę, głaszcze po głowach pielgrzymów – zarówno tych, którzy dźwigając swoje krzyże, chodzą wokół cerkwi, jak i tych, którzy poprzysiadali na okolicznych ławeczkach lub stoją między krzyżami,

Bardziej ubogo, skromnie było, a dziś wszystko takie wystrojone, wyszykowane. Może więcej pokory było.

oczekując na rozpoczęcie uroczystości. Tę pełną wyczekiwania ciszę przesywa nagle dźwięk dzwonu. Jedno uderzenie, drugie, trzecie. Dźwięk jest potężny i głęboki, dociera nie tylko do uszu, ale i do wnętrza. Ciała i serca wiernych zaczynają rezonować. Do wielkiego dzwonu dołączają mniejsze, biją szybciej i wyżej, aż w końcu wielogłos różnego kalibru dzwonów zaczyna śpiewać pieśń niczym cerkiewny chór. W jednej chwili nastrój staje się uroczysty. Rozpoczyna się wielkie misterium.

Prawosławne dzwony działają inaczej niż te w kościołach katolickich, bowiem w ruch jest wprawiane tylko ich serce. To serce lud prawosławny nazwał językiem, tym samym upodabniając dźwięk dzwonu do głosu. Dzwon nawołuje, ogłasza, opowiada.

Emocje, jakie budzą się w człowieku pod wpływem dzwonienia, mają wskazywać na stan jego duszy. W duszach ludzi wierzących, pogodzonych z Bogiem, dźwięk dzwonu wywołuje radość i spokój, zaś w duszach ludzi

grzesznych i złych pojawiają się rozdrażnienie, lęk, nienawiść. Cerkiewne dzwony mają moc oczyszczania duszy, uzdrawiania, a nawet wyganiania demonów. (...)

Nasza góra Tabor

(...) – Przybyliśmy tutaj, tak jak wcześniej przybywali nasi ojcowie i dziadowie, by czerpać z tego miejsca duchową siłę. – Biskup rozpoczyna uroczystości od powitania pielgrzymów. – To jest nasza Góra Przemienienia, nasz Tabor, który symbolicznie przenosi nas do Ziemi Świętej. Tutaj rozbijamy namiot spotkania z Chrystusem i doznajemy duchowego odnowienia. Nie tak dawno zły duch opętał serce wrogiego nam człowieka. Podpalił on naszą cerkiew, pamiętamy, jak to było. – Kaznodzieja nawiązuje do wydarzeń sprzed ponad 20 lat, kiedy to podpalacz doprowadził do całkowitego spłonięcia zabytkowej cerkiewki na Grabarce.

– Ten człowiek chciał zniszczyć nie tylko nasze sanktuarium, ale i naszą prawosławną wiarę. Pomimo wielkiego bólu i rozpacz nie poddaliśmy się zwątpieniu. Odbudowaliśmy naszą cerkiew, nie pozwoliliśmy zwyciężyć złu. Dzisiaj możemy przyprowadzać tu swoje dzieci i wnuki, aby czerpały duchowe siły z tego wyjątkowego dla wszystkich prawosławnych w Polsce miejsca. (...)

Wiesława jest jedną z tych, które przysiadły na ławeczce pośród krzyży. Wpatruje się z zadumą w dopalający się w dłoniach ogarek. Przyjeżdża na Grabarkę co roku od 53 lat.

– Z roku na rok na Grabarkę przyjeżdża więcej ludzi – mówi. – Zawsze było ich mnóstwo, ale to, co się teraz dzieje, a kiedyś, to nie porównać. Grabarka taka sławna się zrobiła. Kiedyś modlitwa tak samo dobra była, szczerza, ale chyba bardziej gorliwa niż dziś.

Wszyscy starali się tu przyjeżdżać o poście. Potem rozkładali obrusy na ziemi, wspólnie jedli posiłek, jedni drugich ugaszczali, częstowali, obowiązkowo musiał być śledź. Całymi wioskami i rodzinami rozkładali się. Bardziej ubogo, skromnie było, a dziś wszystko takie wystrojone, wyszykowane. Może więcej pokory było. Rano zaprzęgaliśmy konia do fury i jechaliśmy na Grabarkę. Tych fur przyjeżdżały setki. Drogi tylko się kurzyły. Dzisiaj wszyscy samochodami przyjeżdżają po asfalcie. To zasługa siemiatyckiego starosty, Jana Zalewskiego, który choć katolik, to asfalt do samej Grabarki wylał. Porządny człowiek. Rodzice mi opowiadali o cudzie, jaki wydarzył się kilkaset lat temu. Wtedy zaraza szalała, a jednemu staruszkowi przysnił się głos boży, co mówił, żeby na tę górę iść i tu szukać ratunku. Ludzie tysiącami szli, modlili się, mieszkali w lesie i pili wodę z tego strumienia. I prawda: ci, którzy na Grabarkę przyszli, ocaleli. Z wdzięczności postawili krzyże. Tak to się zaczęło.

(...) Panachida, czyli krótkie nabożeństwo za zmarłych, rozpoczyna się na grabarkowym cmentarzu o pierwszej w nocy. Monotonne litanie długiej listy imion zmarłych mieszają się z pieśniami pielgrzymów, którzy całymi grupami przysiedli wokół cerkwi. Rozkładałam karimatę wprost na ziemi. Podobnie jak inni pielgrzymi na górze będą dzisiaj spała pod gwiazdami. Niektórzy kładą się między krzyżami, inni wybierają otoczenie starych drzew. Pozostali nie będą spać w ogóle, uczestnicząc w modlitwach i nabożeństwach trwających przez całą noc.

Do świtu zostało kilka godzin. Noc jest wyjątkowo ciepła. Nade mną niebo – jasne i gwiazdzone. Na jego tle odcinają się czarne korony sosen. Zamykam oczy. Przez całą noc słyszę cerkiewne dzwony.

2014

Fragmenty książki Ewy Zwierzyńskiej *Podlaska mozaika. Reportaże z rajy – krainy błota i mgły*, Wydawnictwo Pańsy Buriat, Kielce 2022



Pod niebieską owieczką

Niepowtarzalne kafle rodzą się w Bodzanowie

Beata Dżon-Ozimek

Zza węgła wygląda i patrzy na mnie szara główka, dalej jest niebieskie ciało na szarych trzech nogach. Owieczka niebieska, twarda, nieprawdziwa, a patrzy jak żywa. Jestem w domu kolorów w poniemieckiej wsi.

Bodzanów, dawny Langendorf, a w 1263 r. Long Villa, czyli Długa Wieś; ok. 1,5 tys. dusz. Otwarta brama, solidny dom, skierowany krótszą ścianą ku drodze, reszta domu i zabudowań ginie w ogrodzie. Wieś jest murowana, przecięta rzeczką Białą Głuchołaską; kościół, kilkusetletni klasztor, fabryka. Niemal przy każdym domu rzeźba Maryjki, gdzieś płaski, metalowy Chrystusik na krzyżu, czasem malowany przez lokalnych artystów; częsty wzór na tych terenach. Jestem koło Głuchołaz, 2,5 km od granicy z Czechami. Od niemal dekady mieszka tutaj czteroosobowa rodzina, przenieśli się z Warszawy. Artystka malarka, rzeźbiarka i były już menedżer restauracji oraz dwoje nastolatków, a także dwa psy i kot ze schroniska. I owieczka z pchłego targu, chyba w Nysie. Niebieska.

Poculi się zmęczeni miastem, swoje tam odrobili. – Zanim ten dom wybraliśmy, zjechaliśmy cały wschód, odpuściliśmy sobie część od Nowego Sącza do Zakopanego i Żywca, szukaliśmy bardziej poniemieckiej architektury. Tu są domy, które przetrwały ponad 100 lat, a kolejne setki przed nimi. Cegła sucha, nic nie pęka. Ja jestem z Łukowa, 100 km od Warszawy – opowiada Karina Witkowska. – Pochodzę z Zielonej Góry, poniemieckich terenów, mieszkam w starym, poniemieckim domu. To jest jak mapa proste, przejrzyste: rzeka obok domu, ściany,



Karina i Tomasz Witkowsky: W Bodzanowie bardzo dobrze się poculiśmy.

okna mają być ustawione w stronę słońca, północna część ma mało okien, bo wilgoć – dodaje Tomasz Witkowski.

Siadali z herbatą wieczorem, jak dzieci poszły spać, i szukali, co można kupić za 30 tys., za 50 tys.? Bez dachu, bez okien, do wymiany. To może za 100 tys.? A za 200 tys. były

już fajne poniemieckie domy. – Na sobotę umawiałam w okolicy pięć domów i o czwartej rano wyjeżdżaliśmy, oglądaliśmy. I tak z pół roku co któryś weekend.

Szukanie domu to wysiłek nie tylko fizyczny, potem ekonomiczny, ale i emocjonalny, bo to różne historie, spotkania, tajemnice nawet. Po



Schody zrobione są z najróżniejszych barwnych kafli.

drodze Witkowskim zdarzyło się, że ktoś prosił niemal z płaczem: „Zabierzcie ode mnie ten dom”. – Wyczuwaliśmy jakieś energie, różne sytuacje. W Gogolinie był taki stary pałacyk, miał straszną historię. To był szpital, dużo cierpienia, choroby, coś nas niepokoiło. Agent wcześniej nam tego nie mówił, dopiero kiedy zdecydowaliśmy, że na pewno nie kupimy. Nie my pierwsi wyczuliśmy, że coś jest nie tak. Wiele budynków nie miało dachów, w czasie deszczu ludzie miski wystawiali. Byliśmy w szoku, że w tych czasach jeszcze w takich domach ktoś mieszka. A tutaj, w Bodzanowie, weszliśmy i bardzo dobrze się poczuliśmy, spojrzeliśmy na siebie w stajni tak, żeby sprzedający się nie zorientował. Wiedzieliśmy, że to jest to i że spełnia wszystkie nasze oczekiwania, praktycznie można było od razu zamieszkać. Do tego działka piękna, góry widać! I woda niedaleko.

Mury porządne, dom jakiś dobry

– Znałam architekturę Podlasia, drewniane chatki, piękne, ale niestety nie przetrwało ich wiele. No więc

te mury porządne, grube, ceglane – to wszystko było dla mnie niesamowite. W kominach są wędzarnie, piece chlebowe, był taki na wyposażeniu tego domu, funkcjonujący, ale osoba, która nam sprzedawała dom, przerabiała go na nowoczesny i piec wyrzuciła – żałuje Karina. Łuki w grubych murach zachwycają. Nieraz słyszeli: „Po co wam te łuki? Wyburzcie,

W tych kaflach jest moje malarstwo.

to będą piękne, równiutkie ściany”. A dom również dla tych łuków został kupiony. – Może jeśli ktoś w tym się wychowywał, to była oznaka biedy, złych czasów? Potem chcieli, żeby było równiutko, kartongipsowo – zastanawiają się Witkowsy. – A nie o to chodzi.

Zależało im też na miejscu do pracy, ręcznej produkcji kafli w ich firmie Artkafle. I kolejna fantastyczna sprawa – stajnia, obora połączona przejściem z domem. Nie trzeba wychodzić na dwór, żeby przejść do pracowni. Wszystko tu było, żadnej ściany nie wyburzyli, nie przestawili,

weszli od razu. Pracownia miała nawet siłę, z miejsca podłączyli piec i mogli pracować. I jak tu nie cenić poniemieckiego?

Blok, betonozę i dzwony kościoła od rana zamienili na dom, kawał ziemi, ogród. – Córka powiedziała po pewnym czasie, że nie wyobraża sobie powrotu do miasta. Oczywiście, że się baliśmy, że dzieci mogą protestować. Dziś Bodzanów to sypialnia Nysy i Głuchotaz, może i Opola, w Warszawie podobne odległości przemierza się w obrębie miasta. Teatr, kino? Jak chcemy, to w Nysie mamy teatr, przyjeżdżają znane postacie, mamy kino, koncerty, jezioro, góry – wyjaśnia Karina.

Jedynym minusem jest to, że jeszcze nie dotarła tu ekologiczna kultura palenia w piecach. – Wrzesień to już „zapach zimy”. Palenie śmieci. Mijamy nadzieję, że z czasem ludzie jednak się przestawią – wierzy Tomek.

– Wiele osób nie docenia starych mebli, wyrzucają wszystko, nie chcą tego w domu. A my na tym korzystamy – uśmiechają się. Pianino – piękne, stare, też poniemieckie. Szkoda było wyrzucać na śmietnik, ▶



Turkus, zieleń – to są ich kolory.

► ale nawet w szkole muzycznej nikt go nie chciał. – Wzięliśmy je, wymagało remontu, strojenia. Tu są klawisze z kości stoniowej. Z naszego domu w Warszawie mamy niewiele pozostałości, tylko ten blat w kuchni i kilka rzeczy, współczesne szafy się porozpadały. Studiując na ASP w Warszawie, zawsze myślałam, że będę zbierać obrazy, rzeźby, wymienialiśmy się między studentami, u moich rodziców bardzo długo czekały i znalazły w tym domu swoje miejsce – Karina pokazuje piętro, prywatną galerię sztuki. Wdrapuję się po schodach – najróżniejszych barwnych kafkach. Wokół starocie, znalezione, uratowane, darowane, przygarnięte.

– Mamy bardzo dużo przyjaciół z Warszawy, Wrocławia, Poznania. Jak do nas przyjeżdżają, nie chce im się wyjeżdżać – uśmiechają się gospodarze.

Kafle Kariny

W ich pierwszym mieszkaniu, ileś lat temu, nic ze sklepu nie pasowało

im na ścianę. – Skoro nic nie ma, to płytki namalowałam na ścianie. Ale były niepraktyczne, więc pomyślałam, że zrobię płytki ceramiczne. Zapisalam się do pracowni ceramicznej. W świat ceramiki wprowadził mnie Wojtek. Również jest po akademii sztuk pięknych. Zrobiliśmy sobie

Stoi gdzieś czerwone ferrari, a my widzimy obok kafle.

płytki z miastami, taki kolaż wyszedł. Pomyśleliśmy: może są ludzie tacy jak my, też będą chcieli mieć coś oryginalnego, i tak zaczęliśmy robić projekty – tłumaczy Karina. Na czwartym piętrze mieli pracownię, trzeba było wnosić glinę, piec, zrobiło się za ciasno; coraz więcej zamówień. Zaczęli szukać pracowni, okazało się, że można z tego żyć. Ceramiką zajmowali się po normalnych etatach w szkole i restauracji.

– Ludzie piszą do nas, że pierwszy raz zetknęli się z takimi kafkami i muszą je mieć, że chcą tylko te. A wysyłka jednej paczki do USA

kosztuje 500 zł, do tego trzeba doliczyć cenę metra kafli, wychodzi sporo. Po otrzymaniu piszą do nas, że są jeszcze piękniejsze niż na zdjęciach. Czasem ktoś potrzebuje posiedzieć z tymi kafkami, wtedy mówi: „Dobrze po kilku dniach się z nimi poczułem” – opowiada Tomasz.

– My nie robimy oczywistych kafli, uwielbiam kolory i to moje malarstwo w nich jest – dodaje Karina. Kiedy maluje niebieskim, to nieoczywistym, ten niebieski tworzy sama. Większość ich kafli jest niepowtarzalna, wszystko zrobione ręcznie i każda płytka jest jedyna, inna.

Formowanie materiału, gliny, to ciężka, fizyczna praca. Trzeba to potem rozwałkować, wyciąć kształty. Wcześniej zaprojektować. Karina: – Często ludzie piszą, jakie kafle by chcieli, np. odwzorować te ze starej kamienicy, powiedzmy kolor écru ze spękaniem, mają naśladować

stuletnie, zniekształcone przez czas, światło. I ja teraz muszę stworzyć taką miksturę, która odwzoruje odcień i strukturę tego szkliwa. Czasem odnajdywanie idealnego koloru trwa dwa-trzy tygodnie.

Swoje artystyczne kafle sprzedają do Nowego Jorku, Kalifornii i innych części Ameryki, do Kanady. Amerykanie doceniają rękodzieło. Europejczycy także, dużo prac trafia do Niemiec, a przed brexitem też do Wielkiej Brytanii, teraz dostawa trwa dłużej niż do USA. – Kilka znanych osób, topowych sportowców, aktorów, celebrytów z całego świata, wzięło od nas kafle; nie możemy zdradzać nazwisk. Cieszymy się, że nasze płytki chcą mieć w Singapurze. Liderami w tej sztuce są Hiszpanie, Portugalczycy, Włosi. My proponujemy inne wzory, kolory i wybierają nasze. Był taki konkurs, żeby zaprojektować ceramikę dla siedmiu willi na Majorce. Wysłaliśmy swoje propozycje: turkusy, piękne zielenie, morskie. Startowało 11 firm z całego świata i wygraliśmy my – bezkonkurencyjnie, więc dla nas to komplement. To motywuje, kiedy nas doceniają architekci i mówią nam o tym. Albo pisze klient pełen emocji, np. że mycie rąk w naszej umywalce to mistyczne doznanie – opowiadają przy stole ze starych drzwi, znalezionych we wsi, odrestaurowanych i z ich kaflami.

Ich klientka brała udział w misji na Antarktydę. Zabrała tam płytki, żeby podarować ludziom „kawałek Polski”, to była ogólnosiłowa ekipa. Wysłała im kartkę 1 marca 2020 r., dostali ją miesiąc temu. Utknęła w Chile.

– Architekci piszą, że zafascynowali się kształtem umywalki czy kolorem płytek i pod ten wzór projektują całe wnętrza – przyznaje Karina. Turkus, zieleń, a potem długo nic. To są ich miksy kolorów, zestawienia tworzą bloki, ściany, zróżnicowane nasycenie, żeby wzbudzały emocje. – Często staramy się stosować kolory transparentne, które mają jakąś głębię. Czasem skapnie szkliwo z jednej płytki na drugą, przypadkiem odkrywam jakieś fajne zestawienia. Zapisujemy to, cały czas jest odkrywanie, tworzenie, materia wciąż zaskakuje – uśmiecha się artystka.

– Nawet glina, która mniej szamotu dostała przy produkcji, daje inne efekty. Miał być niebieski, wyszedł złamany niebieski – dorzuca Tomek.

Gra z barwą trwa. Podczas podróży patrzą na zestawienia kształtów, wzorów. Podobnie podczas oglądania filmów: – Zatrzymaj, popatrz na ścianę! No, tacy trochę freak jesteśmy. Albo chodzimy po Wrocławiu, pootwierane drzwi w starych kamienicach, zobacz, jaka podłoga, klatka! Stoi gdzieś czerwone ferrari, a my widzimy obok kafle! Albo znajomi są w knajpie w Krakowie czy Berlinie, piszą: „Czy to nie wasze kafle?”. No, nasze.



Karina: Studiując na ASP, zawsze myślałam, że będę zbierać obrazy, rzeźby.

– Cóрка kończy szkołę plastyczną, syn dostrzega już potencjał w firmie, to ciężka, fizyczna praca, cały dzień na nogach. Karinka cały dzień siedzi, co też nie jest dobre – martwi się Tomek. Ale jak wyjeżdżają czasami na dwa-trzy tygodnie, tęsknią za pracownią. Ile można siedzieć? Już im się chce popracować.

Kolejny cel – wieża ciśnień

Pierwszego dnia po przeprowadzce, w niedzielę, dostali mandat za postój w sąsiednich Głucholazach, tak na dzień dobry. Już pokochali to miasto, dzieciom też się podoba. Na początku było: „Ale dziura!”, jednak z roku na rok widać zmiany, rozwój. Społeczność przyjęła ich świetnie. To bardzo długa wieś, pierwszego

dnia sąsiadka przyszła z jabłkami i powiedziała: „Witamy w naszej społeczności”. Rejestracja zdradziła, że warszawiacy, ale było bardziej zaciekawienie. Tomek: – Jak się dowiedzieli, że ceramika, to wszyscy chcieli zobaczyć, w krótkim czasie poznaliśmy bardzo dużo ludzi. Nie wyobrażam sobie już mieszkać gdzie indziej. Jest i sąsiedzki monitoring, taki zdrowy, nie umknie np. zbyt długo parkujące u nas auto. Jak tutaj zjechaliśmy, było jeszcze kilka domów do kupienia, w tej chwili nie ma już żadnego. Dużo osób z Wrocławia tu się przeprowadza.

W tym roku kupili wieżę ciśnień w Głucholazach. Zobaczyli ją na początku, kiedy rozglądali się w terenie. – Jesteśmy zainteresowani architekturą, zwracamy uwagę na piękno, a ona była taka samotna, brzydka. Wiele lat to trwało, ale teraz będziemy ją remontować. Będzie do wynajęcia, trzypoziomowa, z widokiem na Jezioro Nyskie – pokazują tomy dokumentów, zgody konserwatora zabytków. Mają plan, żeby to zrobić do swojej pięćdziesiątki.

Niebieska, jak jedna z barw kafla Witkowskich, owieczka cierpliwie patrzy zza rogu domu, z ogrodu z bardzo starym orzechem. Czwarta nóżka leży obok, nie chce się przykleić.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 16 utworzą końcowe hasło.

- oskarżony się wybroni, gdy je ma
- Saudyjczyk lub Syryjczyk
- Przymierza albo Noego
- zuchwalec, zarozumialec
- kolor bijący pozostałe
- ulaskawiony zamiast Jezusa

- każdy człowiek wobec drugiego
- spodziewanie się, wypatrywanie
- składnik, pojedynczy fragment
- stała posada ze stałą placą
- jest głównym pożywieniem koali

- ku jego czci Luperkalie
- złote, gdy 50. rocznica ślubu
- tworzywo na skoczni narciarskiej
- jest podkładem do haftowania
- włoski żandarm
- i pocztówki, i bony
- mała czarna lub ptak
- cyrkowy roźmieszacz
- bocianie kłapanie dziobem
- sznur zanurzony w nafcie
- tnie wieczorem nad jeziorem
- ujęty w punktach zarys, plan tekstu, wykładu
- kwaterują w nich żołnierze
- Makawity tropiony przez Chruppsa

- nicpoń, galgan
- znakomitość w dziedzinie nauki, kultury
- cenny dla serca i kości pierwiastek
- kontrola lub instytucja pilnująca
- budzi zainteresowanie nefrologa
- niezręczność towarzyska
- właśnie przestał być kawalerem
- przedstawienie wyglądu
- wszyscy pracownicy, załoga
- to, co nęci, chętką na zakazane
- jej skórka na pączkach
- nikle światło, poblask
- zamierzchnia przeszłość, prehistoria
- odpalana przez kibica
- wynosi satelitę na orbitę
- ostrzeżenie: niech cię ...boska broni!
- stylizowana Wisła z Krakowem

- „...z piramidami” Słowackiego
- gdy ...w górę, to do najlepszego
- Bacardi jego znaną marką
- łokowa pompa pożarnicza
- pasmanteria lub spożywczy
- gruba zasłona okienna
- przyczynił się do śmierci Isadory Duncan
- arabski naczelnik rodu, plemienia
- powinno trafiać do zielonego pojemnika
- dobijany przy kupnie
- wykonywanie warstwowych zdjęć rentgenowskich
- uczenie zwierząt
- żabie lub drobiowe na talerzu
- zamek jak himalajski stwór
- głębokie zamyślenie
- maluszek przy kłacz

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1128”. Do rozlosowania książki „Dziedzic z Redclyffe” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 sierpnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1125” z nr. 28: *Chciwego nie można nasycić.*
Nagrody otrzymują: Beata Kubik z Ryczówka, Marek Osmański z Poznania, Halina Szczepańska z Krakowa.

Po co nam Gruzja?

oto rzecz z punktu widzenia dyplomacji niepojęta. Wybuchła dzika awantura, a Polska znalazła się w jej centrum. Chodzi o polskich lekarzy, którzy zostali wysłani do Gruzji, by przebadac byłego prezydenta tego kraju, Micheila Saakaszwilego, który od października 2021 r. przebywa w więzieniu.

Przebywa i choruje, wygląda jak szkielet. Polska już w ubiegłym roku proponowała, by mógł przyjechać do naszego kraju i tu być leczony. Ale władze gruzińskie odmawiały. Wreszcie, po wielu miesiącach zabiegów, zgodziły się, by polscy lekarze zbadali Saakaszwilego na miejscu.

Mateusz Morawiecki wysłał więc do Tbilisi misję medyczną pod kierownictwem dr. Artura Zaczynskiego, wicedyrektora szpitala MSWiA. No i oczywiście chwalił się tym w mediach społecznościowych. „Nie zostawiamy przyjaciół w potrzebie – pisał. – Na moje polecenie zespół polskich lekarzy rozpoczął w Gruzji kompleksowe badania lekarskie prezydenta Micheila Saakaszwilego”.

Badanie było sprawą politycznie delikatną. Ekipa obecnie rządząca w Gruzji to wrogowie Saakaszwilego. Ale aspirują do Unii Europejskiej, premier Irakli Garibaszwili lawiruje i zabiega, by przyznano Gruzji status kraju kandydującego do UE. Zresztą Morawiecki, który był w marcu w Tbilisi, deklarował, że Polska wspiera drogę Gruzji do Wspólnoty Europejskiej.

Sytuacja jest więc skomplikowana, wymaga uwagi i delikatności. Tymczasem po badaniach do gruzińskiego MSZ został wezwany chargé d'affaires ambasady Rzeczypospolitej w Tbilisi. Tam zażądano od niego wyjaśnień na temat działań dr. Zaczynskiego. Miał on podczas badania Saakaszwilego zawiąnąć

w serwetkę pobraną od niego próbkę krwi (była też wersja, że włosy i paznokcie) i ukryć ją w bucie.

To bezdyskusyjne, bo wychodząc z więzienia, został przeszukany. Nagranie z tego przeszukania upubliczniono, widać na nim, jak wyciąga coś z buta.

Do sprawy włączył się gruziński premier, mówiąc, że polscy lekarze dokonali czynu „haniebnego”: „Potajemnie pobrali próbki od więźnia, co rodzi wiele pytań. To wszystko jest bardzo podejrzane. Straciliśmy zaufanie. Gruzjijskie władze nie mają ochoty na dalszą współpracę”. Mógł więc być sukces, a wyszło fatalnie.

Nasuwać się pytania. Dlaczego w Tbilisi Polska nie ma ambasadora, tylko zastępuje go chargé d'affaires? Czy polscy lekarze byli dokładnie poinstruowani, co mogą robić, a czego powinni się wystrzegać? Czy nasze służby pilnowały, by lekarze nie zostali postawieni w trudnej sytuacji? Czy nasi dyplomaci byli w stałym kontakcie z przedstawicielami rządu?

To są podstawowe pytania, można rzec BHP takiej operacji. I, niestety, pewnie jest tak, że na wszystkie odpowiedzi brzmi: nie.

Polska mogłaby oczywiście prowadzić na Kaukazie grę dyplomatyczną, marcową wizyta Morawieckiego była przecież takim sygnałem. Misja lekarzy również. Ale okazuje się, że Morawiecki poleciał tam po to, żeby odsonić pomnik Lecha Kaczyńskiego. A Saakaszwilego stawiamy ponad naszymi interesami, bo przyleciał na pogrzeb pary prezydenckiej, więc to przyjaciel. Reszta jest improwizacją.

Naprawdę, szkoda pieniędzy na takie MSZ.

Attaché

„Czarny dzień dla izraelskiej demokracji” – reakcja prasy na przyjętą 24 lipca ustawę pozbawiającą Sąd Najwyższy dużej części uprawnień do kontroli działań rządu. Jerozolima, 25 lipca 2023 r.





PENETRACJE

KRAKÓW

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Zespół miesięcznika pilnie czyta nowe książki. Ale gdybyśmy mieli na łamach zamieszczać choćby same adresy bibliograficzne, to urobek wydawców z jednego tylko miesiąca zapełniłby numer od deski do deski, i to bez grama ilustracji w środku. W 2021 r. wydawcy wypuścili na rynek 33 957 książek. To są 93 pozycje dziennie, a pierwszymi wydaniem wśród nich było aż 85 książek. Nawet jeśli odliczyć literaturę fachową i podręczniki (łącznie 10%), to wychodzi, że recenzent poważnie traktujący pracę winien dziennie zapoznać się z 77 (siedemdziesięcioma siedmioma!) tytułami. I mniej nie będzie: np. maleńka Dania zajmuje pierwsze miejsce w Europie, jeśli chodzi o liczbę książek na jednego mieszkańca. Polska zajmuje w tej klasyfikacji trzecie miejsce – od końca.

Plus Minus

MIROŚLAW NIZIO,
ARCHITEKT, RZEŹBIARZ I MECENAS KULTURY

Kiedy wróciłem do Polski, istotne było znalezienie odpowiedniego miejsca. Agencja, którą wynająłem, zaproponowała tę przestrzeń – początkowo miałem opory, bo lokal znajduje się na warszawskiej Pradze. Ale przez tych 13 lat mojej nieobecności dzielnica się zmieniła. Osobiście zrewitalizowałem tę przestrzeń, przywracając im wygląd z początku XX w. i postanowiłem otworzyć galerię dla interdyscyplinarnych działań, otwartą na ludzi. Kiedy zaczęły przychodzić zlecenia, wyprowadziłem się na piętro, więc można powiedzieć, że coraz bardziej się tu zadomawiam. Po wybuchu wojny w Ukrainie znalazło tu nocleg 30 uchodźców. Odbływały się tu warsztaty dla ukraińskich dzieci. Galeria Nizio jest miejscem do debat i spotkań.

TYGODNIK
ANGORA

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI,
PREZES FUNDACJI IM. BRATA ALBERTA

Dlaczego Kościół w sprawie rzezi wołyńskiej pozostaje obojętny?
– Bo jest zblatowany z władzą. Od lat na uroczystościach upamiętniających ludobójstwo na Wołyniu nie pojawia się żaden biskup. Episkopat nie wspiera rodzin kresowych, poza jednym wyjątkiem, kiedy abp Gądecki przyjął rodziny kresowe. I to był jedyny taki wypadek od 30 lat. Ale na uroczystościach 11 lipca w katedrze polowego biskupa polowego już nie było, mimo że to był jego obowiązek, gdyż m.in. za to bierze pieniądze. Nie było też arcybiskupa warszawskiego kard. Nycza. Ale to nic nowego. W 2022 r. doszło nawet do groteskowej sytuacji, gdy prezydent Duda witał na skwerze Wołyńskim arcybiskupów i biskupów, chociaż żadnego z nich tam nie było.

VIVA!

MAGDA GESSLER,
RESTAURATORKA

Pieczołowicie chronię te tereny swojej osobowości i życia, które są wrażliwe, bo nie chcę, żeby ktoś je odkrył i wszedł na nie z impetem, depcząc po nich bezczelnie i je niszcząc. Pod tym względem jestem zamknięta i pokazuję tylko fragment siebie. Lubię zabawę, tyle że potrzebuję do niej ludzi, z którymi energetycznie czuję zgranie, przy których chce mi się jeszcze bardziej żyć. Od pierwszych chwil, gdy poznaję człowieka, wiem, czy będzie nam po drodze. Czuję to w całym ciele.

UWAGA, BYKI!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów. Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



ROZWIĄZANIA: ANTRAKT, KOPALNIA, MARSZRUTA



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogol-Kiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socząka

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Aby język giętki...

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO O UNII EUROPEJSKIEJ

Wzmacnianie Unii to w obecnej sytuacji geopolitycznej imperatyw polskiej racji stanu.

DOROTA MASŁOWSKA O KOBIECIACH

Będąc kobietą, marnujesz młodość na wciąganie brzucha i ud, walczysz, by spełnić nierealne oczekiwania, a gdy widzisz tego bezsens, jest już za późno.

ALEKSANDER HALL O KOALICJI POLSKIEJ KOSINIAKA-KAMYSZA

Ludzie, którym daleko do Kaczyńskiego, Mentzena i autokracji, powinni mieć szansę, by nie iść na kompromisy z własnym sumieniem.

JULIUSZ MACHULSKI O FILMACH

Kiedy film okaże się sukcesem, jest sukcesem całej ekipy. Kiedy okaże się kłapą, to wyłącznie wina reżysera.

TOMASZ ŚWIĄTEK O CÓRCIE IDZIE

Zawsze była dzieckiem, które chciało rywalizować. Nieustannie uczy się nowych rzeczy i zaskakuje mnie swoją mądrością.

RAFAŁ BLECHACZ O KOLORZE NIEBA WE WŁOSZECH

Jest jaśniejsze, lżejsze i to ma przełożenie na dźwięk, wpływa na interpretację.

KUBA WOJEWÓDZKI O DODZIE

Śmieszność to cena, którą płacimy za szczerość, bezkompromisowość i paskudny charakter.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Wiktorja Vogel Świątynie/Temples



Sensuality



The Lovers

Wiktorja Vogel/Ancient Calling to 24-letnia malarka i graficzka, studiująca projektowanie graficzne na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Sztukę tworzy od ośmiu lat, wprowadzając odbiorców w świat kontemplacji, w którym nie ma przeszłości ani przyszłości, istnieje tylko chwila obecna. Artystka zaprasza do zanurzenia się w mistycznym wymiarze rzeczywistości, jej eteryczne prace prowokują do zastanowienia się nad własnym istnieniem i celem trwającej podróży.

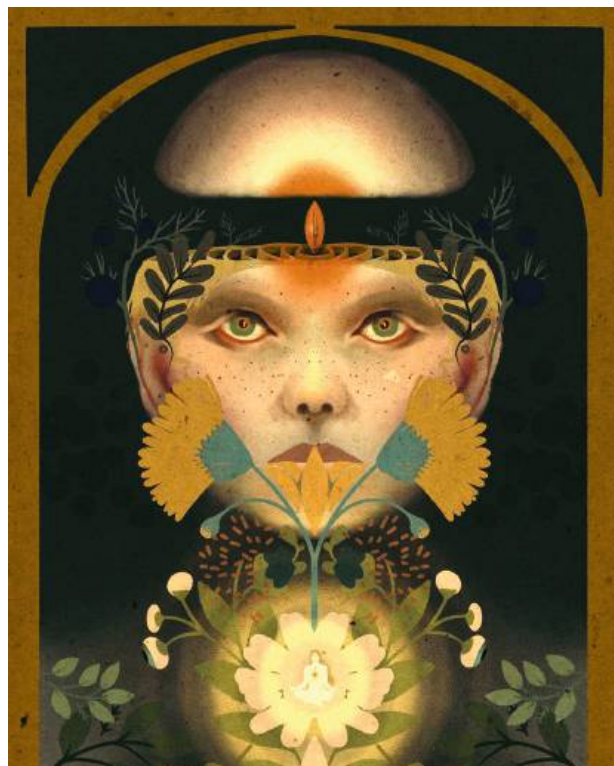
GALERIA ELEKTRA

Warszawa, ul. Dobra 31

do 30 sierpnia



Medicine Song



Manifestation



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

STOP krzywdzeniu dzieci!

Standardy ochrony dzieci
we wszystkich placówkach

Więcej: standardy.fdds.pl

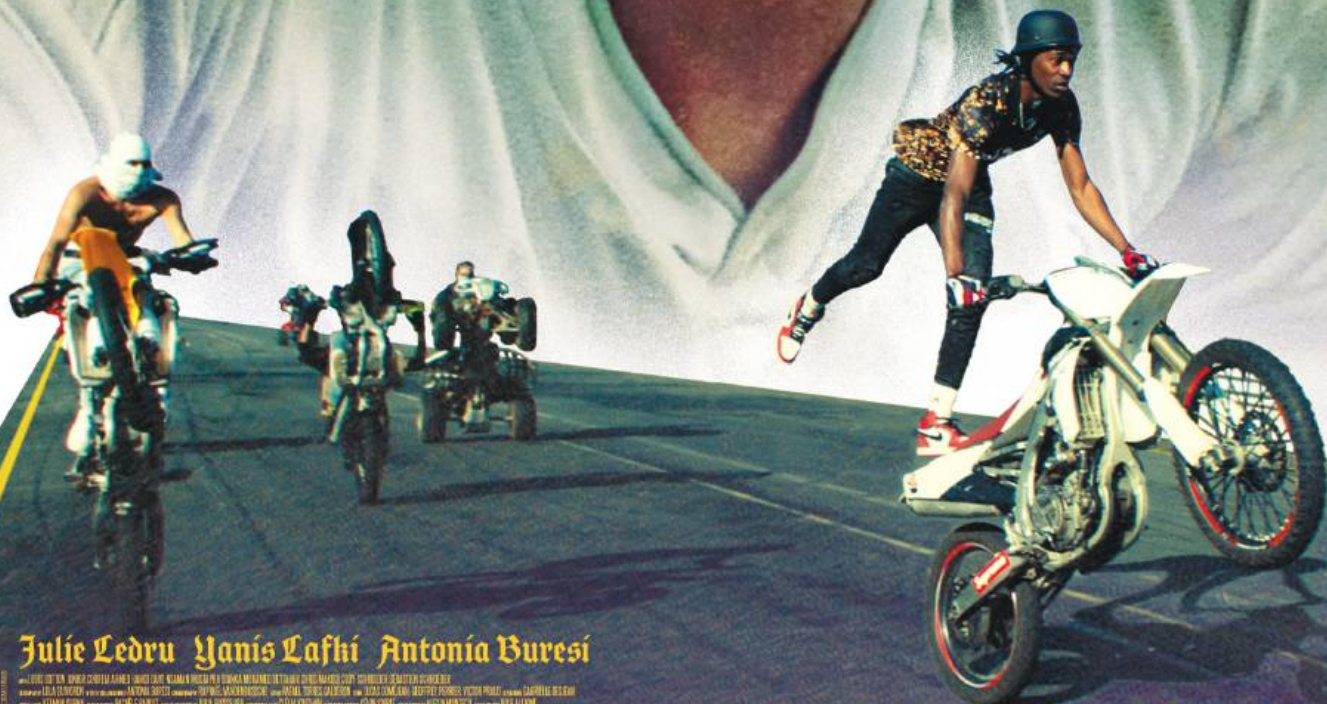




FESTIVAL DE CANNES
UN CERTAIN REGARD
JURY COUP DE CŒUR PRIZE 2022

Rodeo

film Loli Quivoron



Julie Ledru Yanis Lafki Antonia Buresi

w kinach od 4 sierpnia



wysokieobcasy.pl
eprasa.pl b83eb31a24

